

Piet van Breemen SJ

**Cenni w oczach
Boga**

Przekład
Bernard Białecki

Wydawnictwo WAM * Księża Jezuici
Kraków 1995

Wprowadzenie

„Dotąd Cię znałem ze słyszenia, obecnie ujrzałem Cię wzrokiem”, wyznawał Hiob, gdy zetknął się z prawdziwym Bogiem, „stąd odwołuję, co powiedziałem, kajam się w prochu, popiele” (42, 5-6).

Wiele wskazuje na to, że zainteresowanie naszych społeczeństw wewnętrznymi wartościami i doświadczeniami budzą się obecnie na nowo. Wyczuwalna jest pewna skłonność, by zajmować się problemami duchowymi, co objawia się w poszukiwaniu ciszy, medytacji i kontemplacji, w odkrywaniu rzeczywistej głębi duszy. Znowu wyruszyli „wędrowcy przyszłości” (H. Hesse), którzy na Wschodzie szukają zbawienia, którzy zwracają się do wschodnich mistrzów mądrości i swoją nadzieję pokładają we wschodniej sztuce medytacji, tamtejszych doświadczeniach i praktykach. Chcą odkryć boskość we własnym ja, we wnętrzu osoby ludzkiej, w ukrytym jądrze rzeczywistości, w życiu.

Ci nowi podróżnicy na Wschód niczego już się nie spodziewają po duchowym doświadczeniu ludu Bożego Starego i Nowego Przymierza, które uwiarygodnione zostało przez Biblię, dokument spotkania człowieka z prawdziwym Bogiem. Choć ochrzczeni i po chrześcijańsku wychowani, ludzie ci nie dostrzegli w swoich Kościołach prawdziwego Boga i Jego tajemnicy. Wyobrażają sobie tego Boga co najwyżej jako Stwórcę dalekiego od spraw ziemskich, Pana i przyszłego Sędziego świata. Nigdy jednak nie doświadczyli Boga jako tajemnicy, która nas pociąga, pociesza, przemienia, uszczęśliwia.

Nie dotknął ich żar profetycznego przeżywania Boga i nie doświadczyli wyzwalającego spotkania z Bogiem, Ojcem Jezusa Chrystusa.

W sytuacji, gdy chrześcijaństwo jakby o sobie zapomniało, bo na dobrą sprawę „zna” Boga i Jego miłość do ludzi jedynie ze słyszenia, każdy chrześcijanin powinien uznać za pierwszą życiową potrzebę powierzenie się duchowym przywódcom, którzy mogą sprawić, że Biblia, owo jedynie w swoim rodzaju świadectwo spotkania prawdziwego Boga z ludem Bożym, znowu do nas przemówi.

Takim duchowym mistrzem jest belgijski kapłan, jezuita, ks. Piet van Breemen, który temu „słowu życia” w sposób wierny pierwotnym wzorom potrafi nadać nowe brzmienie i nową treść. Kto zawierzy jego przezornym, intuicyjnym i ogromnie cierpliwym staraniom o mądrość, która pochodzi od Boga Objawienia, ten niepostrzeżenie uświadomi sobie, jak słowo Boże ogarnia jego serce i obdarza wiarą, nadzieją i miłością.

Dlatego kierując się własnym doświadczeniem i tym, co odkryłem, życzę tej książce, żeby trafiła do rąk możliwie wielu chrześcijan, którzy przez świadectwa wiary przekazane przez tradycję chcą zdobyć doświadczenie wiary, potwierdzonej własnym przeżyciem Boga, który nas umiłował i najpełniej się nam objawił w Jezusie Chrystusie. Naszej najskrytszej tęsknoty nie zdoła zaspokoić odkrycie własnego „ja” czy tajemnic świata; to może zdziałać jedynie zetknięcie się z samą miłością Boga.

Pasawa, w lutym 1981

za wydawców
Otto Knoch

Przedmowa

Bóg jest ciągle jeszcze poszukiwany. Ale to szukanie w ostatnich latach i dziesięcioleciach – na skutek zupełnie innych postaw życiowych – uległo poważnym zmianom. Również przebogate doświadczenie przeżywanej przez wieki wiary – opisane w Piśmie św. – już nie przemawia do niektórych ludzi. Mimo to byłoby wielkim nieszczęściem dla ludzkości i niepowetowaną stratą, gdyby to źródło miało wyschnąć. Problem jednak w tym, że przełożyć Pismo święte na nasz język i z naszymi doświadczeniami życiowymi doby współczesnej zdołamy tylko wtedy, gdy to, co mamy przekazać dalej, sami przeżyjemy na nowo. Rzeczywistości historycznej nie da się bowiem oderwać od konkretów, w których była osadzona, nie tylko dlatego, że jedynie w konkretnej sytuacji mogła istnieć, ale przede wszystkim dlatego, że te konkrety ją kształtowały. Tak więc jako ludzie współcześni chcemy w tych medytacjach poważnie podejść do biblijnego poszukiwania Boga i nadać mu rangę poszukiwań zgodnych z duchem czasu. Autor i Czytelnicy znajdują się w ten sposób jakby w centrum uwagi, a to z jednej strony wymaga cierpliwości i wielkoduszności, lecz z drugiej strony bardzo pogłębia i ubogaca człowieczeństwo. W zupełnie nowy sposób odsoni się przed współczesnym człowiekiem prawda, jak bardzo Bóg jest miłością i źródłem radości.

W pierwszych pięciu rozdziałach chcemy zbliżyć się do Boga poprzez obrazy biblijne. W centrum szóstego rozdziału pojawi się ów jedyny w swoim rodzaju obraz Boga, w jakim zechciał się ujawnić całkowicie Niewypowiedziany pod postacią Jezusa z Nazaretu. Kolejne medytacje mają ze sobą już dość luźny związek i nieco inny charakter: mają nam pomóc żyć się z osobą Jezusa Chrystusa, którego głosi Nowy Testament, żeby w ten sposób czynić postępy w poszukiwaniu Boga.

BÓG JEST ZAWSZE WIĘKSZY

W ciągu ostatnich dwudziestu lat – albo i więcej – ludzie szukają Boga inaczej niż dotąd; sposoby poszukiwania zmieniły się niemal całkowicie. Ale choć Boga szuka się często i w rozmaity sposób, to jednak imię Jego przeważnie pozostaje nieznane. Tysiące ludzi zwróciły się „ku Wschodowi” w nadziei, że doświadczą wielkiego oświecenia, *satori*, jakby pewnej bezpośredniości z ostateczną racją bytu. Rozbudzone zostało szerokie zainteresowanie dla najrozmaitszych form medytacji; głosy krytyczne nazywają to już swoistą „ucieczką do wewnątrz”. Równocześnie coraz bardziej świadoma staje się solidarność z ubogimi i pozbawionymi praw, mówi się o niej coraz częściej otwarcie. Starania o zachowanie pokoju budzą ogromne zainteresowanie, a w węższych kręgach także energiczne, wspaniałomyślne zaangażowanie. Ruchy wyzwolenicze o różnym profilu osiągają coraz szerszy rozgłos. Czyżby rodziły się nowe religie w wersji laickiej?

Gdy przyjrzymy się historii, to okaże się, że nasi przodkowie z dużą przenikliwością, gorliwością i z wielkim zamiłowaniem starali się udowodnić istnienie Boga. To jednak u współczesnych nie znajduje zbyt wielkiego oddźwięku. Dla nas palącym zagadnieniem jest nie tyle problem istnienia Boga, ile samo znaczenie tych trzech liter, czyli słowa: Bóg. Słowo to spowszedniało przez częste używanie, porównać je można do wytartej monety: nadmiernie zużyta traci swą substancję. Słowo to postradało swą czystość, tak iż ludzie są na jego punkcie wręcz przewrażliwieni. Realność Boga wydaje się w najwyższym stopniu wątpliwa, zwłaszcza, że człowiek przeraźliwie jasno uświadamia sobie rozmiar cierpienia w najbliższym otoczeniu i w skali świata. Czy Bóg jest jakąś rzeczywistością? A może po prostu jest tylko psychiczną projekcją, wynalazkiem zrozwalonego serca?

Choć uczyliśmy się, że jesteśmy stworzeniami Bożymi, to jednak podejrzewamy, czy przypadkiem Bóg nie jest niczym innym, jak

tylko naszym wytworem. Tę ideę po początkowym szoku powitano jako rodzaj oświecenia i wyzwolenia. Nareszcie pozbyliśmy się naszego ciasnego dziecięcego obuwia! Po jakimś czasie zaczęło się nam jednak wydawać, że wymknęło się nam coś istotnego, jakby życie utraciło część swej energii i głębi. Rozmaici psychiatrzy niedawno zaczęli mówić z troską o nowej formie nerwicy, której przyczyną jest pewien niedostatek duchowości. Harvey Cox tak opisuje to zjawisko:

Jestem przekonany, że dzisiejsza fala sceptycyzmu, która ogarnęła ludzkie oczekiwania co do przyszłości i w związku z tym poddała w wątpliwość nasz wpływ na historię, wywodzi się głównie z nowoczesnego roszczenia, że człowiek jest odpowiedzialny w pełni za wszystko, co się dzieje na świecie i że w kosmicznej ewolucji oraz ludzkiej historii nie działa żadna wyższa inteligencja czy jakiś wyższy cel. Zwrot ku Wschodowi to logiczne następstwo śmierci Boga. Zaiste osobliwa to historiozofia. Wolnomyślni humaniści argumentowali kiedyś, że ludzie rozleniwiają się, gdy zwycięża postulat istnienia jakiegoś bóstwa, że wówczas po prostu świętują i we wszystkim zdają się na Boga. Gdy natomiast zadania osiągają rozmiary monstrialne – a jest to odwrotna strona tej samej monety – a wielkie wyzwania odbierają resztki sił, wtedy do rozpacy doprowadza ludzi nie jakiś kosmiczny sprzymierzeniec, lecz brak takowego¹.

To samo w sposób trochę satyryczny unaocznia mała parodia. Oto pewien podróżnik zagubił się na pustyni. Spalony słońcem dostrzega w oddali oazę. – Ach – myśli – jakaś *fata morgana* chce mnie zmylić. Zbliża się do owej oazy, ale ona nie znika. Wyraźnie widzi palmy daktylowe, trawę a nawet źródło.

– To nic innego jak iluzja wywołana pragnieniem, którym mamie mnie mój oszalały umysł. W moim stanie o fantazje nie trudno. Złudzenie! Słyszę nawet plusk wody. Niewątpliwie jakieś halucynacje słuchu. Och, jaka okrutna jest natura!

Wkrótce potem znajdują go dwaj beduini... martwego. Jeden mówi do drugiego: „Ustami niemal dotykał daktyli, a jednak zmarł z głodu; woda ze źródła prawie omywa jego ciało, a jednak zmarł z pragnienia. Jak to możliwe?” Na to odpowiada drugi: „Był człowiekiem nowoczesnym, umarł z obawy przed projekcją”.

Opowieść, choć przesadzona, ma jednak w sobie żdźbło prawdy. Istnieje obawa – to fakt – że Bóg to nic innego, jak romantyczny

¹ Harvey Cox, *Turning East: The Promise and Peril of the New Orientalism*, New York, Simon and Schuster 1977, 102 (przekład niemiecki: *Licht aus Asien, Verheissung und Versuchung östlicher Religiosität*, Stuttgart/Berlin, Kreuz Verlag 1978, 125).

wymysł albo rodzaj ucieczki przed bezwzględnością życia. Niekiedy spotkać można także opinię, że wiara w Boga to jakiś tani środek uspokajający w chwilach pełnych cierpienia lub odrobina kitu do zatykania dziur w naszej ideologii. Nie myśli się o tym, że ów lęk przed projekcją działać może przygnębiająco, że może zadławić.

Nie znaczy to jednak, że ów strach przed projekcją jest czymś przez nas wydumanym. Przybliży ten problem następujące doświadczenie pewnego studenta. Podczas jednego z pierwszych spotkań z prowadzącym indywidualne rekolekcje zwierzył się, że wyobraża sobie Boga jako olbrzymią kostkę lodu z małym światłem pośrodku. Ojciec duchowny początkowo nie wiedział, jak zareagować i zrazu sprawę odłożył. Pod koniec rekolekcji młody człowiek jednak wrócił do tematu: odkrył, że to on sam jest ową kostką lodu ze światłem w środku. Opowiedział wtedy, że wśród swoich kolegów studentów jest dość lubiany. Ale mimo to ma uczucie, że nie potrafią się do niego całkowicie zbliżyć. Miał wrażenie, że jest przyciągającym światłem odizolowanym grubą warstwą lodu. Rekolekcje zaczęły przynosić owoce, gdy zaczął sobie uświadamiać własną projekcję, poddał oczyszczeniu swój obraz Boga i zaczęła wzrastać jego samoświadomość.

I choć nie każdy przypadek projekcji jest tak trudny jak u owego studenta, to jednak musimy przyznać, że każdy z naszych wizerunków Boga zawiera jakąś część naszej własnej projekcji. Widzimy Boga „jakby w zwierciadle”. Nasza ograniczoność, nasza *condition humaine* przeszkadza nam w oglądaniu Boga takim, jakim jest. Co nie znaczy, że każdy dowolny obraz jest równie dobry jak inny, i że nie powinniśmy się starać te nasze projekcje oczyszczać i niwelować. Przeciwnie, oznacza to, że nigdy nie uda się nam całkowicie uniknąć projekcji – aż ujrzymy Go twarzą w Twarz.

Ten sam byt ludzki, ta sama egzystencja ludzka, która pozwala nam zarysowywać własne, acz nieudolne obrazy Boga, od czasu do czasu także je burzy. C. S. Lewis² porównuje – w kilku subtelnych zapisach swojego dziennika, skreślonych po śmierci zmarłej na raka żony – nasze wyobrażenie Boga do domku z kart. Podchodząc do

² C. S. Lewis, *A. Grief Observed*, New York, Seabury Press, n. d., 32, 52, 53. Oryginalne wydanie pod pseudonimem: N. W. Clerk, London, Faber and Faber 1961.

działa z dostateczną starannością i zręcznością możemy wznieść budowlę, która robi wrażenie. Ale ponieważ nasze obrazy Boga łatwo przybierają postać bożków, trzeba je od czasu do czasu zrzucić zokołów. Dlatego Bóg niekiedy potrąca stół, na którym zbudowaliśmy nasz domek z kart, i „świątynia” się rozpada. W ten sposób Pan „osobiście” występuje jako wielki „obrazoburca”. „Czyż nie mielibyśmy wręcz prawa powiedzieć, że w tym «potrącaniu» objawia się jego obecność?” Dla Lewisa śmierć jego żony była takim traumatycznym doświadczeniem, w którym rozkruszył się jego wizerunek Boga. Potrzebował sporo czasu, aby zrozumieć, że to jednak była łaska.

Poczucie, że straciliśmy samego Boga, gdy nasz obraz Boga obraca się wniwecz, jest doświadczeniem bolesnym. A jednak nie powstrzymuje to nas od tego, aby zaczynać budowę nowego domku z kart. Po prostu na dłuższą metę nie możemy się bez takiego domku obejść. W tym nowym obrazie łączą się w pełną całość skutki ostatniego szokującego doświadczenia. Ukazuje to, jak przetworzyliśmy cierpienie. Niekiedy ów nowy obraz przedstawia Boga jako okrutnika albo tyrana. Do tego, aby w bólu dopatrzeć się czegoś pozytywnego, aby we frasunku nie stracić zaufania i znów po jakimś kolejnym rozczarowaniu konstruować pełen nadziei obraz Boga, potrzeba prawdziwej, autentycznej wiary. Ale ten nowy obraz w końcu podzieli los poprzedniego. Rozpadnie się. Kiedy po szoku przyjdziemy do siebie, zaczniemy wszystko od nowa – bo tacy, my ludzie, po prostu jesteśmy.

Jeżeli tak jest, że to *my* w jakiejś mierze kształtujemy nasze wizerunki Boga, to nie mniej prawdziwe jest i prawdopodobnie ma wielkie znaczenie to, że nasze obrazy Boga kształtują *nas*. Na dłuższy czas stajemy się tacy jak Bóg, którego sobie wyobrażamy. Człowiek, który wyobraża sobie Boga jako despotycznego superwładcę, obarczającego swój lud wszelkimi bezwzględными ciężarami, staje się bojaźliwy, niewolniczy i prawdopodobnie sam stawia swoim bliźnim dość wygórowane zadania. Człowieka, który wyobraża sobie Boga bezosobowo, cechuje pobożność raczej nieobowiązująca i mglista. Bóg predestynacji formuje ludzi ponurych, ciężko pracujących. Opatrzność, pojmowana jako boskie działanie z wykluczeniem wszelkich ludzkich znamion, kształtuje ludzi, których sposób życia przepojony jest strachem i purytańskimi prawami. Wiara w Boga jako Ojca (Abba) wychowuje ufnych, wolnych ludzi; Bóg miłości, jakiego

znamy z pierwszego Listu św. Jana, to Bóg ludzi dobrych. To, że nasze wyobrażenie Boga w dużej mierze formuje nasze życie, może być jednym z powodów, dla którego Pismo święte przypisuje aż takie znaczenie dążeniu do poznania Boga.

Z drugiej strony Biblia, zwłaszcza Stary Testament, surowo zakazuje tworzyć sobie jakiś obraz Jahwe. Odnosi się to zrazu do obrazów z kamienia i drewna. Ale niebezpieczeństwo tworzenia sobie intelektualnych obrazów Boga, może być znacznie groźniejsze, poważniejsze, ponieważ te grożą zamknięciem bóstwa w naszych duchowych granicach. Chęć zredukowania Wszechmocnego do wielkości uchwytnej i czegoś skończonego jest faktycznie powszechnym, ale i fatalnym błędem. Jest to niebezpieczne głównie z tego powodu, że nie rozpoznajemy Boga wtedy, gdy rzeczywiście wkracza w nasze życie; a czyni to stale w rozmaity sposób. Jesteśmy po prostu zbyt przejęci naszymi ideami o Bogu i przeoczamy Go w każdej innej postaci. Co więcej nasze pojmowalne, zrozumiałe obrazy Boga skłaniają nas do tego, że zapominamy, iż Bóg jest Owym-Zupełnie-Innym, i redukujemy Go do wymiarów naszego świata. Tomasz z Akwinu ostrzega nas przed tą pokusą: „Jeśli Go potrafisz zrozumieć, to nie jest On Bogiem”. Podobnie mówi Mistrz Zen: „Jeżeli spotkasz Buddę, to zabij tego Buddę”, co oznacza, że jeśli sądzisz, że zrozumiałeś Buddę, to wymaż to zrozumienie ze swojej świadomości. Jądrzem tej tajemnicy jest uznanie, że „Bóg jest zawsze większy”. Jak wielkim byśmy Go nie pomyśleli, zawsze jest większy. Nigdy nie uda się Go pojąć. Co najwyżej możemy Mu się całkowicie oddać, dać Mu się ująć.

Kto szuka Boga, już poczynił znaczne postępy w Jego poznaniu, jeżeli, zanim pozna, kim jest Bóg, wie, kim On nie jest (św. Augustyn). Jakaś potrzeba Boga *istnieje*, lecz wykracza ona poza możliwości naszego zrozumienia. I choć istnieje ona dla nas bardziej niż my sami dla siebie, to i tak wykracza poza nasze rozumienie. *Obłok niewiedzy*³ podkreśla ten fakt niejedną raz: „Choć Boga nie możemy poznać na drodze refleksji, to jednak możemy Go kochać” (rozdz. 6), i: „Nie nasze myślenie, lecz jedynie miłość może poznawczo ogarnąć Boga takim, jakim jest sam dla siebie” (rozdz. 8).

³ Wyd. Willi Massa, *Die Wolke des Nichtwissens. Einführung und Anleitung*, Mainz, Matthias Grünewald Verlag 1974, 58.

Ponieważ jesteśmy związani z Bogiem jak z Nieznajomym, potrzeba wiele odwagi, by żyć tą tajemnicą. Może szokować, gdy uświadomimy sobie, że we właściwym tego słowa znaczeniu o Bogu możemy mówić nie tylko „On”, ale również z głęboką czcią zwracać się do Niego przez „Ty”. Przeogromną radość i gorzki ból wywołany przez tę tajemnicę wyraża klasyczny hymn, przypisywany Grzegorzowi z Nazjanzu:

Ty, Któryś-Ponad-Wszystkim!
Czy mogę Cię nazywać inaczej?
Jak ma Cię sławić słowo,
Tego, którego żadne słowo nie może wyrazić?
Jak ma Cię oglądać duch,
Tego, którego żaden duch nie potrafi ogarnąć?
Tylko Ty jesteś niewysłowiony,
ale stworzyłeś wszystko, co mówi.
Tylko Ty jesteś ponad wszelkim myśleniem,
a jednak stworzyłeś wszystko, co daje się pomyśleć.
Ciebie uwielbia wszystko, co ma głos i co jest nieme.
Ciebie czci wszystko, co myśli i co nie myśli.
Wspólnym pragnieniem wszystkich
jest tęsknota wszystkich za Tobą.
Ku Tobie kierują się błagania wszystkich.
Wszystko, co poznało Ciebie w Twoim stworzeniu,
śpiewa Tobie milczący hymn.
Jedynie w Tobie wszystko ma trwanie,
do Ciebie wszystko zdąża.
Ty jesteś celem wszystkiego,
Ty Jeden i wszystko, a jednak nic z tego wszystkiego.
Ty nie jesteś jeden i nie wszystko,
a jednak masz wszystkie imiona.
Jak mam Cię nazwać, tylko Ty nie dajesz się nazwać.
Jaki duch niebieski mógłby przeniknąć przez zasłonę,
która rozpościera się jeszcze ponad chmurami nieba?
Zlituj się nade mną, Ty, Któryś-Ponad-Wszystkim.
Czy mogę Cię nazywać inaczej?⁴

Nawet jeżeli nie potrafimy w sposób właściwy mówić o Bogu, to przecież nie możemy na Jego temat milczeć. I choć dobrze wiemy, że żaden obraz nie oddaje Go w pełni, to jednak nie możemy zrezygnować z Jego obrazów. Więcej, ponieważ jest On poza naszą zdolnością zrozumienia, wciąż potrzebujemy więcej niż jednego obrazu.

⁴ PG = skrót dla *Patrologiae cursus completus*, seria grecka (przekład niemiecki w: A. Hamman OFM, *Gebete der ersten Christen*, Düsseldorf, Patmos Verlag 1963, 256/257).

Człowiek, który ma tylko jedno jedyne wyobrażenie Boga, adoruje bożka. Stąd też samo Pismo święte podsuwa nam wiele obrazów i imion Boga. W kolejnych czterech rozdziałach zastanawiać się będziemy nad obrazami Boga jako Pasterza, Ojca, Życie i Miłość. Wszystkie przywiodą nas do tego jednego i całkowicie właściwego obrazu Boga, którym jest Jezus z Nazaretu. O Nim będziemy mówić w dwóch następnych rozdziałach tej książki.

Imię Jahwe objawione zostało Mojżeszowi w płonącym krzaku ciernistym na pustyni. I my powinniśmy się udać na pustynię, jakiego rodzaju by ona nie była, po to, żeby zdobyć jakieś osobiste doświadczenie, dzięki któremu poznamy, że jest to Ten Jedyne Bóg. Na wskroś przepelnieni tym wewnętrznym, a jednak wszystko przewyższającym doświadczeniem i nasyceni życiem z Bożego źródła, wracamy do tego, co jest naszym powołaniem, do naszej wyzwolenczej misji wśród ludzi. „Nie zarzucajmy ani Kościołowi, ani samemu życiu, że wypaczają prawdziwe oblicze Boga. Jeżeli rzeczywiście spotkał się z Bogiem, to doświadczyliśmy, że On wszystko pociąga ku sobie, i że nic nas od Niego nie może oddzielić, jeżeli sami tego nie chcemy. Zrezygnujmy więc z tego typu tanich usprawiedliwień”⁵.

Boga, który jest poza wszelkimi ludzkimi wyobrażeniami, nigdy nie zdołamy ogarnąć. On jednak potrafi nas zrozumieć i całkowicie przykuć naszą uwagę. Odblaskiem tego doświadczenia są święci i mistycy. Może i my tęsknimy za takim doświadczeniem. Wszak może sprawić, że staniemy się lepszymi i bardziej gorliwymi chrześcijanami. Ale w tym miejscu apelujemy o ostrożność⁶. Zarówno w naszych wzajemnych międzyludzkich stosunkach, jak i w naszym stosunku do Boga trzeba rozróżniać, czy szukamy osoby – Boga albo człowieka – czy też naszego wyobrażenia o tej osobie. Czy szukamy osoby, którą kochamy ze względu na niepowtarzalność jej uczuć, myśli, tęsknot i samą jej istotę, czy też szukamy jakiegoś pełnego miłości kontaktu z tą osobą? Czy szukamy osoby, która dla nas wiele znaczy, czy też szukamy tylko jej obecności, z którą nam dobrze? Czy szukamy Boga, czy własnego pocieszenia i nabożnego skupienia? Być nastawionym na szczęście innych, to coś zupełnie

⁵ Według Madeleine Delbr el, *La Joie de Croire*, Paris, Seuil 1968, 90 (przekład niemiecki: *Gebet in einem weltlichen Leben*, Einsiedeln, Johannes Verlag 1974, 116; przekład polski: *Zaufa  Bogu*, Krak ow 1975 ZNAK, ss.182).

⁶ Herwig Arts SJ, *Met Heel Uw Ziel*, Antwerp, Patmos 1978, 93-95.

innego niż chęć ucieczki przed własną samotnością. Z chwilą, gdy nasza uwaga odwraca się od innej osoby i kieruje ku własnemu doświadczeniu tej osoby, zanika sens tego miłosnego kontaktu. Augustyn nazywa to *amabam amare*, co znaczy „lubić być zakochanym”. Dopiero gdy się nawrócił, spostrzegł, jak puste było to, co nazywał „miłością”!

Szukać doświadczenia dla samego doświadczenia, znaczy szukać siebie samego. Wiele ludzkich związków rozpadło się, bo albo o tej subtelnej podstawowej prawdzie zapomniało, albo – być może – wcale jej nie znało. Jakże często niemal przestajemy szukać Boga, gdy tylko przygasa w nas poczucie Jego obecności. Niektóre dzieła i rozprawy „duchowne” bardziej zajmują się psychiką człowieka aniżeli realnością Boga, bardziej naszymi reakcjami niż osobą Jezusa Chrystusa. Niektórzy chrześcijanie twierdzą, że to wiara skłania ich do takiego stawiania sprawy. W rzeczywistości jednak działają według nakazu własnych zasad i tradycji. Jedyna nadzieja w tym, że są one wyrazem ich wiary.

Wiara jest czymś, co trudno wyrazić i przeżyć. Nasze rozumienie i obrazy, którymi się posługujemy, zawsze pozostają daleko w tyle za Boską realnością. Nasza pielgrzymka trwająca całe życie nie prowadzi nas do żadnej trwałej siedziby; miejmy nadzieję, że pielgrzymka ta oczyści i uduchowi nasze stosunki z Bogiem – aż zjednoczy nas śmierć.

Bóg – imię, jakie Ci nadajemy,
zwietrzało.

Te trzy litery utraciły swą żywotność, pewność i głębię,
przestały być wyzwaniem.

Prosimy Cię, objaw naszemu pokoleniu
od nowa jego sens.

Bądź naszym przewodnikiem na tej dożywotniej pielgrzymce,
na której odcyfrowujemy Twoje imię jako życiowo nam bliskie.
Nigdy nie zdołamy Cię pojąć,
więc zrozum nas Ty.

Prosimy Cię, pozwól nam wrastać w tajemnicę Twojej istoty.
Obdarz nas wiarą,

że w Tobie wciąż odnajdować będziemy nowe życie,
że będziemy mogli szczerze tą wiarą obdarzać innych,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki wieków. Amen.

II

PAN JEST MOIM PASTERZEM

Rola pasterzy w Starym Testamencie jest znacząca. Przez swą charakterystyczną odrębność są jakby stworzeni do tego, by służyć za obraz Boga. Semickie słowo pasterz dobrze oddaje dynamiczny styl życia izraelskich nomadów. Od samego zarania byli narodem, który wciąż był w ruchu. Ponieważ pierwotni Hebrajczycy wystawieni byli na nieustanne niebezpieczeństwa aury i dzikich zwierząt, zawsze musieli być czujni i uzbrojeni. Ta czujność, uwarunkowana przyrodą, w życiu codziennym wywarła głęboki wpływ na charakter tego narodu. Później, gdy Izraelici się osiedlili i zaczęli uprawiać rolę, przynosili kapłanom do poświęcenia pierwociny płodów ziemi, zaś akt poświęcenia zaczynał się od słów "Ojciec mój, Aramejczyk błędzący..." (Pwt 26, 5). Te słowa modlitwy podtrzymywały pamięć o pierwotnej tradycji znomadyzowanych praojców.

O tym, że naród izraelski był pierwotnie narodem pasterskim, świadczą niektóre wielkie postacie jego historii. Pierwszy jest tu Abraham, ojciec wybranego narodu. Był potężnym pasterzem z trzodami tak licznymi, że nie starczało ziemi, na której wraz z trzodą kuzyna, Lota, mógłby je pomieścić. Z kolei dzięki Mojżeszowi, który dla Izraela otrzymał Prawo, lud ten stał się narodem. To on pasł owce swojego teścia, Jetry, gdy ukazał mu się Jahwe w krzewie gorejącym i polecił wyprowadzić lud z Egiptu. Jako rękojmię tej misji objawił Jahwe Mojżeszowi swoje imię. Wreszcie Dawid, protoplasta dynastii, z której wywodzić się miał Mesjasz. On pasł owce swojego ojca, gdy do Betlejem przybył Samuel, żeby namaścić na króla Izraela jednego z synów Jessego. Kiedy dumny ojciec przedstawił swoich siedmiu synów jako możliwych kandydatów, prorokowi to nie wystarczyło. Na jego dalsze dopytywania, czy to już wszyscy, Jesse odrzekł: „Pozostał jeszcze najmniejszy, lecz on pasie owce” (1 Sm

16, 11). Gdy przyprowadzono Dawida z pastwiska, Samuel bez wahania namaścił młodego pasterza przed jego ojcem i braćmi. Tak więc słusznie głosi Psalm 78:

Wybrał swego sługę Dawida
i wziął go od owczych zagród:
powołał go, gdy chodził za karmiącymi [owcami],
by pasł Jakuba, lud Jego,
i Izraela, Jego dziedzictwo.
On ich pasł w prawości swego serca
i roztropnie prowadził swoimi rękoma (w. 70-72).

Widać z tego, że przywódcy żydowskich dziejów byli pasterzami – jak lud, któremu przewodzili. Zawód pasterza w Europie jest już zawodem rzadkim, a w dodatku znacznie odbiega od pierwotnej semickiej tradycji. Warto zatem nieco bliżej przyjrzeć się pojęciu starotestamentowego pasterza.

W języku hebrajskim funkcjonują trzy różne synonimy słowa „pasterz”. To nie powinno dziwić, bo im większą rolę odgrywa jakieś pojęcie w życiu narodu, tym więcej jest słów, które to pojęcie określają. Słyszy się, na przykład, że Eskimosi stosują 15 różnych słów na określenie śniegu; niektóre afrykańskie plemiona używają 20 różnych określeń dla naszego słowa „banan”. A Indonezyjczycy używają pięciu rozmaitych słów, aby opisać kolejne stadia wzrostu ryżu.

Tak więc, choć owe trzy hebrajskie synonimy słowa „pasterz” w zasadzie znaczą to samo, to jednak każde z nich ma pewną własną specyfikę. W odbiorze tych określeń widoczne są następujące cechy: pilnie obserwować, bacznie czuwać; strzec czujnie, być przygotowanym na grożące niebezpieczeństwo; starannie rozważać, przewidywać i planować. Tak więc ów aktywny charakter pojęcia „pasterz” sprawia, że w naszym odbiorze jest ono bardziej czasownikiem niż rzeczownikiem.

Z etymologicznej analizy wynika, że słowo „pasterz” ucieleśnia w sobie wszystkie powyższe treści pojęciowe: że pasterz jest opiekuńczy, przezorny, czujny, gotowy, że jest troskliwy i zatroskany. Przed laty spotkałem kilku młokosów, którzy włócząc się zwiedzili pół Francji. Opowiedzieli mi, że pewnego ranka natrafili na pasterza ze swą trzodą i postanowili spędzić z nim i jego owcami cały dzień. Pod wieczór ci młodzi ludzie nie mogli wyjść ze zdumienia, że pasterz ów przez cały dzień ani razu nie usiadł. Od czasu do czasu

wspierał się tylko na swojej pasterskiej tyczce, ale nigdy nawet nie przysiadł, żeby nie stracić z oczu swoich owieczek.

Pasterz jest człowiekiem, który duszą i ciałem poświęca się swojemu zadaniu. Wokół pasterza, który żyje ze swoją trzodą i dla swojej trzody, roztacza się nimb pewnej mistyki. Ta mentalność przepięknie została przedstawiona w przypowieści Natana, która miała Dawidowi otworzyć oczy po incydencie z Batszebą. Prorok opowiada o biedaku, który miał tylko jedną małą owieczkę: „On ją karmił i wyrosła przy nim wraz z jego dziećmi, jadła jego chleb i piła z jego kubka, spała u jego boku i była dla niego jak córka” (2 Sm 12, 3). Pewien misjonarz, który pracuje wśród pasterzy w dolinie Bekaa w Libanie, opowiadał mi, że wielu jego wiernych dosłownie sypia ze swoimi zwierzętami i że to się daje wyczuć... węchem! Tak więc zna pasterz zwierzęta swoje, a one znają jego. Żyje w tak ścisłym kontakcie z nimi, że czuje i wyczuwa, jak im się wiedzie. Jego uwadze nie ujdzie żadna zmiana, żaden brak. Jego autorytet wśród stada opiera się całkowicie na tym, że stale jest obecny, że pomaga, że się troszczy.

Pasterz nie jest mięczakiem; jest mężczyzną zdolnym i gotowym do obrony swoich zwierząt, a jeśli to konieczne, do walki. Tu znowu typowym przykładem jest Dawid; opisuje to rozdział 1 z 1 Księgi Samuela. Ojciec Dawida wysłał swojego najmłodszego syna do obozu Izraelitów, aby jego trzem starszym braciom dostarczył dodatkowej żywności; chciał im sprawić radość przed bitwą z Filistynami. Tam Dawid był świadkiem, jak Goliat wyzwiał na pojedynek jednego z Izraelitów i w ten sposób rzucił wyzwanie całemu wojsku Izraelitów. Dawid zaskoczony, że nikt nie ma odwagi przyjąć wyzwania, natychmiast sam się zgłosił do walki. Król Saul próbował mu to wyperswadować, przekonać, że jest zbyt młody i zbyt słaby fizycznie, aby wystąpić przeciwko takiemu olbrzymowi jak Goliat. „Odrzekł Dawid Saulowi: «Kiedy sługa twój pasał owce u swojego ojca, a przyszedł lew lub niedźwiedź i porwał owce ze stada, wtedy biegłem za nim, uderzałem na niego i wyrывałem mu ją z paszczy, a kiedy on na mnie napadał, chwytałem go za szczękę, biłem i uśmiercałem. Sługa twój kładł trupem lwy i niedźwiedzie, nieobrzezany Filistyn będzie jak jeden z nich, gdyż urągał wojskom Boga żywego»” (1 Sm 17, 34-36). Cóż za odwaga u tak młodego pasterza!

Pasterz nie tylko wypełnia swoje zadanie, nie tylko jest dzielny, ale jest także mężczyzną, ma silne poczucie odpowiedzialności.

W tamtych czasach nie było jeszcze banknotów i papierów wartościowych. Kapitał w poważnym stopniu inwestowano w trzodę, której strzegł pasterz. Gdy tracił owce, był pociągany do odpowiedzialności i do zapłaty odszkodowania. Z takim zaufaniem i z poczuciem odpowiedzialności spotykamy się u Jezusa, Dobrego Pasterza. Słyszymy jak mówi: „Jest wołą Tego, który Mnie posłał, abym ze wszystkiego, co Mi dał, niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym” (J 6, 39). A u kresu swojego życia modli się: „Dopóki z nimi byłem, zachowywałem ich w Twoim imieniu, które Mi dałeś, i ustrzegłem ich, a nikt z nich nie zginął z wyjątkiem syna zatracenia, aby się spełniło Pismo” (J 17, 12).

Natomiast zły pasterz – to hańba i zgorszenie. Liczne fragmenty Starego Testamentu namiętnie potępiają pasterza, który zapomniał o swoich obowiązkach.

Przeciw pasterzom gniew mój się rozpala, moja kara ściga już kozły (Za 10,3).

Dlatego wy, pasterze, słuchajcie słowa Jahwe: Wyrocznia Jahwe Pana: Przecież owce moje stały się łupem i owce moje służyły za żer wszelkiemu dzikiemu zwierzęciu polnemu, bo nie było pasterza, pasterze zaś nie szukali owiec moich, bo pasterze sami siebie paśli, a nie paśli moich owiec, dlatego wy, pasterze, słuchajcie słowa Jahwe. Tak mówi Jahwe Pan: Oto jestem przeciw pasterzom. Z ich ręki zażadam moich owiec, położę kres ich pasterzowaniu, a pasterze nie będą paść samych siebie, wyrwę moje owce z ich paszczy, nie będą już one służyć im za żer (Ez 34, 7-10).

Biada pasterzom, którzy prowadzą do zguby i rozpraszają owce mojego pastwiska – wyrocznia Jahwe. Dlatego to mówi Jahwe, Bóg Izraela, o pasterzach, którzy mają paść mój naród: Wy rozproszyliście moją trzodę, rozpedziliście i nie zatroszczyliście się o nią; oto Ja się zatroszczę o nieprawość waszych uczynków – wyrocznia Jahwe (Jr 23, 1-2).

Te ostre słowa o złych pasterzach są przez negację słowami wysokiego uznania dla dobrych pasterzy.

Można z góry oczekiwać, że wśród ludu o takich tradycjach pasterskich obraz pasterza użyty zostanie jako obraz ich Boga. W wielu miejscach Pisma św. Jahwe jest opisywany jako pasterz.

Psalm „Pan jest moim pasterzem: nie brak mi niczego” sprawił Immanuelowi Kantowi według jego własnych słów więcej pociechy niż wszystkie kiedykolwiek przeczytane książki.

„Posłuchaj, Pasterzu Izraela, Ty, co jak trzodę wiedziesz ród Józefa” (Ps 80, 2).

„Albowiem On jest naszym Bogiem, a my ludem Jego pastwiska i owcami w Jego ręku” (Ps 96, 7).

„Oto Pan, Jahwe, przychodzi z mocą... Podobnie pasterz pasie swoją trzodę, gromadzi [ją] swoim ramieniem, jagnięta nosi na swojej piersi, owce karmiące prowadzi łagodnie” (Iz 40, 10-11).

Jeżeli naród wybrany używa dla swojego Boga obrazu pasterza, to obdarza Jahwe wszystkimi typowymi znamionami, które pochodzą z jego własnego doświadczenia. To odróżnia jego pojęcie Boga od pojęcia sąsiadujących z nim narodów. Najważniejszą, niezmienną cechą jest aktywna obecność Jahwe pośród swojego ludu. To ujęcie przekształca się w końcu w pojęcie wszechobecności Bożej, tak typowe dla religii pochodzenia żydowskiego. Religie naturalne starożytnego Wschodu znały Boga statycznego, który mieszka w świątyni i stamtąd oddziałuje na świat. Tam można było do niego przyjść, tam przyjmował przyniesione ofiary. Kiedy modlący się opuszczał świątynię, jego Bóg pozostawał na miejscu. Jahwe jest inny; On podąża ze swoim ludem. „Umieszczę wśród was mój przybytek i nie będę się brzydził wami. Będę chodził wśród was, będę waszym Bogiem, a wy będziecie moim ludem” (Kpł 26, 11-12).

Imię Jahwe, które objawione zostało Mojżeszowi z płonącego krzewu, jest imieniem tajemniczym. Jahwe nie tłumaczy tej tajemnicy. Może to właśnie jest powód, dla którego w ogóle to imię zostało objawione. Regały uginają się od książek spekulujących na temat znaczenia tych kilku hebrajskich liter. Jedno jest pewne: imię to trzeba pojmować raczej w sensie egzystencjalnym; interpretacja bytowo-filozoficzna jest mniej adekwatna. Żydowski uczyony Martin Buber proponuje następującą interpretację sensu tego imienia: „Jestem, gdzie ty jesteś”, albo: „Jestem obok”. Imię to wyraża skuteczną obecność, obecność nieograniczoną, otwartą, a jednocześnie niesłuchanie sankcjonującą; daje pewność i gwarantuje bezpieczeństwo. Stąd zakończenie Ewangelii według Mateusza „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20) można uznać za dalsze pogłębienie starotestamentowego znaczenia tego „imienia”.

Pojęcie Boga Izraelitów jest dynamiczne, to pewien stosunek, pewna relacja. Izraelita spotyka Jahwe, doświadcza Go, gdziekolwiek by się nie udał. Klasycznie tę bliskość wyraża Psalm 139:

Gdzież się oddalę przed Twoim duchem?
Gdzie ucieknę od Twego oblicza?
Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś;
jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę.
Gdybym przybrał skrzydła jutrzeńki,
zamieszkał na krańcu morza:
tam również Twa ręka będzie mnie wiodła
i podtrzyma mnie Twoja prawica.
Jeśli powiem: «Niech mnie przynajmniej ciemności okryją
i noc mnie otoczy jak światło»:
sama ciemność nie będzie ciemna dla Ciebie,
a noc jak dzień zajaśnieje:
(mrok jest dla Ciebie jak światło.)

To raczej doświadczenie wiary – nie zaś tylko teoria. Dla tamtych ludzi Bóg był Pasterzem. W przeszłości przekonali się o Jego wiarygodności i dlatego ufnie patrzą w przyszłość. Jego wierność jest jak skała, na której mogą budować swoje życie. To daje im poczucie pewności. Istnieje pewien znamieny psalm, który, choć nie pada w nim słowo „pasterz”, mógł powstać tylko wśród ludu głęboko żytego z świadomością, że Bóg jest jego Pasterzem.

Wznoszę swe oczy ku górom:
Skądże nadejdzie mi pomoc?
Pomoc moja od Jahwe,
co stworzył niebo i ziemię.
On nie pozwoli zachwiać się twój nodze
ani się zdrzemnie Ten, który cię strzeże.
Oto nie zdrzemnie się
ani nie zaśnie
Ten, który czuwa na Izraelem.
Jahwe cię strzeże,
Jahwe twoim cieniem
przy twym boku prawym.
Za dnia nie porazi cię słońce
ni księżyc wśród nocy.
Jahwe cię uchroni od zła wszelkiego:
czuwa nad twoim życiem.
Jahwe będzie strzegł
twojego wyjścia i przyjscia
teraz i po wszystkie czasy (Ps 121).

Tą wiarą żył Izrael. Jego religia nie była abstrakcją. Przeciwnie, była żywym ludzkim doświadczeniem Boskiej rzeczywistości, była rzeczywistością tak głęboką i tak mocną, że stała się kamieniem węgielnym izraelskiego narodu. Wyznawać Boga

znaczyło opowiadać dzieje, wyjaśniać ich znaczenie i przekazywać je dalej z pokolenia na pokolenie.

Dziś biblijne pojęcie pasterza wraca jakby z powrotem na ziemię, skąd się wzięło. Najpierw wyobrażenie człowieka-pasterza wyniesiono na poziom boski i niejako ubóstwiono. Natomiast Bóg wzywa ludzi, by stali się pasterzami w Jego imieniu. Tu koło się zamyka. Najpierw pasie trzodę Mesjasz, Syn Dawida. Potem inni przejmują zadanie Jezusa i kontynuują Jego misję.

W rozdziale 34 w Księdze Ezechiela pasterz ma wszystkie wspomniane cechy charakterystyczne: „I ustanowię nad nimi jednego pasterza, który je będzie paść, mego sługę, Dawida. On je będzie paść, on będzie ich pasterzem” (w. 23). Kolejne siedem wierszy na podstawie obrazu pasterza objaśniają zadanie Mesjasza, który dla Jahwe strzeże trzody. Do dziś rozdział ten uważany jest za miernik wszelkiej służby pastoralnej.

W Nowym Testamencie, zwłaszcza w Ewangelii św. Jana (10), ten wizerunek Dobrego Pasterza Jezus odnosi do samego siebie. Dla pierwszych chrześcijan był to obraz szczególnie drogi. Czym w naszych czasach jest krzyż, tym w starożytnym Kościele – jak świadczą o tym liczne obrazy i rzeźby w katakumbach – była postać Dobrego Pasterza. Najstarszy krucyfiks pochodzi dopiero z V wieku⁷. Tak bardzo przywykliśmy do obrazu ukrzyżowanego Pana, że dziś w ogóle nie uświadamiamy sobie tego, jak szokująco musiał oddziaływać widok krzyża na chrześcijan pierwszych wieków. Patrząc na krucyfiks łatwo zadawaliśmy się jego symboliką artystyczną i z trudem pojmujemy tę potworną rzeczywistość, którą wyraża. Jedno z holenderskich przysłów głosi: „W domu powieszzonego nie mówi się o szubienicy”. Wczesnemu Kościołowi nieobca była podobna delikatność. To w jakiejś mierze tłumaczy, dlaczego minęło tyle czasu, zanim krzyż przeniknął do chrześcijańskiej sztuki i dlaczego pierwsi chrześcijanie tak gorliwie trwali przy obrazie Dobrego Pasterza.

⁷ Najstarszy znany nam wizerunek Ukrzyżowanego znajduje się na relikwiarzu z kości słoniowej z początku V wieku (Muzeum Brytyjskie w Londynie). Również z pierwszej połowy V wieku pochodzi drzeworyt ilustrujący ukrzyżowanie na drzwiach wejściowych kościoła Santa Sabina, obok Domu Generalnego dominikanów w Rzymie.

Jezus przez to, że sam siebie nazywa Dobrym Pasterzem, mówi bardzo dużo o sobie i o swoim Ojcu. Od samego początku nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że Boża obecność jako Pasterza to żadna abstrakcja lub coś bezosobowego. Ta obecność jest indywidualna i bardzo osobista. „Woła on swoje owce po imieniu i wyprowadza je” (w. 3), „staje na ich czele, a owce postępują za nim, ponieważ głos jego znają” (w. 4) „i znam owce moje, a moje Mnie znają, podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca” (w. 14-15). Porównanie odwołuje się do zwyczaju z czasów Jezusa. Wiele trzód znajdowało w nocy schronienie w tej samej owczarni; kiedy zaczynał świtać poranek, każdy pasterz wzywał swoje owce. One poznawały jego głos i biegły za nim na pastwisko. To wzajemne poznawanie się pasterza i owiec jest czymś tak intymnym, że Jezus porównuje je ze swoimi bliskimi więzami, jakie łączą Go z Ojcem. Dokąd sięga głos Dobrego Pasterza, panuje *szalom*: pewność, ochrona, pożywienie.

Taka sama, bardzo osobista troska przejawia się także w przypowieści o zaginionej owcy. Pasterz pozostawia 99 owiec na pustyni i podąża za zaginioną, aż ją znajdzie (Łk 15, 3-7). W Ewangelii św. Marka (6, 3) Jezus lituje się nad tłumem, bo był jak owce nie mające pasterza, i daje ludziom pożywienie w obfitości. Ale uczyni coś jeszcze: Ofiarowując sam siebie Jezus płaci cenę prawdziwego pasterza, oddaje życie za owce swoje, żyje dla nich, umiera za nie, karmi je własnym ciałem. I tak wiernie wypełnia się Psalm 23: „Stół dla mnie zastawiasz... mój kielich jest przeobfity” (w. 5). W tajemniczym paradoksie pasterz staje się barankiem. W tym odwróconym obrazie pobrzmiwa proroctwo, że zostanie zaprowadzony na rzeź i nie otworzy ust swoich. „Bo paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tronu, i poprowadzi ich do źródeł wód życia: i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu” (Ap 7, 17).

Nie tylko sam Mesjasz będzie paść trzode w imieniu Jahwe. Inni również podejmą Jego misję: „I dam wam pasterzy według mego serca, by was paśli rozsądnie i roztropnie” (Jr 3, 15). Jesteśmy Bogu potrzebni, my, mężczyźni i kobiety, troszczący się o Jego lud. To w nas osobiście kontynuowane jest życie, miłość, troska – cele Jezusa. Jako Jego słudzy działamy w Jego imieniu i w sposób przez Niego wskazany. To zadanie zlecił nam sam Bóg. Nasza misja jest nastawiona na ludzi i ich potrzeby; jej korzenie sięgają głęboko i pochodzą od Boga. Każdy we własnej sytuacji może sobie wziąć do serca słowa Piotra:

„Paście stado Boże, które jest przy was, strzegąc go nie pod przymusem, ale z własnej woli, jak Bóg chce; nie ze względu na niegodziwe zyski, ale z oddaniem; i nie jak ci, którzy ciemieją gminy, ale jako żywe przykłady dla stada. Kiedy zaś objawi się Najwyższy Pasterz, otrzymacie niewiedzący wieniec chwały” (1 P 5, 2-4).

Troska i potrzeby, zapewnia Piotr, to nie wszystko. Prawdziwy pasterz szanuje tego, komu służy. Szacunek jest jądrem miłości. Czy moglibyśmy to zadanie Najwyższego Pasterza kontynuować bez należytego szacunku?

Nowy Testament w nie mniejszym stopniu niż Stary potwierdza, jak nieodzowne jest silne poczucie odpowiedzialności - podstawowa cecha pasterza. Za przykład niech posłuży mowa pożegnalna Pawła wygłoszona do starszych w Milecie:

„Uważajcie na samych siebie i na całe stado, nad którym Duch Święty ustanowił was biskupami, abyście kierowali Kościołem Boga, który On nabył własną krwią. Wiem, że po moim odejściu wejdą między was wilki drapieżne, nie oszczędzając stada. Także spośród was samych powstaną ludzie, którzy głosić będą przewrotne nauki, aby pociągnąć za sobą uczniów. Dlatego czuwajcie, pamiętając, że przez trzy lata we dnie i w nocy nie przestawałem ze łzami upominać każdego z was” (Dz 20, 28-31).

Wierzyć w Boga – znaczy przyjąć pasterską troskę Boga; wzrastać w wierze – to być przepojonym Jego troską; dojrzewać w wierze – to uczestniczyć w Jego trosce o innych.

Wszchemocny Boże,
Ty jesteś Pasterzem,
w Tobie wszelkie stworzenie znajduje schronienie.
Ty czuwasz nad nami z troską i szacunkiem.
Jesteś zawsze obecny wśród nas
przez Twoją czynną miłość.
Ty obdarzyłeś nas swoim Synem,
byśmy Twoją troskę o nas mogli dostrzec i odczuć.
On posunął się do tego, że oddał za nas życie:
Jak baranka zaprowadzono Go na rzeź.
Prosimy Cię o łaskę,
byśmy pod Twoją pieczę zawsze czuli się bezpiecznie
i abyśmy zawsze mogli żyć w tym głębokim pokoju,
którego świat nie może nam ani dać, ani odebrać.

Prosimy Cię także, byśmy w miłości mogli strzec tych,
których nam powierzyłeś,
aby królestwo Twoje rosło,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

III

NASZ OJCIEC W NIEBIE

W Nowym Testamencie ulubionym obrazem Boga jest obraz Ojca. Sam Jezus niemal zawsze tak nazywa Boga. Dlatego i nam jest tak bliskie to wyobrażenie. A jednak łatwo mogłoby nam umknąć prawdziwe, biblijne znaczenie tego obrazu – po części ze względu na podupadający autorytet ojca w naszym społeczeństwie. Przed niemal trzydziestu laty Alexander Mitscherlich wydał swoją sławną książkę; *Ku społeczeństwu bez ojca*⁸, opisując i interpretując w niej tendencję zachodniego świata do dewaluacji ojcostwa. Ten rozwój z biegiem czasu jeszcze się pogłębił, tak iż Lance Morrow 15 lat później mógł stwierdzić: „Z 50 000 rodziców, którzy odpowiedzieli na ankietę dziennikarki Ann Landers, przerażająco wysoki procent (70%) ankietowanych stwierdziło, że gdyby jeszcze raz mieli wybór, zrezygnowaliby z dzieci, bo to nie warte było zachodu”⁹.

Ta deflacja rodzicielstwa w najnowszych czasach jest jednym z powodów, dla których tak trudno przychodzi dzisiejszemu światu zrozumienie biblijnego pojęcia *ojciec*. Już wcześniej, zanim pojawiła się aktualna tendencja, powstała przepaść między nowoczesnym a biblijnym pojęciem ojca. Ludzie współcześni są jednak skłonni sądzić, że słowo ojciec w naszych czasach ma takie samo znaczenie jak za czasów Jezusa. Tymczasem wtedy wpływy ojca były dużo większe i ważniejsze niż ma to miejsce dzisiaj. W naszym świecie młody człowiek wyrasta w skomplikowanym i wyspecjalizowanym społeczeństwie, w nurcie różnorodnych wpływów pozarodzinnych. Za czasów Jezusa dziecko niemal wyłącznie zdane było na ojca i matkę. Tak więc niejako z konieczności rozwijał się między ojcem

⁸ Alexander Mitscherlich, *Auf dem Weg zur vaterlosen Gesellschaft*, München, Piper 1963.

⁹ Lance Morrow, *Time Essay*, w: *Time*, March 5, 1979, 42.

a dzieckiem bardzo serdeczny stosunek, jakaś wszystko obejmująca więź – coś, czego dziś już prawie nie umiemy sobie wyobrazić.

Na tym historyczno-socjologicznym tle jawią się dwa istotne aspekty biblijnego znaczenia słowa *ojciec*. Po pierwsze pojęcie to oznacza pana i władcę; władzę i autorytet; po drugie troskę, zainteresowanie, wiarygodność. Zawsze, gdy pada słowo *ojciec* splatają się ze sobą te dwa ciągi znaczeniowe, nawet, jeśli inaczej rozłożone są akcenty.

W Starym Testamencie mało jest tekstów, w których Bóg nazywany jest Ojcem. Wczesne teksty ukazują Boga jako ojca całego narodu; dopiero w nowszych księgach Starego Testamentu mówi się o Bogu jako Ojcu jednego człowieka.

Przykładami wcześniejszego ujęcia, podkreślającymi aspekt autorytetu są:

– pewne wersety hymnu, w którym Mojżesz podsumowuje historię kontaktów Jahwe ze swoim ludem:

Wien tak odplacać chcesz Jahwe,
ludu głupi, niemądry?
Czy nie On twym ojcem, twym stwórcą?
Wszak On cie uczynił, umocnił
Gardzisz Skalą, co ciebie zrodziła,
zapomniałeś o Bogu, który cie zrodził.
Zobaczył to Jahwe i wzgardził,
oburzony na własnych synów i córki (Pwt 32, 6, 18-19);

– niektóre wiersze z wielkiego psalmu, w którym pewien uczeń proroka Izajasza pod koniec niewoli babilońskiej opiewa dobroć Boga:

„A jednak Jahwe, Tyś naszym ojcem. Myśmy glina, a Ty naszym twórcą.
Dziełem rąk Twoich jesteśmy my wszyscy” (Iz 64, 7).

W najstarszych tekstach niekiedy kładzie się również akcent na miłosierdziu i trosce Jahwe o swój lud.

– W tym samym psalmie dziękczynnym i błagalnym czytamy:

Spojrzyj z nieba i patrz z Twej stolicy,
świętej i wspaniałej!
Gdzie Twoja zazdrośna miłość i potęga?
Gdzie poruszenie Twych uczuć?
Miłosierdzia Twego nie powstrzymaj, proszę:

Bóg Ty naszym ojcem!
Zaiste, nie poznaje nas Abraham,
Izrael nas nie uznaje;
Tyś, Jahwe, naszym ojcem,
„Odkupiciel nasz” to Twoje imię odwieczne (Iz 63, 15-16).

- Fragment o szczególnej delikatności znajduje się w rozdziale 11 proroka Ozeasza:

Milowałem Izraela, gdy jeszcze był dzieckiem,
i syna swego wezwałem z Egiptu
Ja uczyłem chodzić Efraima,
na swe ramiona ich brałem.
Pociągnąłem ich ludzkimi więzami,
a były to wiezy miłości.
Byłem dla nich jak ten, co podnosi
do swego policzka niemowlę (Oz, ww. 1-9 fragmenty)

Po raz pierwszy spotykamy się z Bogiem jako ojcem jednostki w obietnicy Pana złożonej Dawidowi:

Ja będę mu (Synowi Dawidowemu) ojcem, a on będzie Mój synem (2 Sm 7, 14).

On będzie wołał do Mnie: „Ty jesteś moim Ojcem, Bogiem moim i skałą mojego ocalenia... Zachowam dla niego łaskawość swą na wieki i wierność będzie moje z nim przymierze (Ps 89, 27, 29).

Panie, Ojcie i Władco życia mojego... nie dozwól, bym przez nie [język i wargi] upadł (Syr 23, 1).

Panie, Ojcie i Boże mego życia, nie dawaj mi wyniosłego oka (Syr 23, 4).

Wzywalem Pana: „Ojcem moim jesteś i mocarzem, który mnie wyzwoli. Nie opuszczaj w dniach udreki, a w czasie przewagi pysznych – bez pomocy (Syr 51, 10).

Przykłady, w których Bóg nazywany jest Ojcem, w Starym Testamencie są rzadkie, natomiast częściej spotykamy się z nimi w Nowym Testamencie. Jezus stale zwraca się do Boga jako swojego Ojca. W samym tylko rozdziale VI Ewangelii według Mateusza Jezus dwanaście razy mówi o Bogu jako swoim Ojcu; we wszystkich czterech Ewangeliach powraca to słowo 177 razy. W Ewangelii według Łukasza jest pierwszym i ostatnim słowem przekazanym nam przez Jezusa. Miał lat dwanaście, gdy mówił: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mojego Ojca?” (Łk 2, 49). Tuż przed śmiercią ostatnie Jego słowa brzmiały: „Ojcie,

w Twoje ręce powierzam ducha mego” (Łk 23, 46). Poza tym Ewangelie wspominają o wielu innych wydarzeniach, w czasie których Jezus zwraca się do swojego Ojca.

Ale chociaż jest synem jedynym w swoim rodzaju, Jezus nie zawłaszcza tego przywileju tylko dla siebie. Kiedy nas uczy, byśmy się zwracali do Ojca tak jak On, to pozwala nam uczestniczyć we własnej zażyłości z Ojcem. To należy w jakiś szczególny sposób do Jego posłannictwa. W swojej mowie pożegnalnej stwierdza: „Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie” (J 14, 6). Na pewno przychodzi do Boga wielu nie znających Jezusa – że przywołały tu choćby tylko wielkie światowe religie: hinduizm i buddyzm. Podziwu godne i szczerze jest ich usilne pragnienie znalezienia Boga. A ich doświadczenia religijne są głęboko mistyczne! Lecz mimo to, mimo ich niewyczerpanej duchowej głębi, rzadko albo nigdy nie docierają do Boga jako Ojca. Jednym z największych skarbów, jakim obdarzył nas Jezus, jest to, że wolno nam obcować z Bogiem jak dziecku z ojcem.

W życiu Jezusa-Syna odnajdujemy oba aspekty biblijnego znaczenia słowa „ojciec”. Dla Jezusa Ojciec jest Panem i Władcą: „Wysła-wiam cię, Ojczy, Panie nieba i ziemi” (Mt 11, 25). Bóg jest Panem, Jezus jest Mu posłuszny: „Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który mnie posłał” (J 4, 34), i „Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba” (J 8, 29). Ale coraz bardziej nośny jest również ów drugi aspekt, aspekt wprost niezwyklej ufności i intymności. Oto Jezus zwraca się do Ojca pieszczotliwie, pełnym ufności słowem „Abba”. Całego bogactwa tego niepozornego słowa nigdy nie uda nam się zgłębić, ale czujemy, że wyraża ono ścisłą więź Jezusa z Ojcem. To jest jakby istota, samo jądro Jego osobowości. To ów stosunek do Ojca, do *Abba* sprawił, że stał się tą Osobą, którą był. To on sprawił, że nie zajmował się sobą i że z taką łatwością, otwartością, sympatią i wyzwalającą miłością z wszystkimi umiał nawiązać kontakt¹⁰.

Nas również nie tylko zaproszono, ale i wezwano, do nawiązania z Ojcem równie bezpośredniego i wyzwalającego kontaktu. Dobitnie

¹⁰ Piet van Breemen SJ, *Mein Name in Seiner Hand*, Würzburg, Echter Verlag 1979, 50.

jasno formułuje to św. Paweł: „Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: «Abba, Ojcze!»” (Rz 8, 14-15). Strach przed przeszłością i przyszłością może na człowieka sprowadzić wiele nieszczęść. Z jednej strony może nas zmusić do defensywy, zamknąć przed nami drogi postępu; z drugiej ze strachu skłoni do „ucieczki w przód”, do ucieczki przed samym sobą. Strach może być przyczyną obojętności wobec innych i faryzeizmu wobec Boga. Może też zdusić w nas to, co najpiękniejsze i najlepsze. Wszystko, co robimy pod wpływem strachu, nie jest owocem ducha. Głęboko zakorzeniona świadomość, że Bóg jest naszym *Abba*, uśmierza strach, sprawia, że rozkwita nowa wolność, ta wolność, którą Jezus uczynił tak atrakcyjną i nie fałszowaną. Mamy przywilej uczestniczenia w zażyłości Jezusa z Ojcem. Syn pragnie w nas, naszym życiem, wielbić swojego Ojca i ukazać, na czym polega emanacja i pełnia życia Ojca. Ojciec zaś chciałby w nas sławić swojego Syna – by nadal żył duch Jezusa. Stajemy się nowym wcieleniem, a w nim Syn na powrót przyjmuje ludzką postać.

Równie entuzjastycznie jak Paweł na temat naszego stosunku do *Abba* wypowiada się Jan: „Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi, i rzeczywiście nimi jesteśmy” (1 J 3, 1). Stąd właściwym skutkiem wcielenia i punktem kulminacyjnym prologu Jego Ewangelii są słowa: „Wszystkim tym jednak, którzy Je [czyli Słowo - przyp. tłum.] przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi” (J 1, 12).

W pojęciu Bożego ojcostwa mieści się także myśl, że człowiek jest posłuszny Jego woli. Dla Jezusa wola Ojca była treścią życia. Tego żąda od wszystkich, którzy za Nim podążają. To jest probierz autentyczności naszej wiary w Ojca. „Nie każdy, który Mi mówi: «Panie, Panie», wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie” (Mt 7, 21). „Bo kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem, siostrą i matką” (Mt 12, 50).

To, że Bóg jest Ojcem - jest tą Radosną Nowiną, którą Jezus chce w nas utwierdzić. Kto w to naprawdę uwierzy, nie tylko umysłem, ale i sercem, ten stanie się innym człowiekiem.

Ojcostwo kojarzy się nam z takimi pojęciami jak: inicjatywa, miłość, troska, ustępowanie miejsca, zakorzenienie, przebaczenie, uniwersalność.

Ojciec występuje z *inicjatywą*. Każdy ojciec jest twórczy: to on powołuje życie. Kocha dziecko, które zrodził, jeszcze przed jego narodzeniem. Dlatego Augustyn może powiedzieć: „Ty mnie stworzyłaś, ponieważ mnie kochałaś”. Ojciec Niebieski nie zaczyna kochać swojego dziecka po akcie stworzenia albo w trakcie tworzenia. Nie. Jego miłość jest właśnie przyczyną aktu stwórczego w ogóle; jest początkiem, źródłem. Tutaj dotykamy wyzwalającej prawdy o miłości jako źródle, która w tak trwałą sposób inspirowała świętego Bernarda, a o której św. Jan pisze w swoim pierwszym Liście: „W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował” (1 J 4, 10).

Ojciec daje bez zasługi. Jego miłość jest nieobliczalna. Podczas aktu rodzicielskiego podejmuje pewne ryzyko. Nikt nie może zagwarantować, że dziecko będzie zdrowe fizycznie, duchowo i moralnie. Ojciec może swoje dziecko kochać dla jego dobra – i to jest jedyna rzecz, jaką może zrobić. Taki jest nasz Ojciec Niebieski.

Ojcostwo zakłada *miłość*: delikatność i ciepło, dobroć, niezawodność i niewyczerpaną życzliwość. „Jak się lituje ojciec nad synami, tak Jahwe lituje się nad tymi, co się Go boją” (Ps 103, 13). „Pociągnąłem ich ludzkimi więzami, a były to więzy miłości” (Oz 11, 4). Dziecko zależy od ojca, to nie ulega wątpliwości, ale liczy się także sytuacja odwrotna. W pozytywnym i negatywnym sensie szczęście rodziców zależy od tego, jak ich dziecko się rozwija; są z nim bowiem związani tysiącami więzów. Miłość czyni nas wrażliwymi; prawdziwe ojcostwo oznacza, że dorastamy do bezinteresowności. Może tylko zbyt często zapominamy, że ta prawda dotyczy Boga, co w efekcie czyni z Boga jakby swoistą karykaturę Ojca. Czy my, chrześcijanie, nie ulegliśmy przypadkiem zbyt wielkim wpływom filozofii Arystotelesa, który Boga nazywał „nieruchomym poruszycielem” i dlatego przedstawiał Go jako absolutnie odległego i nietykalnego? Może i w zgryźliwej uwadze francuskiego encyklopedysty Diderota tkwi jakaś część prawdy, gdy mówi: „Zaden dobry ojciec nie chciałby być taki, jak nasz Ojciec niebieski”.

Z miłości ojca płynie jego *troska*. Piotr udziela następującej rady: „Wszystkie troski wasze przerzucie na Niego, gdyż Jemu zależy na

was" (1 P 6, 7; Ps 55, 23). Ta wiedza uwalnia nas od niepotrzebnego niepokoju. Jeszcze wyraźniej podkreśla to Jezus: „Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to co dobre tym, którzy Go proszą" (Mt 7, 11). „Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię. U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli" (Mt 10, 29- 31).

Ojciec *ustępuje miejsca* swojemu dziecku, by mogło się stać sobą. Udostępniając przestrzeń, w której rozwijać się może do samodzielnego życia, potwierdza indywidualność dziecka. Nadaje dziecku imię, przez co można się doń zwracać, a ono jako osoba udziela mu odpowiedzi. Dzięki temu z czasem poczuwa się do własnej odpowiedzialności i osiąga własną tożsamość. Podobnie po imieniu nazywał nas Ojciec niebieski, a Jezus dodaje: „Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami" (J 18, 8).

Mojemu ojcu *zawdzięczam swoje korzenie*. Tysiące pokoleń przodków żyło i umierało, ale gdy umrze mój ojciec, zostaję sierotą. Przez mojego ojca jestem zakorzeniony wśród jego przodków. Dzisiaj te korzenie są nam bardziej potrzebne niż kiedykolwiek przedtem. Mówimy często, że z powodu telewizji świat stał się jakby jednoizbowym mieszkaniem. Ale prawdziwe jest także stwierdzenie przeciwne: nasz pokój mieszkalny osiąga takie rozmiary, że właściwie już nigdy i nigdzie nie czujemy się jak w domu. Biblia niejako ryczałtem przyznaje ludzkim dziejom przed Chrystusem jakieś 4 000 lat. Ale dla nas liczą się one już w milionach lat, w których nasz odcinek życia gubi się niczym mikroskopijna cząsteczka. Człowiek wykorzeniony jest zdeprimowany i bojaźliwy. Gdy Boga nazywamy Ojcem, myślimy w pierwszym rzędzie o Jego dobroci i trosce, a przecież dochodzi do tego jeszcze bezpieczeństwo, wrodzone zaufanie i zakorzenienie. „...abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani..." (Ef 3, 17). Freud uważał wiarę w Boga za namiastkę niedojrzałego przedłużania więzi z ojcem. Ale czy nie mogło być inaczej? Czy stosunek do naszego ojca nie mógł być zakorzeniony w jakimś wcześniejszym i głębszym stosunku do Boga-Ojca? „Dlatego zginam kolana moje przed Ojcem, od którego bierze nazwę wszelki ród na

niebie i na ziemi" (Ef 3, 14-15). Zechciejmy te obrazy nieco poprzestawić. Nasz stosunek do Boga jako Ojca jest kotwicą zarzuconą na największej głębokości naszego istnienia.

W biblijnym orędziu Ojciec daruje przewinienia, *przebacza*. Najpiękniejszą próbą przedstawienia nam swojego Ojca jest przypowieść Jezusa o synu marnotrawnym. Miłość ojca do syna jest tam tak bezinteresowna i tak czysta, że w sercu ojca nie pojawia się nawet cień urażonej dumy czy egoistycznej goryczy. Dlatego może swojego marnotrawnego syna wziąć w ramiona bez wyrzutów, a swoją serdecznością leczyć jego urazy i przywracać do życia. „... Mój syn był umarły, a znów ożył...” (Łk 15, 24). Ojciec, który obdarzył życiem, może to życie również przywrócić. Taki jest egzystencjalny sens Chrystusowego orędzia. Ojcostwo to nie tylko jednorazowy, początkowy akt, ale i nieustanna możliwość nowego początku.

Uniwersalność jest kolejną, istotną cechą boskiego ojcostwa. „On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 45). Jest Ojcem nas wszystkich, pragnie, byśmy żyli jak bracia i siostry jednej rodziny. Tak, jesteśmy braćmi i siostrami, ale nie w duchu oświeceniowej, schillerowsko-beethovenowskiej *idei ogólnoludzkiego zbratania* i nie w abstrakcyjnej formie takiej czy innej ludzkiej ideologii. Nasze pokrewieństwo nie jest też pokrewieństwem z krwi czy woli ciała; to raczej rodzaj boskiej rzeczywistości. Nowy Testament w porównaniu ze Starym wprowadza do relacji człowiek – Bóg większy stopień intymności, ta zaś większą uniwersalność i głębszą jedność między wszystkimi ludźmi. Gdzie żywa jest wiara w ojcostwo Boże, coraz bardziej rośnie jedność ludu Bożego. Miłość i jedność są *tymi* znakami, które uwiarygodniają i urealniają naszą wiarę.

Kończąc ten rozdział, trzeba się chyba ustosunkować do pewnego ważnego i zarazem delikatnego zagadnienia. Zastanawialiśmy się nad biblijnym znaczeniem słowa *ojciec* zgodnie z Pismem i Tradycją. Ale jak to znaczenie przybliżyć ludziom, których doświadczenia z ojcem w dzieciństwie były negatywne? Zdarza się bowiem, że niektórych ludzi ogarnia niepokój, gdy w ich otoczeniu zaczyna się mówić o Bogu jako Ojcu. Łatwo to zrozumieć. Najlepiej takie sytuacje tłumaczy i najlepszej rady udziela – jak sądzę – Viktor E. Frankl:

Pandeterministyczna ocena religii głosi, że życie religijne człowieka warunkują jego doświadczenia z wczesnego dzieciństwa, a pojęcie Boga zależy od

jego wizerunku ojca. Za to, tak dobrze wiemy, syn pijaka wcale nie musi zostać alkoholiczkiem, a zniekształcony wizerunek ojca niekoniecznie musi mieć szkodliwy wpływ na zdrowy stosunek do Boga. Nawet najbardziej negatywny obraz ojca nie musi być przeszkodą w kształtowaniu dobrych kontaktów z Bogiem: raczej jest tak, że życie głęboko religijne wyposaża człowieka w takie zasady, dzięki którym potrafi przetrwać swą nienawiść do ojca. I odwrotnie: mało wyraziste życie religijne nie w każdym przypadku daje się sprowadzić do roli czynnika rozwojowego.

To spostrzeżenie wspiera autor szerokim doświadczeniem ze swojej praktyki:

Statystyczne badania przeprowadzone przez moich współpracowników w Wiedeńskiej Poliklinice wykazują, że mniej więcej jedna trzecia pacjentów wyposażonych w wizerunek ojca o rysach pozytywnych, w swoim późniejszym życiu odwróciła się od religii, natomiast większość testowanych osób, którzy przechowali w sercu negatywny obraz ojca, mimo wszystko zdołała zachować pozytywny stosunek do religii¹¹.

Boże wszystkich pokoleń,
to Jezus z Nazaretu
przekazał nam Twoje imię: Ojciec.
To On nam ukazał, co całe Jego istnienie zawdzięcza Tobie,
i że bycie w jedności z Tobą
było tajemnicą Jego życia.
Przez Niego stałeś się dla nas osiągalny i fascynujący.
Teraz wiemy,
że jesteś nie tylko praprzyczyną naszego istnienia,

¹¹ Viktor E. Frankl, *Man's Search for Meaning: An Introduction to Logotherapy*, Boston, Beacon Press, 1966, 134. Por. także: *Der Wille zum Sinn*, Bern, Verlag Hans Huber 1978², 159-160 i: *Ärztliche Seelsorge*, Wien, Verlag Franz Deuticke 1979⁹, 29-30. Z obu rozpraw robi autor wyciąg i lekko go modyfikując umieszcza w jednym z listów jako następujący tekst: Determinizm sprowadza utratę wiary człowieka do jego wychowania i otoczenia. Uparcie trzyma się tezy, że w konkretnym przypadku to wizerunkowi ojca należy przypisać zniekształcenie obrazu Boga, a następnie również wyparcia się Boga. No cóż, moi współpracownicy zadali sobie trud przesłedzenia całego szeregu przypadków pod kątem korelacji jaka zachodzi między wizerunkiem ojca, a życiem religijnym. Przeprowadzone przez nich badania statystyczne wykazały, że ludzie, którzy stali się wyznawcami religii w podeszłym wieku, wcale nie rekrutowali się jedynie z kręgów tych, którzy nosili w sobie pozytywny wizerunek ojca, a ci, co stali się ateistami, też nie stracili wiary tylko dlatego, że ulegli wyłącznie jakiemuś negatywnemu wizerunkowi ojca.

ale i troskliwym, kochającym Ojcem,
któremu w pełni możemy zawierzyć.
Prosimy Cię, Panie,
pozwól, byśmy wciąż z najgłębszą czcią
od Niego przyjmowali Twoje imię,
żeby zawsze było żywe wśród nas,
i żebyśmy je wiernie mogli przekazywać innym,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki wieków. Amen.

IV

W NIM JEST ŻYCIE

Przeor z Taizé, Roger Schutz, opublikował dziennik pod znamienym tytułem *Święto bez końca*. Tytuł ten może sugerować, że mamy do czynienia z człowiekiem bezgranicznie szczęśliwym. Kiedy Rogera Schutza zapytano: „Bracie Rogerze, a cóż takiego czyni z Twojego życia święto?“, odpowiedział: „Nade wszystko to, że afirmuję siebie takim, jakim jestem”. Akceptowanie samego siebie – to właśnie początek owego święta bez końca. Ale to trudne i rzadkie.

MAŁO LUDZI KOCHA SAMYCH SIEBIE

Dla wielu ludzi sama myśl, że należy kochać samego siebie, jest rodzajem pokusy - niemal świętokradztwem. Jeszcze nie dostrzegli różnicy między negatywną miłością własną a dobrą miłością siebie, której chce Bóg. Niemało ludzi dobrze obznajomionych z nauką chrześcijańską uważa, że niejako w depozycie naszej wiary tkwi myśl, iż ludzkość skażona grzechem pierworodnym jest z zasady zła. Niektórzy czasem nie tylko tak myślą, ale i według tego fałszywego przekonania, któremu ulegli, żyją. Główny problem duchowego doradztwa i przewodnictwa często sprowadza się do takich spraw jak negatywna samoocena, brak wiary we własne siły, niezdolność do pozytywnej oceny własnej osoby i brak autoafirmacji. Wszystko to unieszczęśliwia człowieka. Wielu sumiennych chrześcijan nie chce uznać istniejącego w nich dobra. A gdy ich o to zapytać, przyznają jakby półprzymtomnie, że rzadko się nad tym zastanawiali. A płynie stąd wniosek, że za to dobro nigdy Bogu tak naprawdę nie dziękowali. Natomiast Maryja w swoim *Magnificat* daje nam inny przykład. Nie umniejsza tego, co jej zostało darowane, lecz nazywa wielkim. Również Psalm 103 każe nam nie zapominać o dobrodziejstwach otrzymanych od Boga. Od czasu do czasu, zamiast szukać swoich

błędów, próbujemy wyłowić nasze talenty, zliczyć owe darowane nam dobrodziejstwa – to na pewno dobrze nam zrobi!

Być może w formowaniu naszych postaw życiowych, w naszym wychowaniu zbyt eksponowano nasze negatywne właściwości. Czyniono to zapewne w najlepszej wierze, bo albo chciano nam zwrócić uwagę na nasze błędy, byśmy je przewycięzali, albo ustrzec nas przed samouwielbieniem i pychą. Jednak, gdy przekracza się w tym miarę, działa to na ludzi hamująco. Często jest to wynikiem pewnej postawy obronnej, jakąś pierwszą oznaką kompleksu niższości, rodzajem gry w chowanego czy symulacją, ciągłym porównywaniem się z innymi, jakąś niezdrowa mentalność, by wciąż z kimś konkurować.

WIELU LUDZI CZUJE ZAGROŻENIE ZE STRONY PODOBNYCH DO SIEBIE

Dość często widzi się w innym człowieku konkurenta lub zagrożenie dla siebie. Gdy wiara we własne *ja* jest słaba, człowiek chciałby się potwierdzić. Musi sobie samemu i innym udowodnić, że mimo wszystko jest coś wart. Niekiedy właśnie w ten sposób każdego innego czyni swoim rywalem. Zdarzają się sytuacje wręcz tragiczne: ktoś inny bywa chwalony – a ja, ze swoim poczuciem niższości, czuję się zaatakowany. Wprowadzam do gry konkurencję tam, gdzie wcale nie chodzi o zyski lub straty.

Inny przykład: Młody człowiek raz zlekceważony uogólnia to doświadczenie. Najpierw sam sobie wmawia, że nikt nie dałby za niego „złamanego grosza”, ale już po chwili twierdzi, że wcale nie jest tego wart, żeby się ktoś nim zajmował. W swoim negatywnym nastawieniu do siebie w ogóle nie dopuszcza do siebie oznak sympatii, którymi jest obdarzony. A kiedy później inni naprawdę zaczynają zwracać na niego mniejszą uwagę, jest pewny, że oto sprawdziły się jego przewidywania.

Jeżeli kogoś nie cierpię, to zazwyczaj nie dlatego, że zbyt kocham siebie samego, lecz dlatego, że kocham siebie za mało. Nie znoszę kogoś dlatego, że właściwie nie znoszę siebie. A jeżeli nie lubię siebie samego, to przecież nie mogę oczekiwać, by lubili mnie inni, co więcej, mogę się nawet uważać za człowieka, którego nikt nie kocha lub że w ogóle nie mogę być kochany. Staję się wówczas nieufny, przyjmuję postawę obronną, a nawet posuwam się do

agresji. Nie stać mnie na to, by spojrzeć w oczy swoim nieudolnościom. Jeśli zdobywam się na to, to po to, żeby się na nie godzić. To co negatywne we mnie, mój cień – jakby powiedział Jung – zostaje stłumione, bo nie doceniam tego, co we mnie dobre. Moje samozrozumienie w obu kierunkach – i negatywnym, i pozytywnym – nie jest dość realistyczne. Ta pełna napięcia, nerwowa postawa obronna oczywiście może hamować zdrowe dojrzewanie i rozwój.

SAMOTNYCH JEST WIELU

Wszyscy słyszeliśmy o przerażającej samotności wielu starszych ludzi; niektórzy z nich umierają w takim opuszczeniu, że odnajduje się ich dopiero po kilku dniach. Z tym dręczącym uczuciem samotności młodsze pokolenie nie zмага się wcale mniej, a może nawet jeszcze bardziej. Również w środkowej fazie życia wielu z nas cierpi z powodu izolacji. Samotność staje się jakby chorobą, która przysparza niezmiernych cierpień.

Strach przed samotnością często jest bardziej przerażający niż sama samotność. Wielu z nas potrzebuje „realnej egzystencji” drugiego. Człowiek, który mnie przyjmuje takim, jakim jestem, wierzy we mnie i ufa mi, rzeczywiście istnieje. Jednak wielu ludzi widocznie nie uznaje jego istnienia. Swoim desperackim i wręcz natrętnym parciem do tego, by sprawdzać autentyczność tego, co „rzeczywiście istnieje”, często przygłuszają resztki tego realnego istnienia. Niektórzy prą do głębokiego osobistego kontaktu tak gwałtownie, że duszą go w samym zarodku, bo prawdopodobnie wysuwają wobec tych, których zwą swoimi przyjaciółmi, jakieś nieziszczalne żądania. Tak oto, gdy ci „przyjaciele” nie mogą spełnić naszych nierealnych oczekiwań, przygotowany zostaje grunt dla gorczy i wrogości. Wszystko to jest przyczyną głębokiego cierpienia – aż po piekło rozpaczy; przez to wszystko, nawet życie, traci sens. Pod zewnętrzną afekcją często kryją się uczucia opuszczenia i bezwartościowości.

WIELU LUDZI NIE ŻYJE W ZGODZIE Z SAMYMI SOBĄ

Jeżeli nie będziemy żyć w zgodzie z sobą samym, to nie będziemy umieli żyć w zgodzie z kimś innym. Może się zdarzyć, że

spróbujemy się schronić za parawanem aktywizmu. Ale wtedy będzie to zwykła ucieczka przed tym problemem, przyznanie, że jest on nierozwiązywalny. Kiedy byłem mały, z podziwem przyglądałem się motocyklistom, którzy podczas jarmarku w moim rodzinnym miasteczku popisywali się różnymi ewolucjami na stromej ścianie. Sztuczka polegała na szybkości. Tak długo jak jechali wystarczająco szybko, wszystko było w porządku, ale gdy tylko zmniejszali szybkość, spadali na ziemię pośrodku namiotu. Później zrozumiałem, że niektórzy spośród nas tak właśnie żyją. I znowu kluczem do sprawy jest szybkość. Jeżeli poruszamy się zbyt wolno, wpadamy do wielkiej dziury w środku naszego życia. Jesteśmy jak wiór, który się owinął wokół swojej pustki. Demonstrujemy wokół siebie taką aktywność, taką skrzętną pracowitość i przekonujemy samych siebie gorliwie o tym, że jest to niezbędnie konieczne, że brak nam czasu na konfrontację z naszą własną samotnością i pustką. Niby biegniemy, ale właściwie to uciekamy przed samymi sobą.

Mania zakupów i konsumizm też mogą stać się pokusą ucieczki przed samym sobą lub próbą zapełnienia pustki samotności. Frustrację niespełnionego marzenia próbujemy uleczyć gromadzeniem materialnych dóbr. Ale te sprawunki są jak słona woda – im więcej jej pijemy, tym większe dręczy nas pragnienie. Tak sobie dogadzając, stwarzamy wrażenie, że naprawdę bardzo siebie kochamy. Wszyscy jednak wiemy, że gdy rodzice rozpieszczają swoje dzieci, to często w ten właśnie sposób maskują pewien niedostatek miłości.

Gdzie za mało miłości, tam rzeczy te stają się niezwykle ważne – prowadzą wręcz do rodzaju narkomanii. Potrawy i trunki, sympatie i antypatie, przyjemności, majątność, praca, uznanie, wpływy, znaczenie, władza i całe mnóstwo rozmaitych środków zastępczych mogą zawładnąć życiem. W takim stopniu, jak zamiera miłość, wzrasta zapotrzebowania na wszystko, co miłością nie jest.

To głębokie pragnienie sensu życia, to przeczucie, gdzie go należy szukać, i tę świadomość jego kruchości ujął w następującym zdaniu Jean-Paul Sartre: „Wierzyć, że życie warte jest przeżycia, to szczyt szczęśliwej miłości, jeżeli taka w ogóle istnieje”.

André Gide zauważył, że ludzie zbyt łatwo zaprzepaszczają swoje szczęście – swoje poczucie szczęścia w sensie szeroko rozumianego, dogłębnego spełnienia się. W istocie, człowiek zbyt łatwo rezygnuje

z dążenia do szczęścia. Tymczasem silnym sprzymierzeńcem tego dążenia do szczęścia jest wiara, bo w wierze głównie chodzi o miłość, a w życiu tylko miłość ma sens i uszczęśliwia. W każdym z nas tkwią ogromne możliwości, które jak pąki zapowiadają pojawienie się liści i kwiecica. Pąk musi się jednak najpierw otworzyć, a to następuje jedynie w sprzyjającym klimacie. Tak długo jak klimat jest ostry i panują chłody, pąki się nie otwierają, ale gdy nadchodzi wiosna i zaczyna grzać słońce zaczynają tryskać całym bogactwem zieleni i kwiecica. Ludzie też są tacy.

Każdy z nas nosi w sobie, w głowie, sercu i dłoniach niezmiernie skarby. Ludzie są tak wszechstronnie uzdolnieni, że praktycznie po każdym z nas można się spodziewać czegoś niezwykłego. Przyroda, gdy chodzi o zarodki życia nigdy nie jest oszczędna ani skąpa; taki sam ogromny, wrodzony potencjał tkwi również w człowieku. Wszystko to jednak jest ukryte, jakby uśpione, dopóki atmosfera jest mroźna i wroga. Tylko w klimacie miłości rozkwitają talenty, odkrywane są prawdziwe skarby. „Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie...” (J 15, 8). Taki był zamiar ojca, gdy powoływał nas do istnienia; za tym gorąco tęskni także nasza natura.

Nawet jeśli miłość nie tworzy własnej, autonomicznej wartości, to jednak tylko dzięki miłości może się ta wartość rozwijać. Tylko w miłości możemy doświadczyć radości, zrozumieć, że życie warto przeżyć, że może być owocne i mieć sens. Ale radości płynącej z tej właśnie świadomości, nie możemy sobie dać sami. Dać nam ją mogą tylko inni. A jej ostatecznym źródłem jest sam Bóg.

Mówimy tu o miłości, którą darzymy innych. Ludzie naprawdę i mocno kochający nie głowią się nad sensem życia; dla nich życie po prostu ma sens! „Kochaj i czyń, co chcesz”, mówi Augustyn. Życie jest dobre! Ale zanim kogoś obdarzymy miłością, musimy ją otrzymać. Zanim pokochamy, musimy być kochani. Być kochanym – to najbardziej elementarna tęsknota każdego ludzkiego serca. W duchu Augustyna możemy powiedzieć: „Czuj się kochanym i czyń, co chcesz”. Każdy z nas potrzebuje więcej miłości niż na to zasługuje. Dlatego nigdy nie można jej kupić ani wymusić. Można nią tylko obdarzać i tylko ją otrzymywać.

Poza tym niejako z natury nie pragniemy miłości krótkotrwałej, uwarunkowanej lub ograniczonej. Ona musi trwać wiecznie, ma być bezwarunkowa i wszechogarniająca zarazem. A to oznacza, że tylko

Bóg jest ostatecznym spełnieniem tego naszego pragnienia. Ludzka miłość łatwo może manipulować innymi: „Gdybyś mnie naprawdę kochał, to nie zrobiłbyś tego...”, albo „...zrobiłbyś to dla mnie”. Tylko miłość Boga nie stawia żadnych warunków wstępnych. Nie potrzebuje żadnego oparcia, sama jest podstawą wszystkiego. Jest czystym zaskoczeniem. Nie ma granic. Dzięki temu, że nie potrzebuje oparcia, czujemy się pewni i bezpieczni. Gdyby się na czymś opierała i gdyby to „coś” się załamało, to miłość Boga by się rozpadła. Ale u Boga to niemożliwe. Ludzie świadomi tego, mogą czuć się wolni i żyć pełnią życia. A ci, którzy tego jeszcze nie odkryli, wloką za sobą, jak Atlas dźwigający kulę ziemską, olbrzymie brzemie, którym jest chęć zasłużenia sobie na miłość Boga. Już sam widok tego niepokoi. Chciałoby się temu Atlasowi powiedzieć: „Rzuć ten globus i tańcz na nim; po to został stworzony”. Podobnie chciałoby się rzec tym udręczonym i bezgranicznie zmęczonym ludziom: „Zrzućcie wasze brzemie i budujcie swoje życie na miłości Bożej; tylko wtedy będziecie żyli naprawdę”. My nie musimy zasługiwać na miłość Boga i nie musimy jej podtrzymywać. Jest wolnym darem. „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11, 28).

Miłość Boga jest miłością wszechogarniającą, nieograniczoną. Bóg kocha także grzeszników. Grzech nie umniejsza miłości Boga, świadczy jedynie o tym, że to my nie dość kochamy Boga. „Jeśli my odmawiamy wierności, On wiary dochowuje, bo nie może się zaprzeczyć siebie samego” (2 Tm 2, 13). Grzeszyć znaczy izolować się od miłości Bożej, oddzielać się od niej murem. Jeżeli przez całe życie będę budował ten mur, to zbuduję sobie coś na kształt lochu, coś tak masywnego, że sam w nim ugrzęznę. A cała tragedia polega na tym, że tymczasem na dworze wciąż jeszcze świeci słońce Bożej miłości.

Miłość Boga nie zna barier. Wszystko mieści się w Jego nieskończonej wierności. I choć cierpienie i nieszczęścia są tak powszechne, że nie jest z nich wyłączona żadna rodzina, żaden człowiek, to jednak miłość Boga jest większa i potężniejsza niż wszelkie zło i obejmuje wszystko. „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska” (Rz 5, 20). Jego miłość ma zawsze ostatnie słowo i w niej wszystko można odbudować od nowa; ona może uzdrowić i uświęcić. „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru” (Rz 8, 28).

Boża miłość jest źródłem i spełnieniem naszego życia. Tradycyjnie objaśnia się to za pomocą słowa „stworzenie”.

Słowo to w naszych czasach być może nie ma już tej wymowy, co dawniej. Dziś miłość Boga jest w nim ledwo uchwytna. Używano go w chłodnym racjonalistycznym kontekście dla wyjaśniania tego, czego wyjaśnić się nie da, albo żeby zmusić nas do totalnej służby Stwórcy. Niektórym natychmiast przyjdą na myśl pierwsze słowa ignacjańskich *Ćwiczeń*: „Człowiek został stworzony po to, by oddawać chwałę Bogu, naszemu Panu, czcić Go i Mu służyć, i w ten sposób ratować swoją duszę”. Z tego stwierdzenia łatwo wyciąga się błędny wniosek, że jest to próba narzucenia nam wręcz niewolniczego podporządkowania; że jako istoty stworzone nieuchronnie jesteśmy niewolnikami własnej egzystencji, i że gdybyśmy tę podstawową zasadę chcieli ignorować, to czeka nas za to straszliwa kara.

Tymczasem ta wytyczna świętego Ignacego nie tłumii, lecz wyzwala. Nastawić się na takie dążenie do Boga, to jedyna droga do trwałej samorealizacji. Wielbić Boga i Jemu służyć – zawsze ma sens. To żadna samowola, żadne narzucone nam przez Boga zobowiązanie. Do Boga dążymy dzięki niejako zakodowanej w naszej naturze sile przyciągania. To nie jest porządek rzeczy autorytatywnie zaprojektowany przez Boga; on ogarnia najgłębsze zakamarki naszego serca, gdzie go stopniowo odkrywamy. To nie Bóg każe nam siódmego dnia – po tym jak ukończył swoje dzieło stworzenia – „bić sobie brawo”, nie, to człowiek nie może się powstrzymać, by nie wyrażać swego zachwyty dla Stwórcy, i Jego dzieła. Ta zasada nie głosi niczego obcego i wyobcowującego, lecz głęboką ludzką mądrość. Skupia w sobie dużo pozytywnych i negatywnych doświadczeń. A ponieważ nasze decyzje często są nieprzejrzyste i dwuznaczne, przeto zasada ta może być wartościową pomocą – jako wytyczna.

Kluczem do jej właściwej interpretacji jest poznanie, że akt stwórczy to akt miłości. Dzieło stworzenia to wyraz odwiecznej tęsknoty Boga właśnie za tym niepowtarzalnym człowiekiem. W jakimś momencie ta tęsknota Boga stała się tak intensywna, że doszło jakby do „boskiego iskrzenia”, dzięki któremu zaistniał konkretny człowiek, teraz żyjący nigdy nie kończącym się, wiecznym życiem. Ku tej twórczej miłości zdąża całe nasze istnienie, i tylko wtedy, gdy udaje się nam dostroić wszystkie nasze wybory do tej Pierwotnej Przyczyny, w pełnej harmonii rozbrzmiewa melodia naszego życia ku radości własnej, naszych bliźnich i naszego Stwórcy.

W tym miejscu może się przydać kilka myśli o słowie „doskonałość”. Wyróżnić można trzy znaczenia tego słowa. Być doskonałym, to po pierwsze być bezbłędnym, nie mieć braków. Przykładem może tu być doskonały mówca z wielkim zasobem słów, dobrym opanowaniem gramatyki, znakomitą dykcją, umiejący wygłosić klarowny, porywający odczyt – niczego więcej nie trzeba. Ale doskonałość można rozumieć także inaczej. Weźmy, na przykład, człowieka jakającego się, ale człowieka, który nauczył się żyć z tą ułomnością: kiedy ma coś powiedzieć prywatnie lub publicznie, to może to być niezbyt miłe i dla niego, i dla słuchaczy; on jednak nie daje się od tego odwieść i mówi to, co zamierzał. Ten rodzaj doskonałości wymaga pogłębionej interpretacji: to jest doskonałość naszego ułomnego świata. Człowiek ten nauczył się zawierać pokój ze swą ograniczonością i z całym spokojem dać z siebie wszystko. Udało mu się osiągnąć to, co ma na myśli Roger Schutz, gdy mówi o afirmacji samego siebie: jest taki, jaki jest, z tym się godzi i z tym chce być przydatny. W trzecim znaczeniu, według Pisma świętego, doskonałość to świętość, czyli rodzaj szczególnej obecności Boga, święty był Synaj, bo był na nim obecny w swej wspaniałości i wierności przymierzu Jahwe. Doskonały był Mojżesz, bo Bóg w szczególny sposób wezwał go, by był w pobliżu. Święte było imię Jahwe, bo było odpowiednikiem samego Świętego.

Między trzecim i drugim znaczeniem istnieje pewien związek. Ponieważ Bóg dochowuje nam wierności i jest z nami także w naszej nieudolności, możemy się akceptować takimi, jakimi jesteśmy; autoafirmacja jako akt wiary! Natomiast bezwarunkowa afirmacja Boga obdarza nas pokojem, jakiego świat dać nam nie może, a to z kolei czyni nas bardziej twórczymi, niż gdybyśmy byli zdani tylko na siebie samych. Chrześcijańska doskonałość nie jest więc żadnym perfekcjonizmem. Perfekcjonista nie potrafi żyć z błędami, natomiast Bóg może. Bóg nie ogranicza naszego życia, pozwala mu rozkwitać.

Nad wszystkim masz litość, bo wszystko w Twojej mocy, i oczy zamykasz na grzechy ludzi, by się nawrócili. Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia, niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś, bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił. Jakżeby coś trwać mogło, gdybyś Ty nie powołał [do bytu]? Jak by się zachowało, czego byś nie wezwał? Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku życia! (Mdr 11, 23-26).

Wszchemogący Boże,
jesteśmy dziełem Twoich rąk;
nigdy nas nie porzucisz.
Całe nasze życie jest Twoim darem;
cała Twoja siła stwórcza tkwi w naszym bycie.
Wyczerpałeś się dla każdego z nas.
Dziękujemy Ci za zakorzenienie naszego życia
w Twoim życiu;
dziękujemy Ci za wszystkie możliwości,
jakie przed nami otwierasz;
za światło, które rozświetla naszą ścieżkę,
które rozgrzewa nasze serca.
Prosimy Cię, pozwól, abyśmy okazując ci wdzięczność,
żyli pełnią życia,
byśmy zawsze byli otwarci na Twoje niezasłużone oddanie
i wielbili Cię płonem naszych serc,
dziś, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

BÓG JEST MIŁOŚCIĄ

„Uwierzyliśmy miłości”. Ten ulubiony cytat z pierwszego Listu św. Jana jednoznacznie streszcza to, za czym opowiada się chrześcijaństwo. Jesteśmy przekonani, że miłość jest ostateczną i decydującą wartością ludzkiego życia. Wierzymy, że miłość może zmienić świat, i próbujemy udowodnić, że tak w istocie jest. A jednak dewiza ta ma pewien brak. Brzmi bowiem jak slogan, na przykład jak: „Wierzymy w demokrację” albo „wierzymy w marksizm”. Inaczej mówiąc, zanadto zbliżyłoby to wiarę do ideologii. Tej maksymie brak czegoś osobistego, czegoś, co znajdziemy w oryginalnym tekście Jana. Gdy zajrzyjmy do *Biblii*, zobaczymy, co Jan naprawdę mówi, a także, że zacytowano tylko część zdania. Pełny tekst bowiem brzmi: „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam”¹². Zwłaszcza pięć ostatnich słów zmienia sens tego stwierdzenia, przekształca zawartą w nim myśl z abstrakcyjnej ideologii w osobisty stosunek Boga do nas. A to ma się do siebie jak dzień do nocy.

Wierzymy, że Bóg nas kocha. Ta miłość jest treścią naszej wiary. „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam” – te słowa są autentycznym, wspaniałym streszczeniem naszej wiary. Określają to, co w życiu ma ostateczny sens i co jest podstawą prawdziwego szczęścia. Najważniejsze i rozstrzygające jest to, że wiemy, iż Bóg nas kocha. Wierzyć, znaczy wiedzieć nie tylko głową, ale i sercem, że Bóg *mnie* kocha, twórczo, gorąco, niepowtarzalnie, niezawodnie, z szacunkiem. Twórczo: bo z Jego miłości zostałem stworzony; przez Jego miłość jestem tym, kim jestem. Gorąco: bo Jego miłość rozciąga się na to, co we mnie najgłębsze – w czym najbardziej jestem sobą. Niepowtarzalnie: bo Jego miłość ogarnia mnie takim, jakim jestem, a nie takim, za jakiego uchodzę lub chcę uchodzić. Niezawodnie: bo Jego miłość nigdy ze mnie nie rezygnuje. Z szacunkiem: bo jądrem

¹² 1 J 4, 16.

miłości jest szacunek; Bóg szanuje mnie jako osobę, a także moją wolność – bardziej niż ludzie; On nigdy ani nie zmusza, ani nie manipuluje.

Bóg nazywa mnie po imieniu. Zna mnie na wskroś, bo przecież ukształtował mnie w łonie matki. Troszczy się o mnie i rozumie mnie w każdym szczególe. Czyta w moich myślach. Odczytuje moje myśli, moje wrażenia, moje uczucia, moje tęsknoty. Zna moje radości i rozczarowania, moje słabości i moją siłę. Dzieli moje oczekiwania i moje wspomnienia. Widzi, kiedy się śmieję i kiedy płaczę, w chorobie i zdrowiu. Wsłuchuje się w mój głos, w mój oddech, w uderzenia mojego serca. Nie kocham siebie bardziej niż On mnie kocha. Dlatego, mówi Augustyn, że Bóg jest mi bliższy, niż ja sam sobie. Wiara to świadomość tej intymności.

Oba wielkie przykazania Nowego Testamentu zawarte są w słowach Jezusa: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego” (Mt 22, 37-39). Ale zanim Jezus wypowie te dwa przykazania, głosi radosną nowinę – miłości Jego Ojca. Nie zaczyna od przykazań; one są jedynie zwieńczeniem (i to koniecznym) tej radosnej nowiny. Jezus faktycznie z własnej inicjatywy nigdy o nich nie wspomina. Cytuje je tylko jako odpowiedź na pytania i zastrzeżenia ze strony faryzeuszy. Są ważne, bez wątplenia, lecz nie są sercem Nowego Testamentu.

To mi przypomina drobny żart, na jaki pozwoliliśmy sobie wobec jednego z naszych profesorów. Napisał objętościowo skromniutką książeczkę, którą jednak opatrzył krótkim i śmiałym tytułem: „Bóg”. Ktoś wtedy zażartował: „To oczywiście bardzo ważne, żeby wiedzieć, co profesor Robbers myśli o Bogu, ale dużo ważniejsze jest to, co Bóg myśli o profesorze Robbersie”. Parafrazując, chętnie poradziłbym każdemu: „To, że kochasz Boga, jest naturalnie bardzo ważne, ale dużo ważniejsze jest to, że Bóg kocha ciebie”. A to najważniejsze powinno znajdować się na pierwszym miejscu! Gdy poczujemy, że Bóg nas naprawdę kocha, to wcześniej czy później zupełnie spontanicznie odpowiemy Bogu tym samym. Taki jest sens pierwszego przykazania. Nadto zrozumiemy, że Bóg akceptuje także każdego innego człowieka takim, jakim jest. Słowem, to miłość Boża odślania,

że ten drugi też jest wartościowym człowiekiem. Z tego wynika drugie przykazanie, równe pierwszemu. Oba wywodzą się z wiary, że Bóg nas kocha. Krótko i zwięźle wyraził to św. Bernard: „Kochamy, bo jesteśmy kochani; i dlatego że kochamy, stajemy się godni większej miłości”¹³. Tak, Bóg jest miłością, miłością, która rozkwita wciąż od nowa.

Istotą wiary jest łaska, łaskawość, światło, jasność, przejrzystość. Wiara nie jest ani przedsięwzięciem na miarę wielkiego wysiłku, ani żadnym osiągnięciem zapierającym dech. Nie powoduje, że obojętniejemy na innych, bądź zadowolamy się sobą. Raczej jest łagodna i skromna, pociągająca i radosna. Z pewnością bardziej jest darem niż osiągnięciem. Wiara to raczej rozwój predyspozycji, nie „zagarnianie dla siebie”. Wiara jest łaską. W tym miejscu warto przytoczyć słowa Paula Tillicha:

Być w stanie łaski nie znaczy..., że czynimy postępy w moralnym panowaniu nad sobą, w naszej walce z szczególnymi błędami oraz w naszych relacjach międzyludzkich i społecznych. Postęp etyczny może być owocem łaski, ale nie jest samą łaską, a nawet może być przeszkodą w otrzymaniu łaski. (...) Z pewnością *nie* dostępujemy [łaski], gdy próbujemy ją wymusić, tak jak nie dostąpimy jej w przekonaniu, że nie jest nam potrzebna. Łaska spada na nas w stanie wielkiej udręki i niepokoju. Spada na nas, gdy podążamy ponurą doliną bezsensownego i pustego życia. Spada na nas, gdy czujemy, że zadaliśmy rany cudzemu życiu. (...) Ogarnia nas, gdy czujemy nieodparty wstręt do własnego życia, do naszej obojętności, słabości, wrogości, gdy nasze życie staje się nieznośne i zanika świadomość celu. Spada na nas, gdy corocznie oddala się od nas perspektywa spełnienia naszego życia, perspektywa, ku której tęsknimy, gdy dręczą nas stare zmory, gdy wszelką radość i wszelką odwagę niszczy zwątpienie. W takich chwilach od czasu do czasu naszą egzystencjalną ciemność przenika jakaś fala światła, i jest tak, jakby jakiś głos mówił: „Mimo to jesteś zaakceptowany”! *Mimo to zaakceptowany*, zaakceptowany przez kogoś, kto jest większy od ciebie, choć nieznan ci jest jego imię. Nie pytaj teraz o jego imię, może je odkryjesz później. Nie próbuj teraz czegoś robić, być może później będziesz mógł zrobić więcej. Nie zabiegaj o nic, nie próbuj niczego, nie zamyślaj niczego. „*Przyjmij tylko to, że jesteś zaakceptowany*”. Przystając na to, doznajemy łaski. Takie doświadczenie nie spowoduje, że staniemy się lepszymi niż byliśmy, a nasza wiara będzie większa niż przedtem. Ale wszystko poddane zostało pewnej przemianie. W tym momencie łaska przewycięża grzech, a pojednanie przerzuca most nad przepaścią wyobcowania. To doświadczenie niczego nie żąda; nie wymaga spełnienia żadnego warunku, ani religijnego, ani moralnego, ani intelektualnego; nie wymaga niczego - poza akceptacją¹⁴.

¹³ PL = *Patrologiae cursus completus*, seria łacińska 182, 247; Ep. 107, 8.

¹⁴ Paul Tillich, *In der Tiefe ist Wahrheit*, Stuttgart, Evangelisches Verlagswerk 1952, 178-179.

Gdy tego doświadczamy, to nie musimy niczego *robić*, wystarczy sycić się tą świadomością. Małym dzieciom, gdy przedwcześnie zmusza się je do chodzenia, koślawieją nogi. W życiu duchowym jest podobnie; jeżeli robi się coś za często i za wcześnie, to szkodliwe tego skutki mogą się odcisnąć na całym życiu. W przypowieści o prawdziwym krzewie winnym apeluje Jezus: „Wytrwajcie w miłości mojej!” (J 15, 9). O Bożą miłość nie wystarczy tylko się otrzeć; musimy ująć wyciągającą się ku nam dłoń i jej nie wypuszczać. Ta miłość musi się stać naszą siedzibą, musimy być o niej głęboko przekonani, żyć nią w każdym momencie i w każdym wymiarze naszego istnienia. Musimy nią oddychać. Ktoś jednak mógłby wysunąć zastrzeżenie, że świadomość, iż Bóg nas kocha bez względu na wszystko, prowadzi wprost do kwietyzmu i duchowej gnuśności. I choć teoretycznie jest to obawa uzasadniona, to w praktyce prawdziwe jest jej przeciwieństwo. Im głębsza będzie nasza miłość, tym doskonalsza będzie nasza wiara i nasza umiejętność przekładania jej na język życiowej praktyki. Według świętego Bernarda osiągamy najwyższy stopień czystej miłości, kiedy wreszcie Kochamy nas samych w Bogu i ze względu na Niego. Wówczas miłość staje się wolnością, wyzwala nas od powikłań i zmienności, i obdarza prostotą serca, która jest zapowiedzią kontemplacji Boga.

Jeśli wiemy, że Bóg nas kocha, to nie ma przeszkód byśmy kochali samych siebie. Uczymy się kochać siebie takimi, jakimi jesteśmy, bo to wiara przekonała nas o tym, że Bóg nas kocha. Znajdujemy się w drodze do doskonałego szczęścia, ponieważ nie musimy się już martwić o naszą doskonałość i nasze szczęście. Liczy się tylko Jego miłość, Jego wola, *On sam*. Taka wiara dorównuje doskonałemu wypełnieniu prawa. Taka wiara przestrzega każdego zobowiązania w najdrobniejszych szczegółach, ale nie po to, żeby na miłość Boga zasłużyć albo ją sobie zapewnić, lecz żeby osiągnąć wewnętrzną pewność i wewnętrzną spokój: nie w duchu faryzejskiego dzielenia włosa na czworo, lecz w wolności dziecka Bożego; nie w formie krępującego gorsetu, lecz w postaci źródła czystej i głębokiej radości. Gdy wypełnia nas świadomość, że jesteśmy kochani, to wznosimy się zarówno ponad drakońskie żądanie, do jakich sami się zobowiązujemy, jak i ponad tę nieobowiązującą chwiejność, która cofa się przed podjęciem każdej decyzji. Wiara w miłość Boga rzeczywiście uwalnia nas od wszelkiego wewnętrznego przymusu

i prowadzi do całkowitego oddania. „Nie sądźcie – mówi Jezus w Kazaniu na Górze – że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić” (Mt 5, 17).

Ta miłość, a raczej to, że jesteśmy kochani, doskonale nas uczyła i uwrażliwia na najdrobniejsze skinienie woli Bożej. Sprawia, że potrafimy się wznieść ponad ideał własnego ja, ponad mniej czy więcej klarowne wyobrażenie tego, czym chętnie chcielibyśmy być. W ramach tego idealistycznego wyobrażenia wynagradzamy sobie straty z powodu wielu rozczarowań, których wcześniej osobiście doświadczyliśmy. Pewną tego ilustracją może być frustracja. Uświadamiamy ją sobie tylko w części; zwłaszcza jej nieświadoma część może wywierać ogromny wpływ na nasze życie, niestety nie zawsze będzie to dla naszego dobra. Zakazy, jakimi obdziela się nas od wczesnego dzieciństwa, obwinianie i oskarżenia, z jakimi się spotykaliśmy, kary, jakie na nas nakładano, niepowodzenia, jakich doznawaliśmy – wszystko to głęboko odkłada się w naszej duszy i stopniowo wytwarza pewien wzorzec postępowania, który poważnie ogranicza naszą wolność.

Taki model postępowania – choć sobie tego nie uświadamiamy – może w naszym wnętrzu zachowywać się jak tyran, przyczyniać się i do zahamowań, i do racjonalizacji. Może się jawić jako bardzo surowy i nieustępliwy wymóg, ale i skłaniać do poczynań całkiem nierealistycznych. Lecz kiedy uchybimy jego surowym regułom, ideał własnego ja karze nas wyrzutami sumienia oraz krępującym poczuciem zawstydzenia i niższości. Tłumi w nas życiodajne siły i często rzuca na nie podejrzenie. Może na przykład mylnie delikatność uznać za zmysłowość, stanowczość za zarozumiałość, zmysł piękna za skłonność do luksusu, wiarę we własne siły za brak pokory. Tymczasem te ożywcze, pozytywne jakości są człowiekowi koniecznie potrzebne, by mógł się spełnić, rozszerzyć dziedzinę swego istnienia. Nie wolno ich tłumić, trzeba je wyzwalać. I właśnie to się dzieje, gdy uświadamiamy sobie coraz wyraźniej, że Bóg nas kocha. Ta wiara nie owocuje kwietyzmem, lecz osobowym i wspólnotowym rozwojem.

Ojca najlepiej sławimy wtedy, gdy przynosimy bogaty plon. Tymczasem rozwój naszej osobowości jest zagrożony z zewnątrz i od wewnątrz. W zasadzie to ostatnie niebezpieczeństwo jest większe. Kiedy bowiem naszym życiem zawładnie ów uświadamiany lub

nieuświadamiiany ideał własnego ja, to liczyć się trzeba z pewnym zanikiem harmonii i pokoju. Gdy nie możemy być sobą, skłaniamy się ku skrajnościom, którym wręcz nieuchronnie „wpadamy w objęcia”. Te niezdrowe tendencje całkiem swobodnie mogą żeglować pod bandierą religii i pobożności. Oto kilka przykładów: brak umiaru w dążeniu do porządku i przesadna oszczędność (łatwo mylone z postuszeństwem i ewangelijnym ubóstwem), nieumiarkowany rytualizm, nastawienie ultralewicowe czy ultrapravicowe, skrajny konserwatyzm lub postawa skrajnie postępową, przesadnie „uduchowiony” lub niezdrowo materialistyczny stosunek do życia.

Te i podobne sygnały dowodzą, że prawdziwe ludzkie „ja” jest tłamszone, a prawdziwa kreatywność blokowana. Autentyczna wiara czyni serce wolnym. Prawdziwa wiara pozwala się rozwijać witalności i płodności, które Bóg umieścił w mężczyznach i kobietach, obdarza potrzebną do życia harmonią. Znakomitym opisem tej harmonii są wymienione przez św. Pawła owoce ducha: „miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie” (Ga 5, 22-23). Flamandzka poetka nadaje temu ideałowi szatę bardziej poetycką:

Chciałabym Cię kochać aż do utraty świadomości mojej miłości i wrosnąć w świadomość Twojej miłości. Kochać Ciebie znaczy zapomnieć, że kocham: wszak zawładnął mną Ten-Który-Kocha. Kochać Ciebie znaczy, osiąść świadomość Ciebie i pozwolić umrzeć świadomości własnego ja. Czyż wszelkie samopoznanie nie wyradza się w samouwielbienie, jeśli stale nie znajduje ujścia w Tobie jak rzeka w morzu? Jedynie Twoja boskość sprawia, że we mnie, w mojej ludzkiej egzystencji, odzywa się puls ludzkiego istnienia¹⁵.

Tego typu wiara nigdy nie wyrośnie na glebie argumentacji i konkluzji. Jest owocem zazwyczaj dojrzewającym w modlitwie, gdzie człowiek osiąga głębszą świadomość tego, iż Bóg go akceptuje. W *Biblii* jest mnóstwo tekstów, które taką medytację mogą ułatwiać. A oto kilka ze Starego Testamentu:

Na pustej ziemi go znalazł,
na pustkowiu, wśród dzikiego wycia,
opiekował się nim i pouczał,
strzegł jak żrenicy oka.

¹⁵ Reninca, *Brandend Heden*, Tielt, Lannoo 1947, 50.

Jak orzeł, co gniazdo swoje ożywia,
nad piskletami swoimi krąży,
rozwiną swe skrzydła i bierze je,
na sobie samym je unosi (Pwt 32, 10-11).

[Jahwe], by tobie pomóc, cwałuje po niebie, (...)
Zwyczajną jest Bóg odwieczny.
Zniża swą broń (tzn. udziela pomocy) – On od wieków,
by odpędzić wroga przed tobą (Pwt 33, 26-27).

Ale teraz tak mówi Jahwe,
Stworzyciel twój, Jakubie,
i Twórca twój, o Izraelu:
Nie lękaj się, bo cię wykupiłem,
wezwałem cię po imieniu; tyś moim!
Gdy pójdziesz przez wody, Ja pójdę z tobą,
i gdy przez rzeki, nie zatopię ciebie.
Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się,
i nie strawi cię ogień...
Ponieważ drogi jesteś w moich oczach,
nabrałeś wartości i ja cię miłuję,
przeto daję ludzi za ciebie
i narody za życie twoje.
Nie lękaj się, bo jestem z tobą (Iz 43, 1.2.4.5.).

Posłuchajcie Mnie, domu Jakuba,
i wszyscy pozostali z domu Izraela!
Nosilem [was] od urodzenia,
piastowałem od przyjścia na świat.
Aż do waszej starości Ja będę ten sam
i aż do siwizny Ja was podtrzymam.
Ja tak uczyniłem i Ja nadal noszę,
Ja też podtrzymam was i ocalę (Iz 46, 3-4).

Czyż może niewiasta zapomnieć o swoim niemowlęciu,
ta, która kocha syna swego łona?
A nawet, gdyby ona zapomniała,
Ja nie zapomnę o tobie!
Oto wyryłem cię na obu dłoniach... (Iz 49, 15,16).

Bo góry mogą ustąpić
i pagórki się zachwiać,
ale miłość moja nie odstąpi od ciebie
i nie zachwieje się moje przymierze pokoju,
mówi Jahwe, który ma litość nad tobą (Iz 54, 10).

Ukochałem cię odwieczną miłością,
dlatego też zachowałem dla ciebie łaskawość (Jr 31, 3).

Jahwe, twój Bóg,
Mocarz pośród ciebie, On zbawi,
uniesie się weselem nad tobą,

odnowi swą miłość,
wzniesie okrzyki radości,
<jak w dniu uroczystego święta> (So 3, 17-18).

Miłosierny jest Jahwe i łaskawy,
nieskory do gniewu i bardzo łagodny (Ps 103, 8: por. Wj 34, 6-7).

W Nowym Testamencie miłość Boża staje się ciałem i krwią w osobie Jezusa. W Nim zyskuje ręce i nogi, twarz i głos, tak iż możemy ją ujrzeć i usłyszeć. Przekonać nas o tym, że ta niezawodna miłość istnieje, to jedyny cel wcielenia: „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie” (to znaczy, że miłość Boża jest niezawodna; J 18, 37). Ta miłość między Ojcem i Synem jest darem nam powierzonym. Jest źródłem wszelkiej miłości i wszelkiego życia. Jest najskuteczniejszą i najbardziej radykalną (to znaczy tkwiącą u korzeni) rzeczywistością. Dane nam jest w niej uczestniczyć. Ni mniej, ni więcej! Ojciec obdarza nas tą samą miłością, co swojego Syna: kocha swojego Syna w nas, a nas w swoim Synu. Kocha nas jako odbicie swojego Syna, a swojego Syna jako Pierworodnego pośród nas. Syn zaś kocha nas tak jak Ojca; On kocha Ojca w nas, a nas w Ojcu. Kocha nas jako dzieci swojego gorąco umiłowanego Ojca, a Ojca kocha jako Stwórcę każdego z nas. Tą głęboką miłością Syn wielbi w nas swojego Ojca, a Ojciec swojego Syna. Zostaliśmy więc niejako włączeni w tajemnicę ze wszystkich tajemnic najgłębszą i najbardziej owocną: w miłość między Ojcem i Synem w Duchu Świętym. Czy możemy doświadczyć większego szczęścia niż to, że wypełnia nas samo źródło wszelkiego szczęścia, wszelkiej miłości i wszelkiego życia? Dla nas bramą do tej tajemnicy jest Wcielenie.

Jan Ewangelista w Prologu i w początkowym opisie męki Pańskiej daje nam klucz do życia Jezusa: On dał moc, abyśmy się stali dziećmi Bożymi... I oglądaliśmy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy” (1, 12.14). „...Umiłowawszy swoich na świecie, do końca ich umiłował” (J 13, 1). To posłannictwo właściwie mogłoby potwierdzić każde zdarzenie z życia Jezusa. Ale ograniczmy się do uwagi, że miłość Boga w Jezusie porównać można do dwu rąk człowieka: jedna jest przebaczeniem – które podtrzymuje nas nawet wtedy, gdy jesteśmy winni; druga jest zmartwychwstaniem – które objawia nam, że Bóg jest z nami i po śmierci. Bowiem „ani co wysokie, ani co głębokie, ani

jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 8, 38-39). Życie Jezusa zainspirowało Pawła do następującej modlitwy:

Dlatego zginam kolana moje przed Ojcem, od którego bierze nazwę wszelki ród na niebie i na ziemi, aby według bogactwa swej chwały sprawił w was przez Ducha swego wzmocnienie siły wewnętrznego człowieka. Niech Chrystus zamieszka przez wiarę w waszych sercach; abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani, wraz ze wszystkimi świętymi zdołali ogarnąć duchem, czym jest Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość, i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę, abyście zostali napełnieni całą Pełnią Bożą (Ef 3, 14-19).

Dziękujemy Ci, Boże, że czuwasz nad nami,
że to nie ślepy los decyduje o naszym życiu.
Miłość, radość i piękno,
ale i niepowodzenie i cierpienie
mieszczą się w ramach
Twojej troski i wierności,
do których należy ostatnie, zbawienne słowo.
Ty jesteś nam bliski we wszystkim, co nas spotyka,
wierniejszy i bliższy niż my sami wobec siebie.
Ty znasz nasze imiona,
Ty odkrywasz całą naszą głębię.
To w Jezusie uwidoczniły się Twoja troska i Twoja wierność.
On żył dla innych.
Wierzimy, że On wciąż jeszcze żyje i jest wśród nas,
Twój Syn i nasz Pan,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki wieków. Amen.

VI

RADOŚĆ OJCA

Pośród wszystkich obrazów Boga tylko jeden oddaje sprawiedliwość Bogu: obraz Człowieka Jezusa z Nazaretu. Paweł niestrudzenie wyśpiewuje hymny pochwalne ku czci swojego Pana, Jezusa Chrystusa, który przekraczał wszelkie poznanie, a który stał się „jego skarbem” ku czci Boga, którego jeszcze jako wręcz fanatyczny stróż Prawa był tak gorliwym poszukiwaczem. „W Nim bowiem mieszka cała Pełnia... On jest obrazem (po grecku: *eikon*; stąd ikona)... niewidzialnego. Zechciał bowiem [Bóg], aby w Nim zamieszkała cała Pełnia...” (Kol 2, 9; 1, 15. 19). W Nim będziemy „napętnieni całą Pełnią Bożą” (Ef 3, 19). W Nim „ukazała się dobroć i miłość Zbawiciela, naszego Boga, do ludzi” (Tt 3, 4) i nic „nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Jezusie Chrystusie, Panu naszym” (Rz 8, 39). W Jezusie uwidoczniła się i stała się uchwytna miłość Boga. Janowa chrystologia jest nie mniej wyraźna: „Boga nikt nigdy nie widział. Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] poczył...” (J 1, 18). „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca” (J 14, 9). „A kto Mnie widzi, widzi Tego, który Mnie posłał...” (J 12, 45). „Ja i Ojciec jedno jesteśmy..., Ojciec jest we Mnie, a Ja w Ojcu...” (J 10, 30. 38). Jezus jest umiłowanym Synem, powodem do dumy i radością swojego Ojca.

Inni autorzy Nowego Testamentu przyłączają się bez wyjątku do Pawła i Jana i tak jak oni nadają Jezusowi „imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych” (Flp 2, 10). Treść całego ich pisarstwa stanowi faktycznie nie tyle nauka i orędzie, ile Człowiek – Jezus Chrystus. On sam jest *tym Słowem*, które zostało wypowiedziane, ostatecznym i najwyższym samoobjawieniem Boga. Skrócona forma Radosnej Nowiny nie brzmi w pierwotnym ujęciu: Jezus jest Bogiem, lecz: Bóg jest taki, jakim pojawia się w Jezusie. Nowy Testament z rozmaitych

punktów widzenia i z niezmiernym entuzjazmem ukazuje Jezusa jako tego, którego z nikim nie można pomylić.

Ten rozdział pragnie uwydatnić pewien szczególny aspekt owej niepowtarzalności Jezusa. Dobrym przejściem do tego specyficznego tematu jest – jak sądzę – znane stwierdzenie, że wśród wielu rewolucjonistów w dziejach ludzkości pierwsze miejsce zajmuje Jezus z Nazaretu. Faktycznie jest tak dalece rewolucjonistą, że wykracza poza tę kategorię ocen i dlatego byłoby mylące i nie *fair* od razu przypisywać Mu ten atrybut. On chce, abyśmy od siebie samych rozpoczęli poprawę, a więc nie domagali się jej najpierw od innych – i już choćby tylko dzięki temu jest wśród większości rewolucjonistów kimś niezwykłym. Zdecydowana wyjątkowość Jezusa jako rewolucjonisty tkwi jednak w przedmiocie Jego reformy – w problemie winy; z tym nikt przed, ani po Nim, nie miał odwagi tak gruntownie się rozprawić. On gorzkie poczucie winy potrafi przemienić w przeżycie głębokiej radości.

Może wcale nie jest takie oczywiste, że wino to częsty i gorzki ból. Tylko człowiek znający najtajniejsze zakamarki wielu ludzkich serc zdaje sobie sprawę z dławiącej męki tego cierpienia. Wino to zazwyczaj ostatnia rzecz, do jakiej się człowiek przyznaje. Niemal za każdą cenę będzie się starał ją ukrywać, jak długo się da. Tymczasem wino może mieć wpływ dręczący, niszczący. Im bardziej się ją tłumi, tym silniej zatruwa wszystko inne, zwłaszcza prawdziwą radość. Winny zaczyna się czuć w swojej skórze niedobrze, niczym obłudnik, niczym oszust: Gdyby ludzie wiedzieli kim naprawdę jestem, potępiłoby mnie. Właściwie nie należę już do nich. To uczucie prześladowa mnie nawet w punkcie kulminacyjnym jakiejś fety czy w towarzystwie dobrego przyjaciela. Tak, szczególnie wtedy! Czuję się wewnętrznie rozdarty, jak człowiek wyobcowany z własnego „ja”. Sam siebie nie rozumiem. Po prostu nie mogę pojąć, jak mogłem coś podobnego zrobić, co więcej, że robię to nadal. Jestem rozdarty w swej najgłębszej istocie. Paweł daje klasyczny opis tego stanu: „Nie rozumiem bowiem tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę, ale to, czego nienawidzę... Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę” (Rz 7, 15. 19).

Tę sytuację pogarsza i to, że nie możemy się wyzwolić od winy. Ona nas prześladowa. Próbujemy od niej uciec, usiłujemy ją zrównoważyć czymś innym albo stłumić ją w sobie, a ona mimo to prześlada

duje nas dalej. Spotykałem ludzi, którzy składali wspaniałe, wręcz heroiczne ofiary, aby tylko pozbyć się poczucia winy. Nic nie pomagało, psychiatra może pomóc człowiekowi, by uświadomił sobie winę, by jeszcze raz przeżył podobne doświadczenie, by je opisał, zobiektywizował; ale gdy ma do czynienia z prawdziwą winą, to nie potrafi jej usunąć. Naturalnie istnieją poczucia winy wyimaginowane, które muszą być leczone – i wówczas pomoc psychiatryczna jest potrzebna, a nawet niezbędna. Jednak znalezienie leku, który pozwoliłby usunąć poczucie prawdziwej winy wykracza poza możliwości człowieka.

Zło, które popełniamy, ma w sobie coś z tajemnicy. Nie potrafimy nad nim zapanować. Jest takie pociągające, łatwe, przekonujące, bezgłośnie, a zarazem tak bezsensowne i frustrujące. Unika światła; jego głębą odżywczą jest ciemność. „Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków” (J 3, 20). Trudno to zrozumieć. Zawsze jest to jakaś kombinacja słabości i złości, nierozdzielnie ze sobą splecionych. Z całą pewnością tkwi zawsze w naszych grzechach spora doza słabości. Nikt nie rozsiada się, by rozmyślać: „Czy nie mógłbym sobie pozwolić na jakieś zło?” To byłaby czysta karykatura. My nie zaklinamy zła, ono nas jakby atakuje. Nie chcemy go, zwalczamy je. Sprzeciwiamy się mu zaciekle, ale w końcu – niekiedy – ulegamy. Tak, tkwi w nas poważna słabość; przemilczenie tego byłoby fałszem. Ale istnieje coś jeszcze. To już nie jest tylko jakaś bezsilność, jakaś niemoc, czy nie-chcenie. Coś we mnie jakby pożąda tej słabości, pragnie zła i decyduje się na nie. Wzajemne oddziaływanie na siebie słabości i zła – to sprawa bardzo delikatna. Nie ma żadnej linii granicznej między słabością i złem; bodaj by była najcieńsza, ale ona po prostu nie istnieje. Jak nitka osnowy i nitka wątku tworzą materiał, jak dwa płyny, które się całkowicie mieszają, tak łączą się podstęp i słabość i tworzą zło. Nikt nie jest w stanie dokładnie rozsądzić, ile w czymś winy zła, a ile słabości.

Zło jest tak tajemniczą rzeczywistością, że wprost nie do ogarnięcia. Jest niczym góra lodowa, której dziewięć dziesiątych tkwi pod wodą. Nikt nie potrafiłby wydobyć jej z wody w całości lub przynajmniej w większej części. Do tego dołącza się powszechnie spotykane odczucie, że podczas spowiedzi właściwie nie zdołamy powiedzieć wszystkiego. To wrażenie jest bardzo trafne. Gdybym

chciał wszystkie swoje grzechy, całą swoją grzeszność ująć w słowach, podjąłbym się rzeczy niemożliwej i utkwiał w ślepej uliczce. Ale jeszcze gorsze jest to, że w ten sposób przesuwam punkt ciężkości i w złym świetle przedstawiam sakrament spowiedzi. Może nawet usiłuję przekształcić spowiedź w rodzaj wysoko wydajnej buchalterii lub samousprawiedliwienia, zamiast przyjmować ją jako wolną i wyzwalającą łaskę Boga. Nie chcę przez to powiedzieć, że wolno nam zaniedbywać ujmowania naszej grzeszności w słowa; chcę tylko stwierdzić, że uda się to jedynie w pewnej mierze. Wszak słowa, których używamy, by wyznać nasze grzechy, mają – że tak powiem – wartość symboliczną, są odpowiednikami takiej grzeszności, jakiej w ogóle nie da się wyrazić. To wszystko dowodzi, że z prawdziwą winą trudno się nam uporać. To nie tylko dręczący, wszystko przenikający ból, ale i świadomość, że na to nie ma żadnego lekarstwa.

Problem jeszcze bardziej się komplikuje, gdy to przeniesiemy na płaszczyznę winy zbiorowej. Niedawno zaczęliśmy sobie poważniej uświadamiać zło, które wywołujemy lub kontynuujemy wspólnie jako grupa, jako naród lub jeden krąg kulturowy. Nikt w sensie jednostkowym nie może za to ponosić odpowiedzialności, a jednak zło w sposób niezmacony szerzy się dalej, ponieważ wszyscy wspieramy je naszym wspólnym stylem życia. Drogę zaczyna sobie torować zrozumienie, że nasza osobista wina niezliczonymi więzami łączy się z winą każdego z nas. Po trzydziestu wiekach poważniej przeżywamy to, czemu dał wyraz Psalmista: „Oto zrodzony jestem w przewinieniu i w grzechu poczęła mnie matka” (Ps 51, 7). Nie chcemy się tym usprawiedliwiać, chcemy jedynie unaocznić do jakiego stopnia jesteśmy w to zło uwikłani. Przewycięzać winę zbiorową jest jeszcze trudniej niż indywidualną i dlatego tym większa ogarnia nas pokusa, by uciec, przyjąć postawę strusia.

W tym, jak Jezus podchodzi do sprawy cierpienia, do problemu tak trudno uchwytnego i towarzyszącego ludzkości przez tysiąclecia, uwidacznia się Jego wielkość. W języku hebrajskim znacznie wyraźniej niż w naszym Jego imię określa Jego misję i tożsamość: „Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów” (Mt 1, 21). Przyszedł, by wybawić i przebaczyć, żeby na nowo tworzyć i wyzwalać dobro. Miażdżącą rzeczywistością winy On przekształca w punkt wyjścia pewnego wyzwalające-

go, uszczęśliwiającego zdarzenia. W Rosji człowiek, który w czymś zawinił, wydalany był z kraju, zsyłany do obozu pracy na Syberii lub umieszczany w zakładzie psychiatrycznym. W Ewangelii zaś takiemu człowiekowi urząda się przyjęcie, na którym sadza się go na miejscu honorowym i wolno mu czuć się głęboko szczęśliwym. To jest ta wielka rewolucja, którą gwarantuje Jezus. Ciężar naszych negatywnych uczuć przemieniony zostaje w pozytywne przeżycie najwyższej miary. Brzemieństwo zostaje nam zdjęte z ramion. Możemy tańczyć, oddychać z ulgą i czuć się głęboko szczęśliwymi ludźmi. Augustyn powiedział mieszkańcom z Hippony. „Rzućcie swoje grzechy pod swoje stopy, a one wyniosą was ku niebu”.

Żeby się dobrze przygotować do tej niespodzianki i do rzeczywistego uczestnictwa na tym świecie, musimy zdjąć nasze maski i złożyć broń. Dopóty, dopóki sądzimy, że dokonamy tego własnymi siłami, jeszcze nie jesteśmy gotowi do radykalnej duchowej przemiany. Ideał, który podsuwa nam przed oczy Ewangelia, jest bardzo wzniosły. Właściwie istnieją tylko dwie możliwości podejścia do Ewangelii. Możemy ją zredukować do podręcznego wymiaru, na przykład z naszych ulubionych fragmentów złożyć jakiś wybór, i na tym poprzestać. Druga możliwość – to przyjąć Ewangelię taką, jaka jest i starać się żyć jej pełnią. Ale wtedy wnet zmiarkujemy, jak często błądzimy każdego dnia. Jeżeli nauczymy się żyć przebaczeniem Bożym, to i nasza zawodność przestanie być przeszkodą w naszym dążeniu do tego, byśmy się stali ludźmi całkowicie szczęśliwymi, takimi, jakimi chciałaby nas uczynić Ewangelia. Jeśli zaś nie znajdziemy drogi do Boskiego przebaczenia, to wyzwanie Ewangelii stanie się uciążliwym brzemieniem, które pogrąży nas w depresji i odbierze odwagę. Ewangelia zamieni się wówczas z Radosnej Nowiny w nowinę smutną, z dobrej wieści – w wieść złą.

Polimorfizm, który wkroczył do Kościoła wraz z Drugim Soborem Watykańskim, jest z pewnością dobrem drogocennym. Uniformizm bowiem tłumi życie i tworzy co najwyżej jakąś jedność pozorną; prawdziwa jedność umie różnicować. Co nie oznacza, że zawsze łatwo się z tą jednością w różnorodności żyje; niemniej mamy przynajmniej tę pewność, że owo wyzwanie zgodne jest „z drogą, prawdą, i życiem” Jezusa. Nikogo jednak nie zaskoczy, że również w polimorfizmie tkwi pewne ryzyko. Może na przykład stać się wybiegiem, żeby obejść tak istotną w Jezusowym głoszeniu królestwa

Bożego *metanoje*, tę głęboką przemianę w hierarchii naszych priorytetów, która naszemu życiu nadaje całkiem inne oblicze. Istnieje niebezpieczeństwo, że z wielkiego wyboru socjologicznych, kościelnych i duchowych wartości wybierzemy właśnie te, które potwierdzą nasze poglądy – nawet wtedy, gdy bardziej potrzebujemy nawrócenia niż potwierdzenia. W takim przypadku zablokowana zostaje droga, która prowadzi do sedna Radosnej Nowiny, do przebaczenia.

Jeżeli chcemy sięgnąć do doświadczenia, które dotyka tego, co najgłębsze i ostateczne w Radosnej Nowinie Jezusa, to musimy się jakby zdemaskować, rozbroić i otworzyć na nawrócenie. Jezus w pełni przytakuje retorycznemu pytaniu faryzeuszy: „Któż może odpuszczać grzechy, jeśli nie Bóg sam jeden?” (Mk 2, 7). Odpuszczanie grzechów zastrzeżone jest wyłącznie dla Boga. My nie możemy tego uczynić; możemy jedynie dopuścić, aby się w nas dokonało. A to oznacza uczestniczyć w przesłaniu Wielkiego Piątku i w przebaczeniu Wielkiejnocy. To oznacza głęboko wniknąć w posłannictwo Jezusa, by był Zbawicielem, nie w sposób ogólny, lecz osobisty – żeby był Tym, który mnie wybawia od złego.

Aczkolwiek w cudzie tym głównie jesteśmy odbiorcami, to jednak musimy się zgadzać na to, aby dokonało się w nas to, co wymaga naszej aktywności. Musimy więc nasze grzechy i naszą grzeszność wyrażać słowami. Dlaczego? Nie dlatego, żeby Bóg chciał nas widzieć w prochu ziemi, zanim będzie gotowy nam przebaczyć. Tym bardziej nie jest to próba powiedzenia Bogu czegoś, o czym i tak już wie. A już z całą pewnością nie należy tego rozumieć jako sumiennie wykonane zadanie, po to, żeby zasłużyć na rozgrzeszenie. Jest to sposób przygotowania serc ludzkich na odbiór boskiego daru przebaczenia, na torowanie drogi i przygotowanie gruntu pod to, co nas przerasta. Na tym polega różnica między zwątpieniem, które zasklepia się w monologu z własnym „ja”, a skrucą, która nastawiona jest na dialog z drugim człowiekiem. Sprawa przebaczenia to nie sprawa Boga, lecz nasza. Zgodzić się na ten akt wielkiego wyzwolenia i zaakceptować go – to sprawa niełatwa. Niełatwo też dopuszczamy do naszego krwiobiegu przebaczenie i z trudem oczyszczamy go z wszelkiej trucizny winy. Ten proces, a tym samym sam sakrament pokuty charakteryzuje się tym, że naszą winę wyrażamy słowami.

Pojawić się może także inna trudność. Jeżeli komuś wyrządziłem krzywdę, to byłoby z mojej strony nieuczciwością ujawnienie cudzej

tajemnicy w celu śmiałego i szczerego pojednania z tym konkretnym człowiekiem. To prawda. Jeżeli szczerze żałuję, to jest zrozumiałe, że staram się u tego konkretnego człowieka usprawiedliwić. Dlaczego więc nie poprzestajemy na przeprosinach lub nawet na ewentualnym zadośćuczynieniu i nie rezygnujemy ze spowiedzi? Zapewne wynika to z przekonania, że jeśli obrażam człowieka, to jednocześnie obrażam Boga, Ojca tego człowieka albo – jeśli kto woli – Najgłębszą Istotą tego człowieka. Ale czy wtedy – na takich samych prawach dokonuje się pojednanie zarówno z człowiekiem jak i z Bogiem na spowiedzi? Nie, doprawdy nie! Jeden i ten sam zły czyn ugodzić może w stworzenie i Stwórcę; w pojednaniu tak nie jest, dlatego i jedna naprawa zła nie wystarczy, potrzebne są dwie, różne od siebie. W stosunkach międzyludzkich nie trudno o tego typu przykłady.

W spowiedzi nie osobiste wyznanie win jest najważniejsze. Wiadomo, że wyznawanie winy to przeważnie sprawa trudna i niemiła. Ale prawdą jest i to, że nie na tym polega właściwa spowiedź. Istotne jest przebaczenie. Augustyn opisuje to wyzwalające doświadczenie zdejmowania ciężkiej winy jako rodzaj ocknięcia się człowieka pośród miłosiernej miłości Boga. Daje się to porównać z sennym widziadłem, w którym ktoś czuje się skończonym nikczemnikiem, a które, gdy się budzi ku nowemu, jasnemu dniowi, nagle znika. Różnica polega jednak na tym, że wina nie jest żadnym snem, lecz potworną rzeczywistością. Tak więc z tym radośniejszym drzeniem wkraczamy w nowy dzień miłosiernej miłości Boga, „dzięki litości serdecznej Boga naszego. Przez nią z wysoka Wschodzące Słońce nas nawiedzi...” (Łk 1, 78). Jego miłosierdzie jest tak serdeczne i tak pewne, jak zorza poranna. Daje się porównać z doświadczeniem syna marnotrawnego, który czuł, że nie jest wart tego, by być najemnym wyrobnikiem, a mimo to został serdecznie przyjęty i stał się centralną postacią powitalnej uczty. Reakcja ojca przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Radość ojca była tak szczerą, tak ogromną, że synowi na nowo przywróciła życie. Ojciec martwił się tylko o syna, a nie o siebie. Jego ciężkie zmartwienie było zupełnie bezinteresowne. Tomasz z Akwinu twierdzi: „My Boga nie obrażamy, chyba że szkodzimy samym sobie”¹⁶. To zdanie

¹⁶ ScG III, 122.

w sposób nowy, głęboki, potwierdza, że Bóg jest miłością. Bo nawet w zniewadze jest wyłącznie miłością.

Właśnie *w akcie* przebaczenia młodszy syn poznaje swojego ojca - i na tym polega rewolucja Jezusa. Obaj synowie, zarówno młodszy, jak i starszy, od dawna wiedzieli, że mają dobrego ojca, ale *jaki* był dobry, o tym przekonać się może tylko grzesznik! Dzięki przebaczeniu ostatni staje się pierwszym, a pierwszy ostatnim. Przed powrotem brata bliższy ojcu był starszy syn - w dosłownym i przenośnym znaczeniu, ponieważ młodszy, przebywający na obczyźnie, odsunął się od ojca. Ale z chwilą, gdy ojciec przebaczył mu jego winy, role się zmieniają. Odtąd młodszy syn cieszy się nową zażyłością z ojcem, a ponieważ czuje, jak czysta i głęboka jest radość ojca, zaczyna rozumieć bezinteresowną szczerłość jego miłości. To z kolei tworzy nową więź z ojcem; jego brat starszy staje się zwykłym outsajderem. Cóż za rewolucja! Strata zamieniona w zysk, głębia niedoli w szczyt radości. Najbardziej wyniszczające doświadczenie staje się czymś najbardziej owocnym. Bezradna rozpacz spowodowana winą w końcu zmienia się w niezmiernie serdeczne doświadczenie Boga.

W uszczęśliwiającym przeżyciu ojcowskiego przebaczenia młodszy syn nie tylko na nowo postrzega dobroć ojca, ale i własną grzeszność. Należałoby oczekiwać, że wszystko toczyć się będzie w następującej kolejności: uświadomienie sobie grzechu, skrucha, prośby o przebaczenie. Tymczasem, gdy popatrzymy dokładniej, porządek rzeczy jest inny. Jedynie dzięki przebaczeniu poznajemy, czym naprawdę jest grzech. Jak już wspomnieliśmy wyżej, zła nie potrafimy pojąć. W efekcie właściwą reakcją człowieka na grzech i grzeszność jest przyjęcie daru i łaska. Prawdziwa skrucha jest darem, nie osiągnięciem; jest nie tyle wynikiem samokontroli, ile raczej kontemplacją miłości Pana, raczej owocem modlitwy niż autorefleksją. Punkt szczytowy skruchy osiąga człowiek wtedy, gdy zapominając o sobie wkracza w strefę Bożego przebaczenia.

Prawdziwa skrucha nie zniechęca się; przenika ją prawdziwy pokój. Skruczę wzbudza w nas Duch Święty, dlatego znamionują ją owoce ducha, a wśród nich: miłość, radość, pokój, pobłażliwość i uprzejmość. Dla porównania wyobraźmy sobie dobrego przyjaciela, który zwraca nam uwagę na popełniony przez nas błąd. Choć może być bezwzględnie szczerzy, choć nas nie oszczędza, to jednak równocześnie w jakiś sposób przekazuje nam swoje afirmujące

zaufanie i swą zachętę. Wróg zaś mógłby nas za ten sam błąd nie tylko ostro zganić, ale i zniweczyć. Tak więc również w życiu duchowym łatwo poznać wroga po próbach zniechęcania nas. Bóg zawsze budzi nadzieję, obdarza pokojem i dodaje otuchy.

Tak więc odtąd grzech przestaje być jedynie moją własnością. Zdjął go ze mnie Baranek Boży, wziął go na siebie, by wynieść go z mojego życia i ze świata. Nie ma sensu trzymać się grzechu. Powstała nowa przestrzeń, w której mogę swobodnie oddychać. Przebaczenie oznacza, że obdarzono mnie nową misją, że ponownie mi zaufano. Właściwie tylko przebaczenie daje początek prawdziwemu posłannictwu. Człowiek naprawdę owocnie może służyć dopiero wtedy, gdy uzyskuje przebaczenie. Dopóki z tym podstawowym doświadczeniem Radosnej Nowiny się nie spotkałem, dopóty służbie mojej grozić będzie to, że zanadto zajmuję się sobą. Duch Kazania na Górze ożywa tylko w klimacie skruchy i przebaczenia. Dopiero tu zaczyna się właściwa Ewangelia; wszystko inne, do tej chwili, było jedynie wstępem. Pierwsze słowa Jezusa w Ewangelii według Marka brzmią: „Czas się wypełnił i bliskie jest królestwo Boże. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię” (Mk 1, 15). W tym duchu – Duchu Świętym – my możemy kochać tak, jak czujemy się kochani przez Boga, i służyć, jak służył nam Jezus. „O błogostawiona wino!”

Miłosierny Ojcze,
nie pozwól nam szukać fałszywego usprawiedliwienia
naszych grzechów
i zapierania się zła, które popełniliśmy.
Łagodne światło Twojej prawdy
niechaj wprowadza nas w cud Twego przebaczenia
i tam niech nas otwiera na nową głębię Twojej miłości.
Pozwól nam odczuć radość,
z jaką nas witasz i obejmujesz – za każdym razem,
gdy do Ciebie wracamy.
Pozwól nam uczestniczyć w tej radości,
stać się nowymi ludźmi,
od nowa podejmującymi swą służbę,
potrafiącymi przekazać wszystkim ludziom
Twoje przebaczenie i Twój pokój,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

VII

SŁOWO – ŻYWE I PEŁNE MOCY

Wiele psalmów wraz z podzięką za Boże przebaczenie chce głosić innym dobroć Bożą. Tak modli się Dawid w Psalmie 51:

Chcę nieprawych nauczyć dróg Twoich
i nawrócą się do Ciebie grzesznicy.
Od krwi uwolnij mnie, Boże,
Boże, mój Zbawco; niech mój język śławi Twoją sprawiedliwość.
Otwórz moje wargi, Panie,
a usta moje będą głosić Twoją chwałę (w. 15-17).

Podobnie jak syn marnotrawny po uświadomieniu sobie swojej winy odkrył pewien nowy wymiar w miłości swego ojca i nawiązał z nim nową głębszą więź, tak i my, przychodząc do Jezusa jako grzesznicy, odkrywamy w Nim pewien nowy, głębszy sens, w którym inni ludzie też mają uczestniczyć. Jezus przestał już być jedynie zwykłą normą postępowania stawiającą wymagania, wzniosłym ideałem do naśladowania, lecz stał się *Tym*, któremu zawdzięczamy nasze życie, nasze osobowe odrodzenie, nasze zbawienie. I to inspirowuje nas do apostołstwa.

Przemianę „grzesznego człowieka” w apostoła, który „łowi ludzi”, unaocznia Szymon Piotr (Łk 5, 1-11). W opowieści o cudownym połowie ryb chrystologiczne i apostołskie „górne tony” zlewają się jednoznacznie w harmonijną melodię przepowiadania. Ewangelista za pomocą tej perykopy chce unaocznić, że w Jezusie z Nazaretu uwidaczniają się wielkość, moc i świętość Boga, i że nasze doświadczenie Boga w Jezusie wiąże się jak najściślej ze służbą apostołską. To zetknięcie się z majestatem i dostojnością Jezusa pomaga uczniom uświadomić sobie własną grzeszność, ale i natychmiast wyjść poza nią. W ten sposób wiara w Jezusa nabiera jeszcze większej głębi. Istotną intencją tej przypowieści jest ukazanie, że człowiek może się stać apostołem, gdy w Jezusie dostrzega majestat Boga, i że odwrotnie, autentyczne nowotestamentowe apostołowanie umożliwia jedy-

nie zetkniecie się z Jezusem jako Panem stworzenia. W tym duchu spróbujemy więc zastanowić się nad ową opowieścią o obfitym połowie i w pewnych punktach uzupełnić ją za pomocą pokrewnych tekstów. To umocni nas w naszej chrystologiczno-apostolskiej orientacji – tak istotnej dla wiary każdego chrześcijanina. Perykopa składa się z trzech części; w każdej z inicjatywą wychodzi Jezus, i każda charakteryzuje się swoistym apostołatem.

UWAŻNIE WSŁUCHIWAĆ SIĘ W SŁOWO

Raz – gdy tłum cisnął się do Niego, aby słuchać słowa Bożego, a On stał nad jeziorem Genezaret – zobaczył dwie łodzie, stojące przy brzegu; rybacy zaś wyszli z nich i płukali sieci. Wszedłszy do jednej łodzi, która należała do Szymona, poprosił go, żeby nieco odbił od brzegu. Potem usiadł i z łodzi nauczał tłumy (Łk 5, 1-3).

Jezus przemawia, nie jak dawniej w synagodze, ale do tłumy zebranego pod gołym niebem. Korzysta z łodzi Szymona – była to materialna służba Piotra, zanim powołany został do służby apostołskiej. W tym momencie jego głównym zadaniem – to wraz z innymi przysłuchiwać się Mistrzowi. Fundamentem wszelkiego apostołatu jest „dawanie posłuchu wierze” (jak dwukrotnie stwierdza Paweł w Liście do Galatów 3, 2. 5).

Trzeba słuchać tych słów, zanim można je będzie przekazywać. Słuchać, znaczy otwierać się na coś, co przychodzi z zewnątrz. Początkowo może to brzmieć obco i burzyć nasz świat idei; z czasem może mieć daleko idące konsekwencje.

Prawdziwe słuchanie wymaga więc odwagi i pokory. Jezus ostrzega: „Uważajcie więc, jak słuchacie” (Łk 8, 18). Można się przysłuchiwać na wiele sposobów. Nasze przysłuchiwanie może się przerodzić w pewien rodzaj filtracji, kiedy „przepuszczamy” tylko to, co nam odpowiada, a z góry odrzucamy wszystko, co jest niezgodne z naszymi poglądami. Prawdziwe wsłuchiwanie się polega na tym, że nie tylko jakby przygotowujemy wolne miejsce dla słowa, ale że ponadto gotowi jesteśmy to słowo przyjąć. Możemy odczuwać pokusę słuchania jak jakiś mistrz, nie, żeby się uczyć, lecz żeby odpytywać innych. Jeden z najkosztowniejszych, najcenniejszych darów Boga wymienia Izajasz w trzeciej pieśni: „Każdego rana

pobudza me ucho, bym słuchał jak uczniowie. Pan, Jahwe, otworzył mi ucho..." (Iz 50, 4). Prośmy o słuchową wrażliwość ucznia, by móc się przysłuchiwać Jezusowi, który teraz przemawia z łodzi Piotra, a kiedy indziej na rozmaite, inne sposoby.

Słowo Boże to coś więcej niż formułowanie jakiejś myśli czy uczucia. Jest żywe i pełne mocy. Jeżeli hebrajskie słowo „bara” określa działanie Jahwe, to oznacza ono zarówno mówienie jak i stwarzanie. Bóg „wypowiada” stworzenia. Jego słowo jest Duchem, to znaczy, jest życiodajne. Tak na przykład jest rozumiane w paralelnym fragmencie wersetu psalmowego: „Przez słowo Jahwe powstały niebiosa i wszystkie ich zastępy przez tchnienie ust Jego” (Ps 33, 4). Jest skuteczne:

Zaiste, podobnie jak ulewa i śnieg
spadają z nieba
i tam nie powracają,
dopóki nie nawodnią ziemi,
nie użyźnią jej i nie zapewnią urodzaju,
tak iż wydaje nasienie dla siewcy,
i chleb dla jedzącego,
tak słowo, które wychodzi z ust moich:
nie wraca do mnie bezowocne,
zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem,
i nie spełni pomyślnie swego posłannictwa (Iz 55, 10-11).

Słowo Boże jest pełne mocy „jak ogień..., jak młot kruszący skałę” (Jr 23, 29). Ale przede wszystkim jest żywe – ma historię. Zostało przyrzeczone Abrahamowi i skłoniło go do opuszczenia ojczyzny. Posłało Mojżesza, żeby wyzwolił swój lud. Ale istnieje także jakby zjawisko odpływu słowa Bożego w historii: „W owym czasie rzadko odzywał się Jahwe, a widzenia nie były częste” (1 Sm 3, 1), ba, tak rzadkie były te słowa, że nawet arcykapłan Heli tego nie zrozumiał, zanim nie zabrzmiały po raz trzeci. Słowo Boże powierzone zostało prorokom, by przekazywali je dalej ludowi; przemawia przez nich. Ogarnia ich jak ogień, który trawi ich serca, zamknięty w ich ciele (Jr 20, 9). Wypełnia ich boską mocą.

I wyciągnąwszy rękę, dotknął Jahwe moich ust i rzekł mi: „Oto kładę moje słowa w twoje usta. Spójrz, daję ci dzisiaj władzę nad narodami i nad królestwami, byś wyrывał i obalał, byś niszczył i burzył, byś budował i sadił” (Jr 1, 9-10).

I oto w historii słowa Bożego następuje kulminacja: „Wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców i proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna” (Hbr 1, 1-29). „Gdy jednak nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z niewiasty” (Ga 4, 4) i „Słowo stało się ciałem” (J 1, 14). Słowo przybiera postać naszego brata Jezusa i teraz jako Osoba zaczyna przemierzać ziemię:

Potem ujrzałem niebo otwarte: i oto – biały koń, a Ten, co na nim siedzi, zwany Wiernym i Prawdziwym, oto ze sprawiedliwością sędzi i walczy. Oczy Jego jak płomień ognia, a wiele diademów na Jego głowie, ma wypisane imię, którego nikt nie zna prócz Niego. Odziany jest w szatę we krwi skąpiana, a imię Jego nazwano: Słowo Boga (Ap 19, 11-13).

Słowo Boże ma władzę otwierania i uzdrawiania serc: „Zdumiewali się Jego nauką, gdyż słowo Jego było pełne mocy” (Łk 4, 32). „A... moc wychodziła od Niego i uzdrawiała wszystkich” (Łk 6, 19).

Historia słowa Bożego ma swój ciąg dalszy w Kościele. Jego zadaniem jest, by słowo Boże nadal żyło i żeby przekazywać je dalej w sposób realny i ujmujący zarazem. Jezus przed swoim wniebowstąpieniem rzekł do swoich uczniów: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” (Mk 16, 15). Cały Kościół musi całemu światu głosić całą Ewangelię. W Kościele każdy obarczony jest odpowiedzialnością apostołską, i nie można tego spychać na garstkę „fachowców”. Ewangelii nie należy rozwadniać, rozmywać, ale zarazem powinno się ją głosić w całości, a przede wszystkim w sposób żywy. Cały świat ma prawo słuchać Radosnej Nowiny, być ewangelizowanym.

Posługa słowa ma ścisły związek z modlitwą; Dwunastu w Dziejach Apostolskich wymienia ją jednym tchem z modlitwą (Dz 6, 4). Słowo Boże może zapuścić głębokie korzenie w modlitwie, jednak pod warunkiem, że będziemy się nim kierować uczciwie. Rozważanie słów Pisma świętego nakłoni nas ostatecznie do kontemplacji Słowa Wcielonego. Liczne słowa Pisma ostatecznie zmierzają do tego jednego Słowa. Słuchanie zamienia się w pełną zdumienia medytację nad Jezusem, a myślenie konkludujące w kontemplację Pana. Punkt ciężkości przemieszcza się z umysłu do serca. „Medytacja jest matką miłości, kontemplacja jest jej córką” (św. Franciszek Salezy).

Gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: „Wy płyn na głębie i zarzućcie sieci na połów”. A Szymon odpowiedział: „Mistrzu, całą noc pracowaliśmy i nicśmy nie ułowili. Lecz na Twoje słowo zarzućcie sieci”. Skoro to uczynili, zagarnęli tak wielkie mnóstwo ryb, że sieci ich zaczynały się rwać. Skinęli więc na współników w drugiej łodzi, żeby im przyszli z pomocą. Ci podpłynęli i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzały (Łk 5, 4-7).

Uczniowie mieli za sobą długą noc wypełnioną ciężką pracą – wszystko nadaremnie. Efektem ich połowu był ładunek zawodu i zmęczenia. Tymczasem Pan każe im ponownie zarzucić sieci. Ty jesteś cieślą, my rybakami. My znamy jezioro, jest naszym królestwem. Teraz jest martwe, zamknięte, żadnego połowu, żadnych widoków. Jeżeli w nocy nie udało się niczego wydobyć, to tym bardziej nie uda się to w biały dzień. Jednak Pan wysyła ich z powrotem do pracy. Nie cieszy się z ich przygnębienia. W jego oczach ta rezygnacja nie ma żadnego uzasadnienia. Jest przyzwyczajony do rzeczy nieprawdopodobnych. W końcu jest „Panem niemożliwego” (Charles de Foucauld). Niech sobie będą ekspertami – moc słowa Bożego muszą dopiero poznać.

Zgoda, to jest ich jezioro, ich domena; a On każe im tam powrócić – w tę pustkę, bez żadnych widoków. Powierzono nam sceptycznych, zmęczonych ludzi dzisiejszych czasów: ludzi, którym dokucza inflacja, recesja i bezrobocie; zniewolonych przez media i oszukanych przez konsumizm; ludzi, którzy wypierają się duchowości i chcą widzieć fakty, sukcesy, pieniądze; ludzi, którzy boją się o swoją przyszłość i dla których Bóg to coś niejasnego; ludzi, których modlitwą i bożkiem jest ich praca. Tych ludzi musimy zdobywać dla Boga. Gdy wypuszczamy się na szerokie wody – lepiej pozbadźmy się złudzeń. To zadanie jest niewykonalne. Nie mamy żadnych szans. To marnowanie czasu i trudu, a w dodatku śmiechu warte. Dzisiejsi apostołowie to nie ludzie sukcesu, godni uwielbienia, to raczej ludzie biedni, w pewnym sensie samotni. Z jednego zdają sobie sprawę: że niełatwo zdobywać serca dla żywego Boga, a także, Bogu dzięki, że mogą polegać tylko na słowie tego żywego Boga. W końcu – przecież nie mają żadnej innej gwarancji.

Słowo Boże jest pełne mocy. To prawda, ale musi, jeśli kiedykolwiek ma rozwinać swoją moc, zamienić się w czyn. Kiedy „to uczynili”, połów się udał! W naszych burzliwych czasach pokażmy, że według tego Słowa potrafimy żyć.

Czemu to wzywacie Mnie: „Panie, Panie”, a nie czynicie tego, co mówię? Pokażę wam, do kogo podobny jest każdy, kto przychodzi do Mnie, słucha słów moich i wypełnia je. Podobny jest do człowieka, który buduje dom: wkopał się głęboko i fundament założył na skale. Gdy przyszła powódź, potok wezbrany uderzył w ten dom, ale nie zdołał go naruszyć, ponieważ był dobrze zbudowany. Lecz ten, kto słucha, a nie wypełnia, podobny jest do człowieka, który zbudował dom na ziemi bez fundamentu. [Gdy] potok uderzył w niego, od razu runął, a upadek jego był wielki (Łk 6, 46-49).

Nadejdzie czas, kiedy słowo Boże będzie jedynym oparciem nadającym sens naszemu posłannictwu.

W sile tego słowa Apostoł odnajduje życie – gdzie wszystko było jakby martwe, a połów obfity jest tam, gdzie była pustka; otworem staje wszystko, co zdawało się być zamknięte. Skromne, zwyczajne wystąpienie otworzy serca dotychczas zamknięte. Ku naszemu zaskoczeniu stwierdzamy, że w ponurym zwątpieniu wielu ludzi kryje się znacznie więcej tęsknoty za Bogiem, niż kiedykolwiek mogliśmy to sobie wyobrazić – pod warunkiem, że uda nam się znaleźć falę o tej samej długości. Dlaczego każdego lata dziesiątki tysięcy młodych ludzi z całej Europy i nawet zza oceanu przybywa do odległej małej wioski Taizé we Francji, aby tam kilka dni lub tygodni w prymitywnych warunkach szukać ekumenicznego zbratania? Dlaczego setki młodych ludzi z Rzymu modli się wspólnie w San Egidio, składa zaoszczędzone pieniądze na pomoc dla biednych z podupadłej dzielnicy mieszkaniowej Trastevere, promieniując niekłamaną radością i entuzjazmem? Dlaczego każdego miesiąca dziesięć lub więcej dziewcząt przyłącza się do Misjonarek Miłości Matki Teresy, która nie może im zaofiarować niczego innego, niż nader ubogie życie, które wie jedynie, co to modlitwa i służba na rzecz Najbardziej Opuszczonego? Dlaczego jak grzyby po deszczu wyrastają w Ameryce Łacińskiej podstawowe wspólnoty chrześcijańskie – mimo brutalnych prób ich zastraszenia? Dlaczego modlitwa jest niczym wielki głód, który zmusza ludzi do tego, że zachłannie rozglądają się za jakimś guru – udając się nawet do Indii lub Japonii?

Uczciwa ufność w słowa Pana zostaje nagrodzona obfitym połowem ryb. Parę lat później Piotrowi – w dość szokujących okolicznościach – powierzona zostaje inna ważna misja. Gdy w czasie modlitwy w porze obiadowej spotyka się z zachętą do popełnienia czynu sprzecznego z żydowskim Prawem, czyli do spożycia nieczystego pokarmu, reaguje spontanicznie: „O nie, Panie! Bo nigdy

nie jadłem nic skażonego i nieczystego” (Dz 10, 14). Wnet się jednak okazuje, że ta zachęta jest pewnym wezwaniem, do wypłynięcia na szerokie wody pogańskiego świata i że on jako pierwszy ma przyjąć pogan do wspólnoty chrześcijańskiej. Słowo „nie nazywaj nieczystym tego, co Bóg oczyścił” (Dz 10, 15; 11, 9) odnosi się do czegoś więcej niż pokarm – odnosi się przede wszystkim do ludzi! „Bóg mi pokazał, że nie wolno żadnego człowieka uważać za skażonego lub nieczystego” (Dz 10, 28). Oto początek zdumiewającego poławu, który doprowadził do rychłego rozszerzenia wczesnego Kościoła na cały świat.

My też zostaliśmy wezwani do podejmowania nowych, śmiałych decyzji i żeby od nowa ufać. Odrzuciwszy zarozumiałstwo musimy śmiało wypłynąć na szerokie wody naszego zsekularyzowanego świata. Najlepszym sposobem zachowania wiary jest jej przekazywanie. Przy czym nie powinniśmy się ograniczać do terenu, na którym czujemy się pewnie, lecz wykraczać poza jego granice. Wytrwała wiara w moc słowa Bożego w połączeniu z prawdziwą pokorą przygotowuje nas do odkrywania Boga tam, gdzie nigdy nie padło Jego imię. Gdy zrezygnujemy z postawy wyższości, odkryjemy żarzące się węgielki wiary, których dotychczas albo nie dostrzeżliśmy, albo braliśmy za coś innego, albo nawet nieomal nie zadeptaliśmy. O wierze, choć nie wprost, mogą świadczyć akcje na rzecz ochrony życia i polepszania jego warunków, pewien – może nie zawsze zręczny – opór przeciwko społeczeństwu nastawionemu głównie na konsumpcję; jakaś samotna próba zachowania własnej prawości w społeczeństwie jawnych i ukrytych pokus; szczerze dążenie do sprawiedliwości na płaszczyźnie lokalnej lub ogólnosiwiatowej; bezpośrednie, osobiste zaangażowanie na rzecz krajów trzeciego świata; prywatna pomoc udzielana najbliższym sąsiadom; wytrwałe poszukiwanie głębi wewnętrznej – i wiele, wiele innych dążeń.

Nie wnikajmy w to, czy każde z tych dążeń jest pozbawione skaz, bo wszystkie zasługują na nasz szacunek i nasze współdziałanie. Przykładanie miar perfekcjonistycznych w niewłaściwym czasie, z pewnością mogłoby zostać uznane za niedostatek wiary, zaufania i miłości. Zrządzeniem, gderaniem nie zbudujemy królestwa Bożego. W okrutnych czasach Reformacji, biskup Genewy, człowiek wielce wrażliwy, działał podług zasady: więcej much złapać można na

kroplę miodu niż na beczkę octu. Gospodarz, który posiał dobre ziarno, nie pozwalał swoim sługom wyrwać chwastów, żeby wraz z nimi nie wyrwali i pszenicy (Mt 13, 24-30; 36-43), a Sługa Boży chwalony jest za to, że nie złamie trzciny nadłamanej (Iz 42, 3). Podjąć ryzyko życia w miłości – to najpewniejsza droga do apostołskiej skuteczności.

UWIELBIENIE I POSŁANNICTWO

Widząc to Szymon Piotr przypadł Jezusowi do kolan i rzekł: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”. I jego bowiem i wszystkich jego towarzyszy w zdumienie wprawił połów ryb, jakiego dokonali; jak również Jakuba i Jana, synów Zebedeusza, którzy byli współnikami Szymona. Lecz Jezus rzekł do Szymona: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”. I przyciągnąwszy łódzie do brzegu, zostawili wszystko i poszli za nim (Łk 5, 8-11).

Poprzez ten cud Piotr poznał w Jezusie Pana. Dotąd wielu ludzi spotykało Jezusa. Byli ciekawi, przez chwilę się zastanawiali, wahali się, jedni myśleli „tak”, inni myśleli „nie”, a większość szła dalej swoją drogą. Tylko nieliczni spotkali się z Nim naprawdę. Kontaktować się ze zwykłymi, szarymi ludźmi, to nic trudnego, ale spotkać się z prawdziwie wielkim człowiekiem, to wymaga odwagi. Dla Piotra, w jego dotychczasowym życiu, był to najbliższy kontakt z Jezusem. Ogarnięty lękiem zareagował najpierw chęcią wycofania się. Podobnie jak prorok Izajasz w obecności Przenajświętszego, i on uświadomił sobie nagle przepaść, jaka go dzieliła od Pana. „Biada mi! Jestem zgubiony! Wszak jestem mężem o nieczystych wargach i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach, a oczy moje oglądały Króla, Jahwe Zastępów” (Iz 6, 5). Zarówno prorok jak Apostoł dają świadectwo swej grzeszności, choć właściwie w jeszcze większym stopniu świętości Pana.

Pod koniec tej perykopy z oblicza Apostoła znika wstrząs i groza, które okazały się zapowiedzią początku nowego życia. „I przyciągnąwszy łódzie do brzegu, zostawili wszystko i poszli za Nim”. Cud ten unaocznia, czym jest powołanie i posłannictwo, albo lepiej, że to właśnie powołanie i posłannictwo są właściwym cudem. Powołanie jest swoistym zaproszeniem do czegoś, co nas przerasta. Jest w nim jakiś święty lęk, ale lęk, który nas nie oślepia, lecz pozwala poznać moc Bożą w naszych słabościach, tak iż jesteśmy zdolni wypełniać

naszą misję. Jest rodzajem głębokiego szacunku, z którego usunięto niezdrowy lęk, gdy tymczasem świadomość Bożej obecności nadal działa w naszym życiu i w naszych dziełach.

Przytrafiło się to Abrahamowi i Mojżeszowi, Eliaszowi i Izajaszowi oraz wszystkim innym mężom i niewiastom natchnionym przez Boga. W istocie, nie ma takiego Bożego posłannictwa, które by nie zaczynało się od pełnego lęku spotkania z Bogiem. To zatopienie się w „Zupełnie-Innym”, to zbliżenie się do tajemnicy Przenajświętszego sprawia, że stajemy się nowymi ludźmi. Czegoś takiego Szaweł doświadczył w drodze do Damaszku, a po nim przeżyło to wielu innych. Zdarza się nagle, w jednej jakby porażającej chwili lub po dłuższym okresie życia w samotności – np. na pustyni. Czasem człowiek tęskni za tym świadomie, ale może go to spotkać również zupełnie nieoczekiwanie. Dla wielu impulsem do tego stały się głębokie ćwiczenia duchowne.

Ale to głęboko wewnętrzne doświadczenie nie może pozostać na dnie duszy człowieka. Musi się ujawnić w jego zachowaniu i sposobie życia, uczynić z niego wymownego świadka tego, co przeczuwał w Bogu. Jeśli to nazwiemy święceniem, konsekracją, to jest to nie tyle święcenie, konsekracja *dla* jakiegoś posłannictwa, ile konsekracja, która sama *jest* posłannictwem. Adoracja i apostolat – to nie sprzeczności, idą ręką w rękę, co więcej, wzajemnie się warunkują. Śmiało, jasno i wyraźnie sformułował to Karl Rahner: „Człowiek pobożny jutro albo będzie «mistykiem» czyli kimś, kto czegoś głęboko «doświadczył», albo już go nie będzie”¹⁷.

Każdy chrześcijanin ma swoje szczególne zadanie, niezależnie od tego czy pracuje, czy jest bezrobotny, czy zajmuje jakieś eksponowane stanowisko czy pełni jakąś mniej znaczącą funkcję, czy w pełni realizuje swoje talenty czy też jest chory lub na emeryturze. W tej codzienności musi rozbłysnąć cząstka tego, czego „doświadczył”, i właśnie to nadaje owej codzienności cechy apostolskiego świadectwa. Dotyczy to zwłaszcza tych, którzy swoje życie poświęcili służbie apostolatu, na ich przykładzie uwidacznia się to szczególnie wyraziście. Zwłaszcza młode pokolenie przygląda się chrześcijanino-

¹⁷ Karl Rahner, *Schriften zur Theologie*, t. VII, Einsiedeln-Zürich-Köln, Benziger 1971², 22.

wi i ceni w nim to, co jest czymś więcej niż tylko jego zawodową kompetencją; jedynie właśnie to „coś więcej” przekonuje do chrześcijaństwa. Pewien hinduski biskup, uprzednio nauczyciel w college’u, powiedział, że w oczach swoich studentów był kompetentnym nauczycielem i doradcą, którego darzono zaufaniem, ale że za mało był świadkiem Boga. Z tysiąca studentów 60-ciu było katolikami. Szanowali go jako swojego nauczyciela i szukali z nim kontaktu, odwiedzali, gdy mieli problemy szkolne i życiowe, ale trzynastu jego najlepszych studentów zwykło składać wizytę pewnemu pobożnemu Hindusowi, „aby wraz z nim medytować Boga”. Ostatecznie doszedł więc do wniosku: „Słabo świadczyłem o Bogu”. A to właśnie jest istotą każdego apostołatu.

„Nie lękaj się”. Oto słowo Boże, które buduje i burzy, choć również uzdrawia i dodaje otuchy. Odtąd odwaga ludzi, którzy je przyjęli, wspiera się na czymś nowym: na niezgłębionym majestacie i niezawodności naszego Boga. Ci ludzie przyznają się do swojej zależności i czują się w niej bezpieczni. Powierzają się Bogu i pozwalają przez siebie działać mocy Bożej. Poświęcają się całkowicie, stuprocentowo, ale pod wpływem Bożej inspiracji. Tego zadania nie podejmują z własnej inicjatywy; to nie jest zawód, który sobie sami wybierają – lecz powołanie i posłannictwo. Dlatego Apostołowie opuścili wszystko, To „wszystko” w ich przypadku może nie jest aż tak wiele. Ale „wszystko” to po prostu wszystko, co można dać, a to zawsze jest wiele. Zostawić wszystko, żeby pójść za Panem, to wciąż jeszcze decydujący krok w powołaniu do życia apostołskiego lub kontemplacyjnego. Kto raz powiedział „tak” musi zawsze i wciąż od nowa pytać sam siebie: Czy nadal jestem wierny temu mojemu „tak”?

W suplemencie do Ewangelii Janowej znajdujemy paralelną opowieść. Łatwo odnajdziemy tam tuzin odnośnych szczegółów, wspólnych dla obu relacji. Różnica oczywiście sprowadza się do tego, że tu mamy do czynienia z cudem i posłannictwem *po* zmartwychwstaniu. Jest tak, jakby powołanie Piotra się powtarzało, jednak w kontekście nowych doświadczeń. Wśród nich na pierwszym miejscu są śmierć i zmartwychwstanie Pana. Ponadto istnieje potrójna zdrada Piotra, która zostawiła głębokie ślady w jego osobowości. Jest to rana być może boleśniejsza dla Piotra niż dla Jezusa. Kiedy Piotr powraca do źródła swego pierwszego powołania, do tamtego cudownego połowu ryb, jest to dla niego jak uzdrowienie i umocnienie

– jak odnowienie posłannictwa. Z pewnością nie jest to żadne odtwarzanie tej samej starej płyty, raczej pogłębienie własnego doświadczenia w jakże odmiennych okolicznościach i rodzaj scalenia niektórych ważnych, nowych elementów. Rozczarowanie sobą samym uwolniło go – w sposób bolesny – od nieco naiwnej romantyki swojego „pierwszego” powołania. Przebaczenie Pana pogłębiło i uduchowiło jego więź z Jezusem: „... czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?” (J 21, 15). Dla Piotra ważne jest to, że może wyrazić i określić ten swój rozwój słowami prawdy i miłości. Trzykrotnie wolno mu to publicznie zaświadczyć; jest to nie tyle zadośćuczynienie Panu, ile potwierdzenie swej miłości i wyzbycie się swego kompleksu. „Panie, Ty wiesz wszystko, Ty wiesz, że Cię kocham” (J 21, 17). Ty wiesz, że z ludzkich względów jestem chwiejny, ale dostrzegasz i to, co we mnie pozytywnie. Dobrze, że znasz mnie na wskroś.

Tak, Pan wie wszystko. To daje nam pewność, daje radość, jest dobrą podstawą naszego „drugiego” powołania. Pan, który zwyciężył śmierć, zwycięży również naszą ludzką słabość. Możemy Mu siebie powierzyć. To dobra podstawa apostołskiej służby. „Panie, Ty wiesz, że Cię kocham” (J 21, 15-16) – ta postawa gwarantuje rozkwit wszystkiego, co dobre.

Dziękujemy Ci, Ojcze,
że do nas
skierowałeś Słowo wiecznego życia
i Syna swego dałeś za brata.
On zapewnia nas o Twojej miłości
i ukonkretnia ją w swoim własnym i naszym życiu.
My, którzy zwiemy się chrześcijanami,
zostaliśmy posłani, aby życie Chrystusa kontynuować
w naszym życiu.
Światu potrzebni są tacy mężczyźni i takie niewiasty,
którzy otwarcie wyznawać będą Twoje imię
i świadczyć o Twoim Synu.
Dlatego prosimy Cię, Ojcze,
chroń i odnawiaj nasze powołanie,
abyśmy pozostali wierni temu Imieniu, którym się legitymujemy
i abyśmy się stali użytecznymi świadkami Twojego królestwa,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

KAMIEŃ, KTÓRY ODRZUCILI BUDUJĄCY

„Wtedy wszyscy uczniowie opuścili Go i uciekli” (Mt 26, 56). To krótkie zdanie jest swoistym punktem zwrotnym w mecie Jezusa; odtąd bowiem Jezus jest pozbawiony obecności swoich przyjaciół i wydany na pastwę antagonistycznie i wrogo doń nastawionego tłumu. To także punkt zwrotny w życiu uczniów. Nie znaczy to, że przestali w Niego wierzyć, nie, oni wciąż jeszcze w Niego wierzą, lecz ich wiara jest wiarą ograniczoną; On teraz dotarł do kresu, oni natomiast wybierają inną drogę. To, że Go opuścili, nie oznacza, że Go już nie kochają, nie, wciąż bardzo Go kochają, ale kochają też coś innego, jeszcze bardziej bowiem kochają swoje własne bezpieczeństwo. To ono jest teraz poważnie zagrożone i zmienia kierunek drogi, po której idą. Każda świadomie zakreślona granica w oddaniu się Panu nieuchronnie w jakiś sposób zaprowadzi do zdrady.

To ostatnie stwierdzenie zdaje się rozciągać nie tylko na osobisty stosunek człowieka do Pana, ale na każdy stosunek – co w gruncie rzeczy jest truizmem. Być może, ale wtedy pamiętajmy i o tym, że granica naszego związku z Jezusem ma zupełnie inny wymiar niż granica każdego innego związku. Któż śmiałby wysunąć to jedyne w swoim rodzaju żądanie, które wysunął Jezus, gdy rzekł: „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie; i kto nie zbiera ze Mną, rozprasza” (Mt 12, 30). Jeżeli poważnie podejmiemy do postulatu Pana, to może zdziwić lub nawet zdenerwować odkrycie, że pozostali dwaj synoptycy wkładają w usta Jezusa niemal dokładnie coś przeciwnego: „Kto bowiem nie jest przeciwko nam, ten jest z nami” (Mk 9, 40), i: „...kto bowiem nie jest przeciwko wam, ten jest z wami” (Łk 9, 50). I choć może się to wydawać bardzo zawile lub ze sobą sprzeczne, to jednak te trzy zdania mają sens. Zauważmy, że w wersji nietolerancyjnej zaimiek „Mnie” jest w liczbie pojedynczej i odnosi się wyłącznie do Jezusa, gdy tymczasem obie pozostałe wersje zawierają liczbę

mnogą „nam” i „wam”, i odnoszą się do wspólnoty uczniów (oraz Kościoła). W twierdzeniu: „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie” Jezus domaga się jedyne go w swoim rodzaju, nadzwyczajnego stosunku do siebie: z Nim kompromis nie jest możliwy. We wszystkich międzyludzkich sytuacjach kompromis jest czymś zwykłym, na ogół możliwym, a często wręcz wskazanym, bo tu mamy do czynienia z wartościami skończonymi. U Jezusa jest inaczej: kto z Nim zawiera kompromis, już na tej samej płaszczyźnie postawił inną wartość – i w ten sposób zakwestionował Jego suwerenność.

Te uogólnienia ukonkretnimy teraz w naszych rozważaniach poświęconych przesłuchaniu Jezusa przed Poncjuszem Piłatem. Tu nie możemy być biernymi obserwatorami, przeciwnie, tu wymagany jest aktywny udział, jedy ny rodzaj świadomości, że proces Jezusa wciąż jeszcze się toczy. A linia podziału między obu partiami tego procesu nie przebiega niczym linia demarkacyjna między Wschodem i Zachodem, konserwatystami i progresistami, lub tak zwanymi społeczeństwami konsumpcyjnymi, a Trzecim Światem. Ten podział biegnie wprost przez nas samych, prosto przez nasze serca. Spojrzenie na Jezusa w „Jego godzinie” może wyjaśnić sens dokonanych przez nas wyborów. Prawda Boża, kto chce ją widzieć, jawi się tu wyraźnie już to jako moc niszcząca, gdy się jej przeciwstawiamy, już to jako moc wyzwalająca, gdy się na nią otwieramy. Jeżeli przypatrzymy się żyjącemu, wydanemu na śmierć Jezusowi, potrafimy lepiej wejrzeć w podwójną funkcję tej jedynej i odwiecznej prawdy, głębiej wnikać w tę prawdę życiodajną dla naszego istnienia.

Wyrok śmierci wydany na Jezusa przez Sanhedryn musiał zatwierdzić namiestnik rzymski. Dlatego kapłani i uczeni w Piśmie wczesnym rankiem przywieśli Jezusa przed oblicze Piłata. Jan niejako sytuuje nas w samym centrum tego jaskrawego, dwuznacznego widowiska, gdy pisze: „Oni sami jednak nie weszli do pretorium, aby się nie skalać, lecz żeby móc spożyć Paschę” (J 18, 28). To połączenie ślepej nienawiści z przestrzeganiem w najdrobniejszych szczegółach zewnętrznych rytuałów brzmi wręcz niewiarygodnie. Litera prawa zostaje starannie wypełniona, gdy tymczasem człowiek sprawiedliwy w pozorowanym procesie – z już wcześniej ustalonym wyrokiem – zostaje skazany na śmierć. Jakże trafnie opisał kiedyś Jezus hipokryzję takich właśnie ludzi:

Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! Bo dajecie dziesięcinę z mięty, kopru i kminku, lecz pomijacie to, co ważniejsze jest w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. To zaś należało czynić, a tamtego nie opuszczacie. Przewodnicy ślepi, którzy precedzacie komara, a połykacie wielbłąda! Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, obłudnicy! Bo dbacie o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a wewnątrz pełne są zdzierstwa i niepowściągliwości” (Mt 23, 23-25).

Jakże często samych siebie wodzimy za nos! Z jakim trudem zwalczamy własny faryzeizm. Ileż to ludzi z całą powagą wierzy w swą uczciwość i nie dostrzega dwulicowości swojego myślenia i zachowania. Erich Fromm wychodząc z psychoanalizy stwierdza, że z pewnością jest możliwe, iż jakiś człowiek szczerze wierzy w to, co mówi, a jednak naprawdę wcale nie jest szczery:

„Człowiek może być przekonany, że działa z poczucia sprawiedliwości, a jednak powoduje nim okrucieństwo. Może sobie wmawiać, że wypełnia go miłość, a po prawdzie pragnąć masochistycznego uzależnienia. Ktoś może sądzić, że kieruje się poczuciem obowiązku, gdy tymczasem jego siłą napędową jest próżność”¹⁸.

Religijne, ściśle przestrzeganie praw obyczajowych może dobrze służyć tuszowaniu niesprawiedliwości, zawiści, egoizmu itp. Potrafimy się koncentrować na drobiazgach, a unikać tego co istotne. W naszym społeczeństwie dobrobytu potrafimy namiętnie walczyć przeciwko (prawdziwej!) niesprawiedliwości, a jednocześnie zapominać o wołającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości, głodzie i nędzy w skali globalnej. Dająca zadowolenie usłużność może nas doprowadzić do tego, że zaniedbamy zasadnicze, elementarne obowiązki. Człowiek jest taki skomplikowany, a Ewangelia taka prosta. Ludziom czystego serca obiecuje, że będą oglądali Boga.

Ale wróćmy do sceny sądu. Oto widzimy Piłata wychodzącego z pretorium, żeby rozmawiać z członkami Sanhedrynu: „Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi? W odpowiedzi rzekli do niego: Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy go tobie” (J 18, 29-30). Wysoka Rada oskarżyła Jezusa o bluźnierstwo, o to, że – w kontekście dwóch jednoznacznie mesjańskich fragmentów Starego Testamentu – sam nazwał siebie Synem Bożym (Mt 26, 63-66;

¹⁸ Erich Fromm, *Psychoanalyse und Religion*, München, Wilhelm Goldmann Verlag 1980, 92.

por. przypis). Ale raczej nie należało oczekiwać, że tak religijne z natury oskarżenie wywrze wrażenie na Piłacie. Dlatego Sanhedryn wymyśla inny powód - nazywa Jezusa złoczyńcą. Pedantyczna dokładność, gdy chodzi o rytualną nieczystość, nie rozciąga się na uczciwe przeprowadzenie dowodu. To, że Jezus musi umrzeć, jest sprawą przesądzoną, ale argumenty mogą się zmieniać zależnie od okoliczności. Jakże to może być nieuczciwe, wiem z własnego doświadczenia.

Zatem Piłat wraca do pretorium i każe przywołać Jezusa: wszak jest najwyższym zwierzchnikiem, a Jezus stoi przed nim, żeby odpowiadać na pytania. Odpowiedzi Jezusa są jednak tak zaskakujące, że w mgnieniu oka zmieniają się role. Teraz Piłat stoi przed Jezusem. Teraz Jezus prosi go o odpowiedź, a on musi wybierać między „za” lub „przeciw” Jezusowi; już nie ma żadnego „nie tylko..., lecz także”. Piłat przygląda się Jezusowi i widzi siebie, widzi swoje odbicie w oczach Chrystusa, Syna Bożego. Nie dorósł do tego spotkania. Jako urzędnik wysokiej rangi rzymskiej administracji ma spore dyplomatyczne doświadczenie, ale to, co tutaj widzi, wykracza poza jego intelektualne możliwości. Był szkolony do zawierania kompromisów i był w tym biegły, ale tego, że kompromis z Synem Bożym jest niemożliwy, musiał się jeszcze nauczyć. Dylemat ten formułuje jasno: „Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?” (J 19, 10). Zdanie to świadczy o precyzji języka Rzymian – trudno o sformułowanie bardziej lakoniczne i dokładniejsze! Z tych dwu możliwości musi wybrać jedną. On szuka trzeciego wyjścia, ale takiego nie ma. Po raz pierwszy w swojej karierze zawodzi go jego umiejętność wynajdywania rozwiązań prowizorycznych. Teraz stoi przed Absolutem i w sposób tragiczny doświadczy, że w tym przypadku każdy kompromis jest fatalny.

Piłat chciałby coś dla Jezusa zrobić, ale nie wszystko, więc w rzeczywistości nie czyni dla Niego nic. Szukając rozwiązania połowicznego, nie osiąga niczego. Chciałby uratować Jezusa, który według niego jest człowiekiem sprawiedliwym, ale jednocześnie nie chciałby stracić dobrej opinii w Rzymie. Jezus jest ofiarą tego dwuznacznego stanowiska Piłata. „Za dobro płacą tylko ci, którzy je czynią” – mówił Newman. Tymczasem Piłat wcale nie chce płacić pełnej ceny za dobro, które zamierza uczynić – i przez to popełnia jeszcze większą niesprawiedliwość.

Dwa razy pyta Jezusa, czy jest królem, czy nie. Tak, jest nim, ale Jego królestwo nie jest z tego świata. Jest Królem w absolutnym znaczeniu tego słowa. On żąda całego „tak”, wszystko pozostałe to „nie”. Już Symeon, błogosławiąc Maryję, powiedział: „Oto Ten przeznaczony jest na upadek i powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. A twoją duszę miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu” (Łk 2, 34. 35). Później w Kazaniu na Górze Jezus powie: „Wchodźcie przez ciasną bramę. Bo szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzą. Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują” (Mt 7, 13-14). Każda próba poszerzenia wąskiej ścieżki, po której prowadzi nas Jezus, jest zdradą wobec Jego królestwa.

Jezus stoi przed Piłatem jak żywe pytanie, które postawione zostało każdemu z nas – a ty, co wybierasz? Gdy święty Ignacy pyta: „Co ja uczyniłem dla Chrystusa? Co ja dla niego czynię? Co ja dla Niego uczynię?” i pada odpowiedź, że Bóg domaga się od każdego z nas, „abyśmy uwierzyli w Tego, którego On posłał” (por. J 6, 29). Od czasu do czasu zachęca nas Bóg, abyśmy zrobili decydujący krok właśnie w tym kierunku. Czasem trochę nas zbija z tropu. Zaczynamy mieć wątpliwości, czy rzeczywiście sprostamy wymogom naszej wiary i naszego powołania. Nagle uświadamiamy sobie zupełnie jasno, że to, co nazywamy miłością, miesza się z pewną skłonnością do zawładnięcia drugą osobą. W ulotnej chwili uzmysławiamy sobie, że w naszych apostołskich wysiłkach faktycznie tkwi wielkie samooddanie, ale że jednocześnie służą one zatuszowaniu tego, czego wzbraniamy się dać. Nagle spostrzegamy, że nasze życie modlitewne jest wszystkim innym, tylko nie osobistym stosunkiem z Bogiem i z Tym, którego On posłał. Takie momenty są zachętą do wyjścia poza naszą pyszałkową przeciętność i do otwarcia się. Cena jest wysoka, ale warta tego, by ją uiścić. Głęboka wiara w Jezusa jako Pana jest życiodajna i płodna; tworzy nowy styl życia, który przyczynia się do budowy królestwa Bożego. Odmowa jest zgubna, kompromis niemożliwy.

Jezus wyraźnie mówi prokuratorowi, jakiego rodzaju jest Jego królestwo, ale do bojaźliwego Piłata to nie dociera: „Ja się na to narodziłem i przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37). Tutaj prawda, jak zawsze w Piśmie świętym, to coś

ostatecznego, to opoka, na której budować możemy nasze życie, to pewność, że Bóg kocha nas takimi, jacy jesteśmy. Jezus żyje jedynie po to, żeby nas przekonać, że Ojciec w swej miłości jest niezawodny. Królestwo Jezusa to nic innego jak właśnie ta miłość urzeczywistniona w naszym świecie. Bo jeśli wierzymy, że jesteśmy przez Boga kochani w sposób osobisty, głęboki, bezwarunkowy i nieustanny – to i życie Jezusa, oddane za nas, nie było ofiarą daremną.

Uczciwość nakaze Jezusowi wtrącić jedną ważną uwagę: „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi bili by się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd” (J 18, 36). Tak samo ostrzegął Jezus swoich uczniów, aby wiedzieli, co to znaczy opowiedzieć się za Nim. „Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie pierwaj znieawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was miłował jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata... dlatego was świat nienawidzi. Pamiętajcie na słowo, które do was powiedziałem: «Sługa nie jest większy od swego Pana». Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15, 18-20). Piotr, który sam „wiele hańby zniósł z powodu Imienia”, napisze potem w pierwszym swoim Liście: „Błogosławieni [jesteście], jeżeli złorzeczą wam z powodu imienia Chrystusa, albowiem Duch chwały, Boży Duch na was spoczywa” (4, 14). To niewątpliwie prawda, że wierność wobec Jezusa przysporzyć nam może cierpienie. Ale prawdą jest również to, że cierpienie prowadzić może do głębokiej z Nim zażyłości, do zbliżenia, które nie niweluje bólu, ale sprawia niewymowną radość. Czyni nasze życie na swój sposób nadzwyczaj płodnym.

Piłat raz po raz podejmuje aż cztery próby kompromisu. Każda z nich stopniowo zaostrza chaos i okrucieństwo. Najpierw próbuje całą sprawę zepchnąć na Heroda; wszak Galilea podlegała jego kompetencji, a poza tym tetrarcha akurat w święto Paschy przebywał w Jerozolimie. „Na widok Jezusa Herod bardzo się ucieszył. Od dawna bowiem chciał Go ujrzeć, ponieważ słyszał o Nim i spodziewał się, że zobaczy jaki znak, zdziałany przez Niego” (Łk 23, 8). Herod zdawał się należeć do tego gatunku ludzi, którzy religię uprawiają jako hobby. Zawsze interesował się ludźmi pobożnymi i cudotwórcami. Wcześniej miał godny uwagi kontakt z Janem Chrzcicielem, którego przetrzymywał w swoim więzieniu. Od czasu do czasu odwiedzał tam Proroka: „Ilekróć go posłyszał, odczuwał

duży niepokój, a przecież chętnie go słuchał” (Mk 6, 20). Ale to „miłosno-nienawistne” zainteresowanie nie powstrzymało go przed wydaniem zgody na ścięcie Proroka, gdy na uroczystościach z okazji swoich urodzin znalazł się w sytuacji nader dwuznacznej. Na jego dworze panowały obyczaje światowe, królowała powierzchowność i lekkomyślność, słowem : *la dolce vita!* Jego życie seksualne było jednym wielkim skandalem, a sposób administrowania cechowały egoizm i okrucieństwo. Mimo to potrafił to wszystko łączyć z pewnego rodzaju zamiłowaniem religijnymi. Herod jest żywym dowodem na to, że potrafimy uciszyć swoje sumienie, gdy tylko dostatecznie długo ćwiczymy, potrafimy sztucznie je uśpić. To prowadzi do moralnego szubrawstwa, które z taką łatwością uznajemy za *życiową mądrość*. A po chwili o tym życiowym skrzywieniu już nie pamiętamy.

Zrozumienie, że cuda nie są zwykłymi sensacyjnymi wydarzeniami, lecz zakładają wiarę, wykraczało poza amatorską percepcję Heroda. Dla Jezusa Herod i jego dwór są martwym światem, światem, który On ignoruje. W tym miejscu nie mówi ani słowa i trwa w całkowitym bezruchu. Tu zamarła wszelka tęsknota za Bogiem, za miłością i za prawdą. Jezus jest tu po prostu nie na miejscu. A ponieważ nie potrafią sprostać Jego milczeniu, Herod i jego przyjaciele zaczynają sobie dworować z Jezusa, stroją Go we wspaniałe szaty, drwią z Niego i z pogardą odsyłają prokuratorowi. Nie każdy, kto styka się z Jezusem, spotyka się z Nim naprawdę.

W rezultacie rozzarowany jest nie tylko Herod, ale i Piłat. Oto Jezus ponownie stoi przed nim: Jezus – Żywe Pytanie, które nie zadowala się półprawdami. Przebiegły polityk Piłat szybko jednak znajduje nowe rozwiązanie. Istniał bowiem zwyczaj, że podczas Paschy prokurator uwalniał jednego więźnia. Korzysta zatem z okazji i proponuje Żydom, by oni sami dokonali wyboru tego, kogo ma uwolnić. Wówczas nie będzie musiał wydawać wyroku, a Jezus będzie wolny. Liczy na zgromadzone masy, które Jezusa bez wątpienia uważają za jednego spośród siebie. Ale kalkulacja Piłata jest błędna. Tłum żąda uwolnienia Barabasa, terrorysty, który popełnił morderstwo. Jezus musiał to odczuć szczególnie boleśnie. Iluż to spośród tych ludzi przed paru dniami witało Go okrzykami „hosanna”, gdy wkraczał do Jerozolimy, i ścieliło przed Nim swoje

szaty! Ilu z nich wspomógł słowem i czynem! A tymczasem działanie na zwłokę przez Piłata i chwiejność tłumu ostatecznie przypieczętowało los Jezusa, zamieniając go w krwawą rzeczywistość.

„Wówczas Piłat wziął Jezusa i kazał Go ubiczować” (J 19, 1). Te słowa słyszeliśmy często, a mimo to groza tej męczarni przekracza nasze wyobrażenie. Żydzi ograniczyli chłostę do czterdziestu (minus jeden) uderzeń biczem; Rzymianie nie uznawali żadnej granicy. Ta rażąca niesprawiedliwość została zręcznie ukryta w ujęciu Łukasowym, gdzie Piłat dyplomatycznie mówi kapłanom i ludowi: „Otóż ja przesłuchałem Go wobec was i nie znalazłem w Nim żadnej winy w sprawach, o które Go oskarżacie... Nie popełnił On nic godnego śmierci. Każę Go więc wychłostać i uwolnię” (Łk 23, 14-16). Słowa są tak rozciągliwe, że można nimi przysłonić wysoce nierzetelne ustępstwo na rzecz opinii publicznej. Najwyższy sędzia stracił kontrolę nad sytuacją. Odważył się stanąć jakby na katarakcie, na „progu wodnym” i oto teraz wartki nurt błyskawicznie porывa go w dół. Jego liczący na zwłokę kompromis coraz szybciej zamienia się w pełne „nie”. Po biczowaniu „żołnierze upłótnszy koronę z cierni, włożyli Mu ją na głowę i okryli Go płaszczem purpurowym. Potem podchodzili do Niego i mówili: «Witaj, królu żydowski!» I policzkowali Go” (J 19, 2-3). W tym żołnierskim „naddatku” znajduje odbicie cała miękka uległość ich najwyższego przełożonego: Róbcie z Nim, co chcecie!

Czwarta i ostatnia próba Piłata, aby uratować Jezusa bez wstawiania się za Nim, jest mizerna i wręcz hańbiąca. Znowu wychodzi na zewnątrz i mówi do tłuszczy: „Oto wyprowadzam Go do was na zewnątrz, abyście poznali, że ja nie znajduję w nim żadnej winy”. Jezus więc wyszedł na zewnątrz, w koronie cierniowej i płaszczu purpurowym. Piłat rzekł do nich: «Oto Człowiek»” (J 19, 2-3). To brzmi śmiało, odważnie, ale lud nie daje się zmylić tą fasadą. Piłat liczy na to, że pomiatając poniżonym Jezusem zadowolony tłum, i ten przestanie domagać się wykonania wyroku, którego on sam nie ma odwagi zarządzić. Ale – w przeciwieństwie do kapłanów – nie panuje nad tłuszcza. Ta reaguje mrozącym krew w żyłach wrzaskiem: „Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!” I Piłat oczywiście znowu ulega. „Wtedy więc wydał Go im, aby Go ukrzyżowano” (J 19, 16). Nigdy się nie dowiemy, co czuł Jezus, gdy w tak nikczemny sposób wniwecz obrócona została Jego ostatnia nadzieja i czy każdy krok

poszukującego kompromisu Piłata był dla Niego przybierającą na sile, haniebną niesprawiedliwością i coraz okrutniejszą udręką. Punkt kulminacyjny zostanie osiągnięty w ciągu paru godzin. „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko mnie...” (Mt 12, 30). Prawdę tego zdania, prawdę, która wykracza poza zwyczajność, poza banał, wielu zapewne odkrywa bardzo długo, ale wcześniej czy później zawsze się ona sprawdza.

Ogromna bojaźliwość nie przeszkadza temu rzymskiemu dyplomacie odegrać przedstawienia, które samo w sobie nie jest złe, ale tutaj z pewnością jest nie na miejscu. Gdy zawiodła jego własna, zresztą wciąż kulejąca odpowiedzialność, którą na początku tak trafnie sam określił („Mam władzę Ciebie uwolnić i mam władzę Ciebie ukrzyżować”), teraz publicznie tę odpowiedzialność zrzuca na innych. Jest to gest pusty i nieszczerzy. Nikt nie może wyboru za czy *przeciw* Jezusowi przerzucać na kogoś innego. „Piłat... wziął wodę i umył ręce wobec tłumu, mówiąc: «Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz»” (Mt 27, 24). Cóż za marne widowisko! A jak wysoką cenę musi za nie płacić sam Jezus!

Boże, Ojcze nasz,
Syn Twój, Jezus, jest spełnieniem wszystkich Twoich obietnic.
On nie był jednocześnie „tak” i „nie”;
On zawsze był tylko „tak”.
Jego wierność prowadzi Go na śmierć,
na śmierć krzyżową.
Przyrzekamy oddać Mu się całkowicie do dyspozycji.
Modlimy się,
aby On – wywyższony ponad ziemię
– przyciągnął nas do siebie
i sprawił,
abyśmy przez nasze nieograniczone i jednoznaczne „tak”
mogli żyć dla tego,
w którym wszystko ma swoje spełnienie,
i dla Ciebie, źródła wszelkiego życia i wszelkiej miłości,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

CHRZEST KRZYŻA

Chcąc się przedrzeć do tajemnicy objawienia Bożego w śmierci Jezusa, zastanówmy się wpieryw nad śmiercią krzyżową jako właściwym chrztem Jezusa. Przez nasz chrzest i my zostaliśmy włączeni w tę tajemnicę, bo łaska chrztu to przede wszystkim współudział w śmierci i nowym życiu Jezusa. Autentycznym prototypem naszego chrztu nie jest chrzest Jezusa w Jordanie, lecz zdarzenie z okresu wielkanocnego: umieranie w Wielki Piątek, spoczęcie w grobie w Wielką Sobotę i powstanie do nowego życia w Wielkanocną Niedzielę. Dopiero z tej perspektywy nasz chrzest nabiera właściwego znaczenia. Stary *Katechizm Jerozolimski* uczy wyraźnie:

Niech nikt nie sądzi, że celem chrztu jest tylko odpuszczenie grzechów i nadanie synostwa, tak jak chrzest Jana powodował odpuszczenie grzechów. Pamiętajmy, że chrzest nie tylko oczyszcza z grzechów i udziela darów Ducha Świętego, ale jest także odbiciem cierpień Chrystusa¹⁹.

Paweł w swoim Liście do Rzymian wyraża to jeszcze dobitniej:

Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie (Rz 6, 3-5).

Chrzest Jezusa w Jordanie jest zapowiedzią Jego chrztu na krzyżu. Po przyjęciu chrztu od Jana Jezus świadomie przyjmuje swoje

¹⁹ PG 33, 1081. Przypisywany świętemu Cyrylowi, biskupowi Jerozolimy, 349-387 (przekład niemiecki: *Texte der Kirchenväter*, t. IV, zestawił i wydał Alfons Heilmann, *Mystagogische Katechese* 2, 2-8, München, Kösel 1964, 258).

posłannictwo jako sługa Jahwe – ze wszystkim, co to z sobą niesie. Oto powód, dla którego synoptycy, a zwłaszcza Jan, cytują w swoich relacjach ze chrztu Jezusa słowa pieśni Sługi Jahwe, które znaleźć możemy w drugiej części Księgi proroka Izajasza. To one tworzą scenariusz dla boskiej dyspozycji Ojca adresowanej do Syna. To dzięki nim Jezus zostaje zidentyfikowany jako Ten, którego oczekiwał Stary Testament. Duch Boży unosi się nad Nim, żeby go namaścić dla wypełnienia Jego zadania. Trzy lata później to boskie posłannictwo ostatecznie urzeczywistni się na Kalwarii i tam spełni się chrzest. Jan Chrzciciel z całą pokorą obstaje przy tym, że chrzci tylko z wody i wskazuje na przyszły znacznie skuteczniejszy chrzest w Duchu Świętym i ogniu (Łk 3, 16; por. Dz 1, 5). Chrzest Jezusa w Jordanie jest „symbolem realnym”, znakiem, który już zawiera w sobie konkretną rzeczywistość, podczas gdy ukrzyżowanie jest pewnego rodzaju rzeczywistością wyniszczającą, spalającą. Jezus uważa wciąż za swój właściwy chrzest nie tamten pierwszy, nad Jordanem, lecz ten ostatni, na Kalwarii: „Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął. Chrzest mam przyjąć i jakiej doznaję udreki, aż to się stanie” (Łk 12, 49-50). A ambitnych synów Zebedeusza pyta: „Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić, albo przyjąć chrzest, którym Ja mam być ochrzczony?” (Mk 10, 38).

Nad Jordanem Jezus niepostrzeżenie miesza się z tłumem grzeszników, którzy wyznają swoje grzechy i nawracają się. Na krzyżu natomiast Jezus jest izolowany, „wyodrębniony” jako złoczyńca, publicznie i oficjalnie uznany za bluźniercę, który zasłużył na śmierć. W Jordanie Jezus dzieli grzech i winę swego ludu, który uczynił Go grzechem (2 Kor 5, 21); na Kalwarii grzech bezlitośnie atakuje Go wszystkimi swoimi wyniszczającymi łekami.

Chrzest w Jordanie objawia, kim jest Jezus. Ojciec jest tam obecny w głosie, który dochodzi z nieba. Również Duch Święty zstępuje tam na Niego w postaci gołębiczy. Ale chrzest na krzyżu dobitniej niż chrzest nad Jordanem ukazuje, kim jest Jezus. Zwłaszcza w interpretacji Jana ukrzyżowanie jest punktem kulminacyjnym w życiu Jezusa: „Gdy wywyższycie Syna Człowieczego, wtedy poznacie, że JA JESTEM” (J 8, 28). W tym tekście Jezus aspiruje do świętego imienia objawionego Mojżeszowi na górze Horeb, które znajdzie swoje usprawiedliwienie, gdy On umrze na krzyżu. Dla Czwartej Ewangelii krzyż jest wiekuistym tronem Jezusowej chwały: „A jak Mojżesz

wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne” (J 3, 14-15). „A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie”, to powiedział zaznaczając, jaką śmiercią miał umrzeć” (J 12, 32-33). Sławna uwaga proboszcza z Ars, że krzyż to najbardziej uczona księga, jaką może czytać człowiek, jest popularną, acz niemniej głęboką wersją tego, co tak mocno podkreśla Jan.

Janowa Ewangelia przypisuje śmierci Jezusa nadzwyczajne znaczenie – równie wielkie jak zmartwychwstaniu. Powodem prawdopodobnie jest to, że w Janowej – szerszej wizji religijnej – jeszcze wyraźniej niż u synoptyków podkreśla się jedność śmierci i zmartwychwstania. Jan przypisuje równie wielkie znaczenie krwi i wodzie wypływającym z przebitego boku ukrzyżowanego Pana: „Zaświadczył to ten, który widział, a świadectwo jego jest prawdziwe. On wie, że mówi prawdę, abyście i wy wierzyli. Stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo: *Kości Jego nie będą łamane*. I znowu na innym miejscu mówi Pismo: *Będą patrzeć na Tego, którego przebodli* (J 19, 35-37). W języku Jana „widzieć” znaczy tyle, co „widzieć i rozumieć”, co znów wskazuje na krzyż jako ostateczne objawienie tego, kim jest Jezus. Chrzest nad Jordanem był tylko jakby zapowiedzią tego objawienia.

Jeżeli ukrzyżowanie jest tak wyraźnym objawieniem Syna Bożego, to niejako mimo woli nasuwa się nam następujące pytanie: Gdzie byli Ojciec i Duch Święty podczas tamtego chrztu na krzyżu? Ono z kolei szybko przeradza się w pytanie jeszcze bardziej niewygodne i głęboko wstrząsające: Czy Ojciec zapomniał o swoim Synu lub Go opuścił? Jezus umarł w wieku trzydziestu kilku lat – według nas był jeszcze zbyt młody, by umierać. Poniósł śmierć w wyniku wysoce nieuczciwego procesu, w sposób szczególnie okrutny, choć nikomu nie wyrządził krzywdy. Wiernie wypełniał powierzoną Mu przez Ojca misję. Mógł uczciwie mówić, że Jego pokarmem była wola Ojca i że zawsze czynił to, co podobało się Ojcu (J 4, 34; 8, 29). A jednak ten sam Ojciec, któremu z takim wielkim oddaniem służył, teraz jakby całkowicie o Nim zapomniał. Nie uczynił nic, aby swojego Syna ratować przed męką. Zgodził się na Jego krzyk, na zwykłą skargę-pytanie: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” (Mt 27, 46). Ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Niebo milczało. Jak Bóg mógł do tego dopuścić? Cóż to za okrutny Bóg – jeżeli w ogóle istnieje!

Ale spróbujmy to bolesne i śmiałe pytanie dążyć dalej. Nie tylko Jezus w swoim śmiertelnym lęku nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wielu ludzi modlących się do Boga i w swej udręce wzywających pomocy ma takie uczucie, że i oni nie zostali wysłuchani. Gdzie był Bóg w potrzebie? Ludzie w cierpieniach trudnych do zniesienia wznosili ręce do Boga jedynie po to, by doświadczyć, że trafiają w próżnię. Gdzie był Bóg? Ludzie uczciwie wierzyli, że Bóg ich uratuje przed bezrobociem, niepowodzeniem, rakiem, niesprawiedliwością, nędzą, śmiercią głodową, samotnością, nerwicą, waśniami, wojną; jednak nie otrzymali żadnej pomocy. Gdzie był Bóg? „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” – to krzyk niezliczonych ludzi, którzy czują się rozczarowani i oszukani. Modlili się, a nikt ich nie wysłuchał. Gdzie był Bóg?

To pytanie jest na wskroś prawdziwe i szczerze. Ale zgódźmy się, że odpowiedź wykracza poza nasze intelektualne możliwości, że nie uda nam się przeniknąć tajemnicy Boga. Mimo to nie da się tego pytania wycofać; atakuje nas ze strony wielu ludzi, którzy stracili wiarę, a także podpowiada je nam własne doświadczenie. Jest najczęściej wysuwany argument przeciwko chrześcijańskiej wierze w Boga. Właśnie ukrzyżowanie Jezusa nadaje temu pytaniu najostrzejszą formę. On nigdy nie uczynił nic złego. Był całkowicie posłuszny swojemu Ojcu i bez reszty kochał każdego człowieka. Dlaczego Bóg nie ingerował w śmiertelne zagrożenie Syna?

Wobec Jezusowego konania najpierw nasuwa się podejrzenie, że w tym pytaniu może tkwić jakiś fałsz. To my, ludzie, którzy ponosimy pełną odpowiedzialność za Jego śmierć, teraz najzwyczajniej w świecie pytamy, dlaczego Bóg nie ingerował. Zazwyczaj bardzo dbamy o własną wolność i oto nagle całą odpowiedzialność chcemy zrzucić na Boga. Poza tym może nasze pytanie po cichu podsuwa nam i tę myśl, że Bóg dopuścił lub nawet chciał cierpienia swojego Syna; wielu chrześcijan chyba faktycznie tak myśli. Przed Piłatem Jezus powiedział z naciskiem, że to sam Ojciec żąda, aby Syn przekonał ludzi o niezawodności Ojca. „Ja się narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie” (J 18, 37). Nie było jednak wolą Ojca, że aż tyle okrucieństwa było potrzeba, żeby nas przekonać: to był wynik naszego sprzeciwu wobec Jego woli.

Dobroć Ojca jest jak szeroka rzeka, wypełniona po brzegi, która nieustannie wpływa w nasz świat. Życie Jezusa to nic innego jak

wcielanie, jak ucieleśnianie się tego strumienia dobroci. Ta dobroć uderza w zło i grzech tego świata, a to staje się przyczyną bólu i cierpienia, pogardy i niesprawiedliwości. Kiedy Jezus spostrzegł, że i to wchodzi w skład Jego posłannictwa, wszystko to przyjął, od niczego nie próbował uciec. Męka Jezusa to zderzenie się dobroci Bożej z negacją tej dobroci. Krzyż to punkt przecięcia się miłości Bożej z odmową człowieka. Na tym punkcie przecięcia nieruchomo zawisł rozpięty Jezus. Od tej chwili tronem łaski jest szubienica krzyża.

„Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10, 30). To głębokie zespolenie w jedno powraca nieustannie w nauczaniu Jezusa w najrozmaitszych ujęciach. W Męce Pańskiej prawda ta nie poniosła żadnego uszczerbku. Nie oddzielajmy Syna od Ojca, bo to zburzyłoby cały Jego byt i całe Jego orędzie. Ojciec milczał, nie czynił nic; podobnie ciągle toleruje zło naszego świata. Nie tępi go, nie wyrывa, nie usuwa, lecz przez swojego Syna wnika do właściwego centrum zła i przewycięża je czystą miłością. Na Kalwarii Ojciec objawia się jako miłość, która potrafi znieść wszelkie zło i tym samym je przewyciężyć. W męce Jezusa Bóg jest Bogiem w nieobecności, jest Bogiem tam, gdzie się zaprzecza, że Bóg jest Bogiem. „On to dla nas grzechem uczynił Tego, który nie znał grzechu” (2 Kor 5, 21) i w ten sposób wyzwolił nas od grzechu. Jezus zstąpił do piekieł, objawiając w ten sposób, że miłość Boża silniejsza jest od zła i śmierci, i uczynił świat zdolnym do przyjęcia Ducha Świętego.

Ojciec nie opuścił swojego Syna w tej najciemniejszej godzinie. W tym ostatecznym zewnętrznym i wewnętrznym opuszczeniu wciąż jeszcze obowiązuje Jezusowe potwierdzenie: „A Ten, który Mnie posłał, jest ze mną: nie pozostawił mnie samego, bo ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba” (J 8, 29). Ale jest to miłość, która wykracza poza nasze rozumienie. Nawet najbardziej zatwardziały w swym sercu człowiek położyłby kres takiemu cierpieniu swojego syna, gdyby to było w jego mocy.

Bo myśli moje nie są myślami waszymi
ani wasze drogi moimi drogami –
wyrocznia Jahwe.

Bo jak niebiosa górują nad ziemią,
tak drogi moje nad waszymi drogami
i myśli moje nad myślami waszymi (Iz 55, 8-9).

To jest wierność nadludzka, wierność w Boskim wymiarze. W takiej chwili może bardziej niż zwykle dociera do nas błysk prawdy, że Bóg jest większy niż myślimy. Jego milczenie jest dla nas niepojęte, ale w swej niepojętości ostatnim słowem jest jednak Jego chwalebne zmartwychwstanie. To jest odpowiedź wierności Ojca na krzyk swojego Syna. Ojciec podtrzymuje swojego Syna na swój własny, Boski sposób: żadne oko tego nie widziało, żadne ucho nie słyszało, żadnemu człowiekowi nie przyszło to na myśl. Jego miłość do Syna przewyższa wszystko, a myśl, że Ojciec był obojętny na mękę Syna – to bezsens. Lęk przed błędnym przypisywaniem Bogu ludzkich właściwości, gdy uważamy Go za współczującego, niekiedy może prowadzić do jeszcze większego błędu, do posądzenia Go o nieczułość. Zgoda, że nigdy nie mówimy stosownie i kompetentnie o Tajemnicy, którą nazywamy Bogiem. Ale zgódźmy się również z tym, że tę „niestosowność” łatwo możemy jeszcze bardziej pogorszyć, gdy do tej Tajemnicy podejmiemy w chłodny, racjonalny sposób. Współcześni teologowie mówią ostrożnie, ale wyraźnie o swoistym współ-cierpieniu Ojca. „Jeżeli doskonałością Boga nie jest moc, lecz miłość, to do doskonałości Boga należy i to, że może cierpieć”²⁰.

Ojciec z Synem stanowią jedno, a cierpienie nie jest z tego zespolenia w jednym wyłączone. Kalwaria to symbol załamanego Ojca. Dla tradycji wczesnego Kościoła i dla Ojców Kościoła wzorem było Abrahamowe ofiarowanie Izaaka. To nieco przybliżyła nam tę niepojętą ofiarę krzyżową. Jedyne Syn, w swoisty sposób zrodzony, na którym wspierała się wszelka nadzieja i miłość Ojca, wspiął się na owo wzgórze, by tam złożyć ofiarę całopalenia. Ojciec towarzyszył Mu w czasie tej ciężkiej próby; Ojcu ciążyła ona jeszcze bardziej niż Synowi.

Synoptycy mówią nam, że ziemię okryły ciemności, gdy umarł Jezus. To coś więcej niż tylko komunikat o pogodzie z Instytutu Meteorologicznego. Co to oznacza w języku biblijnym? Może głęboką żałobę po jednym jedynym Synu, jak to na przykład przepowiada prorok Amos:

²⁰ T. van Bavel OSA, *De lijdende God*, w: *Tijdschrift voor Theologie* 14, 1974, 146.

Owego dnia – wyrocznia Pana, Jahwe –
zajdzie słońce w południe
i w dzień świetlany zaciemnię ziemię.
Zamienię święta wasze w żałobę,
a wszystkie wasze pieśni w lamentacje...
i uczynię żałobę jak po jedynaku,
a dni ostatnie jakby dzień gorzycy (8, 9-10).
Biada oczekującym dnia Jahwe.
Cóż wam po dniu Jahwe?
On jest ciemnością, a nie światłem.
Jakby uciekał człowiek przed lwem,
a trafił na niedźwiedzia...
Przecież dzień Jahwe jest ciemnością, a nie światłem,
mrokiem, a nie ma w nim jasności (5, 18-20).

Ciemność mogłaby także oznaczać najgłębszy mrok Jezusowego opuszczenia. A może wskazuje się tu w sposób apokaliptyczny na uniwersalne znaczenie śmierci Jezusa. Można tu również wychwycić pewien starotestamentowy motyw, zapowiadający karę Bożą. Obłok zawsze był znakiem szczególnej obecności Boga. Kiedy umarł Jezus, miejsce okryła chmura jak nigdy przedtem w dziejach zbawienia; to znaczy, że nigdy przedtem Bóg nie był tak bardzo obecny.

Całe zło tego świata – chciane i niechciane – zgromadzone w jednym miejscu, utworzyłoby ogromne pasmo górskie. Ale jakie by ono nie było, Bóg jest jak kopuła, jeszcze większy i przesklepiający cały ten budzący zgrozę masyw. A nad tą niezmierną nędzą niczym tęcza góruje Jego wierność. Do Niego należy ostatnie słowo, On wszelkie zło może zmienić jeszcze w dobro. Dlatego może sobie pozwolić na to, by respektować naszą wolność, by natura biegła swoim torem i żeby zło było dopuszczalne. Właśnie w tym szczytowym punkcie wszelkiego zła Bóg ukazał swoją dominującą nad wszystkim moc, żeby w sposób hojny zrekonstruować dobro. Krzyż – to ludzkość znajdująca się na najniższym poziomie zła. Jednocześnie krzyżem jest Bóg na szczycie swej dobroci: Jezus przebacza swoim oprawcom, a Ojciec budzi swojego ukrzyżowanego Syna do chwały zmartwychwstania.

Oddzielenie zmartwychwstania od męki byłoby równoznaczne ze zburzeniem orędzia Ewangelii. Ofiara samego siebie, jaką Jezus składa w śmierci, zostaje przez Ojca przyjęta – i to *jest* uwielbieniem. Wierni wszystkich czasów wyczuwali, że istnieje związek między ich cierpieniem, a krzyżem Jezusa – do tego stopnia, że słowo *krzyż* w języku chrześcijańskim stało się synonimem ludzkiego cierpienia.

Chrześcijanie nauczyli się w zamięcie swych potrzeb spoglądać na krzyż. Średniowiecze miało swoje krzyże-dżumy, na których Jezus przedstawiany był ze wszystkimi szpecącymi znakami zarazy, tak iż ludzie, których ta epidemia dotknęła, widzieli w Jezusie jednego spośród siebie. W obozach koncentracyjnych, kaźniach i celach śmierci ludzie po dziś dzień węglem drzewnym kreślą na ścianach krzyże lub formują je z drutu kolczastego, by na nie patrzeć. Wielu ludzi umierało z krzyżem w dłoniach i łączyło swój strach przed śmiercią z Jezusowym lękiem śmierci. Krucyfiks niczego nie wyjaśnia, wskazuje niejako poza siebie. Nie jest żadną teorią, pozostaje tajemnicą, a jego owoc to sprawa czystej wiary. W głębi swojego cierpienia człowiek nie potrafi zaklinać Bożego imienia; Bóg jednak może mu powierzyć swoje imię przez cierpiącego Syna.

Przybicie Jezusa do Krzyża nie było zwykłym przeznaczeniem: „Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo ja życie Moje oddaję, aby je [potem] znów odzyskać. Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja od siebie je oddaję” (J 10, 17-18). Na początku męki Jan oświadcza uroczyście, iż Jezus wiedział, „że Ojciec dał Mu wszystko w ręce oraz że od Boga wyszedł i do Boga idzie” (13, 3). Na tej świadomości pragnie z bić kapitał szatan, gdy kusi Jezusa: „Jeśli jesteś Synem Bożym, zjdź z krzyża!” (Mt 27, 40). Jezus zawisł na krzyżu i tam pozostał, bo w świecie, który tak mało wie o miłości, był Miłością, bo był dostatecznie *nierozsądny*, aby kochać w okrutnym i bezlitosnym świecie. My poddajemy się śmierci pod przymusem; On chciał jej w wyniku najgłębszej miłości: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie oddaje za przyjaciół swoich” (J 18, 13).

W *Składzie Apostolskim* wypowiadamy „zstąpił do piekieł”. Ostatnie słowo jest przekładem hebrajskiego wyrazu „szeol”, „kraina cieni”, a więc jest miejscem, które w żydowskim ujęciu czeka człowieka po śmierci. Według Żydów był to rodzaj przedłużonej śmierci, brak wszelkich kontaktów, zwłaszcza z Bogiem. To coś mniej niż wegetatywna egzystencja w najskrajniejszej samotności, gdzie życia już nie można nazywać życiem. Choć nie w pełni zgadzamy się z tą hebrajską koncepcją losu człowieka po śmierci, to jednak prawdą jest, że śmierć dla każdego z nas to rzeczywiście absolutna samotność.

W życiu każdego z nas tkwi jakby cząstka samotności. Odbieramy to jako sprzeczność, bo czujemy, że naszym celem jest wspólnota.

Możemy udawać, że samotność nie istnieje, ale w rzeczywistości nigdy przed nią nie uciekniemy. Wywołuje w nas coś w rodzaju głęboko zakorzonego lęku. Właściwie trudno powiedzieć, że konkretnie jest przedmiotem lęku; nie potrafię wyjaśnić dokładnie, czego się obawiam, a jednak lęk ma nade mną władzę. Może rozum mi podpowiada niezbitcie, że nie ma żadnego powodu bać się w konkretnej sytuacji, a jednak czuję, że nie potrafię się wyzbyć strachu. Gdybym całą noc samotnie musiał czuwać przy zwłokach zmarłego, mój rozum podpowiedziałby mi, że nie mam się czego bać; można sobie wyobrazić, że za życia tego człowieka być może istniał jakiś powód do niepokoju, ale po jego śmierci nie ma już żadnego. Mimo to mogłoby się przecież zdarzyć, że nie uda mi się przezwyciężyć pewnego lęku. Może udałoby mi się to, gdyby był przy mnie ktoś, z kim czuję się pewnie. Ta ostatnia uwaga jest o tyle interesująca, że pozwala zrozumieć, iż tym, czego faktycznie się bałem, jest samotność. Właściwym przedmiotem strachu jest samotność.

Ale jak to jest w sytuacji, kiedy absolutnie nikt nie może być przy mnie? Wtedy nie byłoby żadnego wyjścia z tego zagrożenia. Właśnie to Stary Testament nazywa szeolem: śmierć, to absolutna samotność. Do śmierci nie przenika żadna miłość. W tę śmiertelną samotność wkracza Jezus: On zstąpił do piekieł, albo jak mówi nowy przekład Biblii w języku niemieckim: do królestwa śmierci. Teraz w centrum śmierci pojawia się życie i miłość. Śmierć nie jest już szeolem lub piekłem. Kiedy nadejdzie nasz czas, towarzyszyć nam będzie świadomość, że Chrystus już nas wyprzedził i na nas czeka. Każdy artykuł naszego wyznania wiary wyraża określony aspekt naszej wiary, czyli pewien aspekt miłości Boga do nas. Dlatego Teresa z Lisieux traktowała *Credo* jako pieśń dziękczynną, jako *Te Deum*. „Zstąpienie do królestwa śmierci” jest tu czymś bardzo właściwym. Bóg wychodzi nam naprzeciw przezwyciężając skrajność. Ta wiara zmienia nie tylko śmierć, ale i życie.

Chrzest krzyża objawia nam, kim jest Bóg, że jest Ojcem, Synem i Duchem Świętym, a objawienie to rozwija życie ku pełni. Bóg jest totalnym przeciwieństwem zła, totalną niezgodą na śmierć i zło. On jest czystą miłością, prawdziwym życiem. Gdy walczymy ze złem, mamy w Bogu sprzymierzeńca. Sam siebie czyni gwarantem tego, że walka ta w końcu przyniesie sukces, że cierpienie nie musi być pozbawione sensu, że miłość przezwycięży zło, a życie pokona

śmierć. Pan tak całkowicie wkroczył w życie, że nie tylko jest obecny w cierpiącym, ale i w tym, który pomaga cierpiącemu. On sam cierpiał, żeby uzdrawiać innych i uzdrowił innych swoim cierpieniem.

Gdybyśmy się zgodzali na to, że istnieje jakiegokolwiek cierpienie czy jakaś niesprawiedliwość zasłużona albo zgodna z Ewangelią, a tym bardziej „chciana” przez Boga, to byłoby to jasne nadużycie naszej wiary. O sensie cierpienia wolno nam mówić tylko wtedy, gdy zrobiliśmy wszystko, żeby wyzdrowieć lub poprawić stan swego zdrowia. Na Sądzie Ostatecznym spytają się nas, do jakiej kategorii ludzi należeliśmy: do tych, którzy spowodowali cierpienie; albo do tych, którzy cierpienia woleli nie dostrzegać; a może do tych, którzy cierpienia nadużywali dla własnej korzyści; albo do tych, którzy ułatwiali znosić cierpienie. W tym ostatnim utożsamia się Pan z najpośledniejszymi ze swoich braci i sióstr. Jego chrzest objawia Go jako jednego spośród nich; to zaś objawia Boga jako pociechę.

Boże, Ojcze nasz,
Twój Syn przyjął posłannictwo przez Ciebie zlecone.
Wypełnił je do samego końca.
Kosztowało Go to wszystko, co miał i czym był.
Ale też wszystko Mu dało:
wieczną radość zmartwychwstania
i pełnię życia dla nas wszystkich.
Dziękujemy Ci
Za to radykalne Objawienie
swojej miłości w Jego śmierci.
Prosimy Cię w Jego imieniu,
pociągnij nas ku Niemu
i wyrwij nas z naszego samolubstwa.
Obdarz nas wiarą w owocność Jego życia.
Naucz nas żyć miłością,
nie jako wygodnym słowem,
lecz jako prawdziwym, wymagającym czynem.
W ten sposób niech się spełni Jego poselstwo
w każdym z nas,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki wieków. Amen.

ZBAWCZE ZMARTWYCHWSTANIE

„...Tomasz [był] z nimi” (J 20, 26). Chociaż Jan nadał tym słowom sens swoisty, my możemy je rozpatrywać z szerszej perspektywy, inaczej mówiąc, spotykać się z Tomaszem we własnym otoczeniu. Wątpiący Tomasz jest jednym z nas, nie tylko w beztroskim, nieco żartobliwym znaczeniu tego słowa, lecz również jako człowiek, który ma poważne wątpliwości religijne. Pewna stara encyklopedia opisuje go jako człowieka „znanego z ponurego charakteru i trudnego do przekonania”. Nie potrafił dzielić naiwnej, fascynującej wiary swoich towarzyszy, z czym zresztą wcale się nie krył i co jasno i wyraźnie powiedział. Jesteśmy wdzięczni temu jedynemu Apostołowi, który nie od razu uwierzył w zmartwychwstanie i który miał odwagę do tej niewiary się przyznać. Już w VI w. pisał papież Grzegorz Wielki: „Niewiara Tomasza, który się nawrócił, bardziej się nam przydała niż spontaniczna wiara pozostałych uczniów, którym żadne nawrócenie nie było potrzebne”²¹.

W tej medytacji chodzi nie tyle o Tomasza, ile o zmartwychwstałego Pana, który przynosi Apostołom moc odpuszczania grzechów (J 20, 24-29). I oto widzimy, jak Jezus uzdrawia Tomasza, zdejmując z niego smutek i niewiarę, i jak go prowadzi do wiary radosnej, która swój wyraz znajduje w wyznaniu: „Pan mój i Bóg mój!” Ufamy, że uda się nam przyłączyć do Tomasza w chwili, gdy w jego wierze nastąpił przełom. Prośmy, aby jego wiara nauczyła nas widzieć wszystko w świetle zmartwychwstania. Prośmy o to, aby Zmartwychwstały natchnął nas taką radością, dzięki której zdołamy pocieszyć tych, których trapi smutek i troska.

„Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos (Bliźniak), nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus” (J 20, 24). On nie tylko jest

²¹ PL 76, 1201; Hom 24 w Ew.

realnie nieobecny, ale jest także „poza wspólnotą” w przenośnym znaczeniu tego słowa. Uparcie odrzuca wielkanocne świadectwo innych uczniów, którzy widzieli Pana. To jest postawa zabójcza. Nasza wiara opiera się w pełni na wielkanocnych wypowiedziach ulubionych świadków. Chrześcijanie są po prostu wspólnotą tych, którzy to świadectwo przyjmują. Zmartwychwstały Pan łączy wiernych i w ten sposób tworzy Kościół. Kwestionować zmartwychwstanie – to kwestionować wspólnotę, odłączać się od niej. Swoją negacją Tomasz rzuca cień na radość wielkanocną i niszczy własne szczęście. Już nie jest „z nimi” w pełnym znaczeniu tego słowa. Staje się odludkiem, samotnikiem. Z tego typu ludźmi spotykamy się w każdej grupie społecznej.

„Inni więc uczniowie mówili do niego: «Widzieliśmy Pana!» Ale on rzekł do nich: «Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladów gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę»” (J 20, 25). Wielkich słów używa się do zatuszowania trudności lub bolesnych zwątpień. Tomasz w swej niepewności stawia warunki swojej wierze. Ale warunki te są jakby karykaturą tego, co jest istotą wiary. Z doświadczenia wiemy, że sprawdzone fakty wcale nie wymagają wiary, ani nie mogą się stać podstawą tej wiary. Nikt ze świadków tamtej Radosnej Nowiny nie sprawdzał zmartwychwstania w taki sposób, jak tego domagał się Tomasz. Uporczywie stawiane przezeń warunki świadczą o jego ogromnej rozpacz.

Problem Tomasza wydaje się polegać na tym, że zatrzymał się przy Męce, a przecież wszystko już całkowicie zmieniło Zmartwychwstanie. Żyje ponurą przeszłością i neguje promieniującą teraźniejszość. Przyłączył się do Jezusa przed laty pełen idealizmu, ale gorzko się rozczarował; teraz już nie chce albo nie może pozbyć się swoich ciemnych okularów. Przyjmijmy, że nie przyszedł do Jezusa, żeby zrobić karierę – jak ci, co proszą o pierwsze miejsca w mającym nadejść królestwie – lecz żeby służyć człowiekowi. Wiadział, że ten Rabbi z Nazaretu znalazł drogę do ludzkich serc. Ten Jezus miał do spełnienia określoną misję i w dodatku posiadał dar mowy, dar przekonywania do niej, a przede wszystkim dysponował narzędziami, które tę misję uwiarygadniały. Jako współpracownik Jezusa i on, Tomasz, mógłby zdobyć znaczenie u ludzi. Tak więc z wielkim entuzjazmem i pełnym oddaniem przyłączył się do

uczniów nowego Rabbiego. Kiedy Jezus po całonocnej modlitwie wybrał swoich dwunastu Apostołów, Tomasz przeżył głęboką radość, że był jednym z wybranych (Łk 6, 15).

Po pewnym czasie spostrzegł jednak, że poselstwo Jezusa nie przynosi takich sukcesów, jakich się początkowo spodziewał. Stało się dla niego jasne, że Mistrz nie może spełnić tych oczekiwań, które rozbudził i że klęska Jezusa jest nieuchronna. I oto Tomasz widzi jakby rysujący się już w oddali krzyż. W jego entuzjazm zaczyna się wkradać rozczarowanie, szybko wpada we frustrację.

W takim nastroju był Tomasz, gdy spotykamy się z nim w jedenastym rozdziale Janowej Ewangelii. Żydowska zwierzchność w Jerozolimie już omawia swoje plany usunięcia Jezusa z drogi; podejmuje nawet próby uwięzienia Go. Dlatego Jezus i Jego uczniowie chronią się w bezpiecznym miejscu, po drugiej stronie Jordanu. Tam przynoszą Jezusowi wiadomość od Marii i Marty: „Panie, oto choruje ten, którego Ty kochasz” (w. 3). Kiedy to słyszą uczniowie, są zaniepokojeni, ponieważ się boją, że Jezus mógłby się wybrać do Betanii, aby odwiedzić swojego przyjaciela. Z ulgą jednak zauważają, że Jezus spokojnie pozostaje na miejscu. Trzeciego dnia wszakże poważnie ich przestraszył, gdy nagle oświadcza: „Chodźmy znów do Judei”. „Rabbi” – oponują uczniowie – „dopiero co Żydzi usiłowali Cię ukamienować i znów tam idziesz?” (w. 7-8). Jezus mimo oporu uczniów jest jednak zdecydowany tam się udać; to oczywiste, że nikt Go nie może powstrzymać. Wtedy Tomasz wtrąca typową dla siebie uwagę: „Chodźmy także i my, aby razem z Nim umrzeć” (w. 16); przecież jesteśmy u kresu! To tylko kwestia czasu, kilku tygodni, może tylko paru dni. Jesteśmy męczennikami straconej sprawy. Po co przeciągać agonię? Nie mamy żadnych szans przeżycia. Szkoda, iluzja była taka wspaniała!

Tomasz pozostaje wierny swojemu Panu, nawet składa propozycję, żeby z Nim umrzeć. Ale jest to wierność zawzięta. Początkowy zapał zwietrzał, ale Tomasz w swoim uporze nie poddaje się. Piotr, gdy popada w tarapaty, podrywa się ze słowami: „Choćby mi przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie”; „Panie, tu są dwa miecze” (Mt 26, 35; Łk 22, 38). Reakcja Piotra na przewidywaną klęskę jest chełpliwa, Tomasa natomiast ponura. Jeden korzysta ze swoich ostatnich rezerw, żeby zainscenizować świetny popis z bandierami, chorągwiami i sztandarami, drugi, żeby zaapelować o samolikwidację. Obaj należą do wybranej Dwunastki.

W rozdziale 14 ponownie spotykamy się z Tomaszem. Udęczony Apostoł szorstko przerywa wzniosłą mowę pożegnalną Jezusa. Z jednej strony słyszy wspaniałe słowa o domu Ojca, o miejscach przygotowanych w niebie, obietnicę powrotu Jezusa, ale z drugiej dostrzega brutalne intrygi faryzeuszy i wyraźnie widoczną już nieuchronność katastrofy. Ten kontrast jest trudny do zniesienia. „Odezwał się do Niego Tomasz: «Panie, nie wiemy, dokąd idziesz. Jak więc możemy znać drogę?»» (w. 5). Stracił orientację. Pozostało mu już tylko zagubienie i frustracja; tu nie ma już żadnego miejsca dla ezoterycznych uniesień. Ale spójrzmy na tę rzeczywistość realnie, choć jest beznadziejna – zdaje się teraz myśleć Tomasz. Teraz musimy być rzeczowi i nie zatracać się we wzniosłych mowach.

Ale jeśli nawet te uczucia Tomasza są bardzo realne, to nie wyrażają one całego Tomasza. W jego sercu drgają jeszcze inne struny – kontrastujące z uczuciami, które uzewnętrznia. Głęboko w środku żyje w nim także pewna tęsknota za Panem, trudna do opisania, cień nadziei, jakieś resztki pierwotnego idealizmu. Jan podkreśla ponownie, że imię Tomasz znaczy *bliźniak*. Ojcowie Kościoła wcale nie musieli czekać na psychologię głębi, by zauważyć, że w tym człowieku naprawdę żyły dwie osoby: jedna to Tomasz, który przeżywał swoje rozczarowanie tak, iż gotów był stracić swój idealizm i swoją wiarę, i druga to ten Tomasz, który tęsknił za swoją pierwotną żarliwością, za swoją pierwszą miłością. Te dwie osobowości były w konflikcie, i właśnie teraz bezwarunkowo zdobył przewagę Tomasz-pesymista. Jak ciężką walkę musiał staczać ze sobą ten człowiek!

Każdy człowiek wierzący ma podobne doświadczenia. W naszej wierze nachodzą nas wątpliwości – pojawia się niewiara. „Wierzę, zaradz memu niedowiarstwu” (Mk 9, 24). W tej ucziwej modlitwie potrafi się odnaleźć nie tylko ojciec opętanego chłopca. Wszyscy przeżywamy wiarę jako rzeczywistość rozwojową. Stopniowo przewycięża ona nasze niedowierzanie i małoduszność, abyśmy u kresu naszego życia stali się wyrazicielami pełnego aktu wiary. Nadzieją napawa i to, że prawdziwe jest również zjawisko przeciwne: w niewierze istnieje wiara. W tym, co zwykło się nazywać niewiarą, tkwią pewne iskielki wiary. Tam, gdzie są wątpliwości, z pewnością jest wiara. O Słudze Pańskim mówi się; „Nie złamie trzciny nadłamaonej, nie zgasi knotka w nikłym płomyku” (Iz 42, 3).

W rozdziale dwudziestym spotykamy się z Tomaszem, który przegapia przybycie Zmartwychwstałego do uczniów w wieczór wielkanocny: „Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: «Widzieliśmy Pana»” (w. 24-25). Tomasz reaguje gwałtownie, to znaczy sfrustrowana częśćka jego „ja” przejmuje całkowitą władzę nad jego drugim, bliźniaczym „ja”. Po prostu nie potrafi znieść radości innych uczniów. Jego reakcja jest agresywna, niemal cyniczna, okopuje się niejako w swej depresji. Ludzie sfrustrowani są skłonni niezwykle ostro krytykować u innych to, czego sami tak bardzo sobie życzyli, a nie osiągnęli. Zazdrość wzbudza gorycz, uciekają w przeszłość – i nie mogą albo nie chcą już iść naprzód. Niekiedy do zajęcia takiej postawy doprowadzić może wycofanie powierzonego nam zadania.

Przypominam sobie pewną wdowę, która nagle straciła męża i pozostała sama z pięciorgiem dzieci. Nie mogła pogodzić się z tą stratą. Często, gdy dzieci były w szkole, całymi godzinami przebywała w swoim małym „niby-muzeum”, czytywała listy, szperała w fotografiach, zatapiała się w rozpamiętywaniu minionego czasu. Kiedyś najstarszy jej syn powrócił do domu wcześniej niż zazwyczaj i zastał ją wśród jej „zbiorów”. Nie w pełni świadom znaczenia swoich słów rzekł do niej: „Mamo, czy i nas chcesz stracić?” To, co powiedział, było twarde, ale trafiło w sedno. Straciła swojego męża i była na najlepszej drodze do utraty swoich pięciorga dzieci. Szok ten otworzył jej oczy i przywrócił życie.

Tomasz był podobny do tej wdowy. Nie potrafił przeboleć tragizmu Męki Pańskiej i w ten sposób stracił kontakt z innymi Apostołami. Już nie był podatny na niespodziankę zmartwychwstania i na płynącą z niej głęboką radość, przez co wyobcowywał się ze wspólnoty. Stał się jednym wielkim NIE.

W jaki sposób Jezus leczy tego zrozpaczonego człowieka? Oczywiście idealnym rozwiązaniem byłoby – że tak powiem – *prywatne* objawienie się Jezusa Tomaszowi! Wtedy mógłby bez utraty twarzy wrócić z powrotem do wspólnoty uczniów. Naturalnie, musiałby przyznać, że się pomylił i że to oni mieli słuszość; to byłoby dla niego wyjście honorowe. Naturalnie, mógłby natychmiast dodać, że widział Pana, że sprawdził fakty, że wszystko omówił –

i że jest zadowolony z wyników. Zapewne wywarłby na nich silne wrażenie. Ale Pan zazwyczaj nie wybiera tak idealnych rozwiązań. Czy warto drwić z Jego wszechmocy, gdy w swej niewyczerpanej pomysłowości wybiera drogę nie najprostszą? Zawsze raczej wybierał rozwiązania nie wprost. To jest kolejna lekcja, którą Tomasz musi pobrać: *ta* lekcja mu się należy.

„A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł mimo drzwi zamkniętych, stanął pośrodku i rzekł: «Pokój wam!». „Szalom” to zwyczajowe żydowskie pozdrowienie. Wyraża coś więcej niż zwykły brak wojny lub wewnętrzny pokój serca. Jest wyrazem wszechogarniającej harmonii: ze sobą samym i wszystkimi innymi, z własnym ciałem i z naturą; obejmuje radość i sprawiedliwość. W ustach zmartwychwstałego Pana słowo to nabiera jeszcze szerszego znaczenia – jest pokojem, którego świat ani nie może dać, ani odebrać, jest *pokojem* płynącym z życia, które przezwyciężyło śmierć.

Tym *pokojem* chce Pan obdarzyć Tomasza, ale dopiero wtedy, gdy wróci do wspólnoty Apostołów. Odludkowi nie można pomóc. „Troszczmy się o siebie wzajemnie, by się zachęcać do miłości i dobrych uczynków. Nie opuszczajmy naszych wspólnych zebrań, jak się to stało zwyczajem niektórych, ale zachęcajmy się nawzajem...” (Hbr 10, 24-25). Te osiem dni między obydwojma pojawieniami się Pana były trudne dla Tomasza i trudne dla innych. Wrócić do grupy, to nagiąć karku. W walce o zdobycie przewagi Tomasz-dobrej woli odnosi zwycięstwo nad Tomaszem-małoduszny. Na ten krok Pan czekał. Teraz Tomasza można już uleczyć.

„Następnie rzekł do Tomasza: «Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włóż [ją] do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym». Te żądania przed tygodniem wysunięte pod adresem Pana, Jezus obecnie spełnia, powtarzając je w najdrobniejszych szczegółach. To nie chęć zemsty ze strony Pana, lecz Jego indywidualna pomoc nastawiona całkowicie na osobę Tomasza. Jezus jest dobrym pasterzem, takim, który zagubioną owieczkę uwalnia z sideł ostrożnie i troskliwie. Tomasz utkwiał na pozycjach Męki Pańskiej i dlatego Pan nawiązuje z nim kontakt właśnie przez swoje rany. Lecz są to teraz rany Jego uwielbionego ciała. One wykazują, że Zmartwychwstały jest ukrzyżowanym Jezusem. To jest jeden i ten sam Jezus – ten, który został pokonany

i ten, który zwyciężył. Rany i męka są istotną częścią chwały zmartwychwstania, dokładnie tak samo, jak do istoty naszej służby na rzecz królestwa Bożego należy cierpienie. Tej współzależności przy całej swej mądrości Tomasz nie pojmował, gorzej, tak gwałtownie się jej sprzeciwiał, że wyrządził szkodę i sobie, i wspólnocie. Radość wielkanocna łączy w całość znaki Męki Pańskiej, tej Męki, której nie można wymazać jak złego snu: „Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwały?” (Łk 24, 26).

To jest istota tej Radosnej Nowiny, jaką przynosi Tomaszowa perykopa; w tej scenie Ewangelista chce nam tę istotną treść przybliżyć. Znaczenie tej Nowiny wykracza daleko poza tę konkretną relację i odnosi się do naszych czasów, do naszego życia. Spróbujmy zatem treść tej Nowiny przełożyć na język naszego pokolenia i przenieść w sferę naszych doświadczeń. Wszyscy mamy własne niedobre doświadczenia, i we wspomnieniach powinniśmy traktować je poważnie. Tego, co zostało usunięte, nie można leczyć. Gdy nasze negatywne wspomnienia tuszuje frustracja i podejrzliwość, to nie może ich rozświetlić światło Boże ani użyźnić łaska Boża. Z powodu naszego zgorzknienia nie może się to światło przebić przez różne warstwy człowieczego rozdarcia, aby obnażyć liczne tajemne myśli i odczucia naszego serca, i uleczyć to, co zostało zranione. Ewangelia podsuwa pozytywne wzorce wszystkim naszym doświadczeniom. Obyśmy tylko chcieli je przyjąć. Zostało nam darowane Oredzie, które cały nasz smutek wydobyty ze wszystkich zakamarków przenosi w sferę zbawczą śmierci i zmartwychwstania Syna Bożego.

Tu podstawową sprawą jest ani nie ukrywać, ani nie podsycać bólu, lecz zrozumieć, że nie jest on czymś samoistnym. Musimy zrozumieć, że osobiste cierpienie, osobista niesprawiedliwość, własny ból fizyczny lub osobista frustracja – nie są czymś jedynym na świecie. Jeżeli naszych kłopotów nie potrafimy odnieść do cierpienia wielu innych ludzi i z innymi ludźmi połączyć, to świat nasz będzie światem zamkniętym – i nie liczymy na uzdrowienie. Zgryzota ma jakby wrodzoną skłonność do samoudręki i autoizolacji; zazwyczaj trzeba ogromnego wysiłku, żeby się z tego odosobnienia wyrwać. Ale kiedy wreszcie zrozumiemy, że nasze cierpienie jest częścią większej całości, wtedy naprawdę możliwe staje się nasze uzdrowienie, bo uświadomimy sobie, iż wszelkie cierpienie ostatecznie zbiegnie się w Męcę Pana. Wtedy nasz krzyż możemy uważać za część krzyża

Jezusa. Takie było doświadczenie Pawła, który pisał do Kolosan: „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udreń Chrystusa, dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24). Gdy zawładnie nami taka wizja, to będzie to dla nas poważna zachęta do wyzwolenia się z egoizmu i „sterylnego” cierpienia.

Tak przysposobieni możemy uczynić następny krok w tym uzdrowieńczym procesie, bo zrozumieliśmy, że nasze cierpienie nie tylko ma udział w męce, ale i w zmartwychwstaniu Pana. Rany nasze istnieją nadal, lecz widzimy je teraz w świetle zmartwychwstałego Chrystusa. Mają teraz właściwy kontekst, a to dodaje nam sił, abyśmy je nosili owocnie i życiodajnie. Tej pasyjno-rezurekcyjnej nauki udzielono Tomaszowi w sposób wręcz pogładowy. I tak oto rozczarowanie zamienia się w radość i wiarę, a wyrazem tego jest wyznanie z wiarą: „Pan mój i Bóg mój!”

Są to słowa wyzwalające. To wielkanocne zwycięstwo Jezusa nad rozżalonym Tomaszem i ostateczny przełom w duszy wierzącego Tomasza. To również przewyciężone wyobcowanie i powrót do wspólnoty. Tomasz musi jednak za to zapłacić pewną cenę, czyli odsunąć od siebie urazę, by pogрузić się w radości i pokoju. Jest to, o dziwo, cena dość wysoka, którą nie każdy gotów jest płacić. Potrafimy się bowiem tak mocno przywiązać do swoich przykrych przeżyć, że uwolnienie się od nich staje się wręcz niemożliwe. Chyba każdy z nas spotkał w życiu ludzi, którzy umieli zrezygnować nieomal ze wszystkiego, z wyjątkiem jednego: przykrego wspomnienia; ono było jakby ich najcenniejszą własnością. Mogło być zakorzenione w zdarzeniu nawet sprzed dwudziestu laty, lecz oni wciąż wykorzystywali każdą sposobność, żeby o niej mówić – jakby się to stało wczoraj. Słowem, gorycz wypełnia ich serce i umysł i tłumi inne uczucia. Zwycięstwo wielkanocne Pana wymaga od nas rezygnacji z tego typu gorzkich uczuć – choć może to być z naszej strony trudna ofiara. Ale zmartwychwstanie, które zwyciężyło śmierć, dodaje nam sił do przewyciężania tych uczuć i do zaofiarowania ich triumfującemu Panu jako swoiste trofeum.

„Powiedział mu Jezus:

«Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś?

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli»”(J 20, 29).

Te słowa są zwieńczeniem Janowej Ewangelii. Dwadzieścia rozdziałów przygotowało drogę dla tej końcowej proklamacji. Mateusz umieszcza osiem błogosławieństw na początku swojej Ewangelii; Jan niemal wszystko streszcza w tym jednym błogosławieństwie, na końcu. Piotr w swoim pierwszym Liście pisze podobnie: „Wy, choć nie widzieliście, miłujecie Go; wy w Niego teraz, choć nie widzicie,... wierzycie” (1 P 1, 8). Ta miłość wymaga odwagi, bo Go nie widzimy; ta wiara wymaga wielkoduszności, bo nie widać podtrzymującej nas dłoni. Nasza wiara nie polega na tym, co możemy zobaczyć: „Wiara zaś jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy” (Hbr 11, 1). Nasza wiara opiera się na świadectwie tych, którzy widzieli: „Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc mieli życie w imię Jego” (J 20, 31).

Dziękujemy Ci, Ojcze,
za to, co uczyniłeś dla Twojego Syna:
Kazałeś Mu zwyciężyć i rozbroić śmierć,
dałeś mu życie, które nie zna końca,
i napełniłeś Go radością, która przewyższa wszystko.
Dziękujemy Ci za to, co ofiarujesz nam przez to,
że zbudziłeś Jezusa z martwych:
za przyszłość, która nie zna końca,
za nowy sens we wszystkim, co czynimy,
za pewność, że nasza nadzieja nie jest daremna.
Obdarz nas, Ojcze,
odwagą do życia tą wiarą bez możliwości widzenia,
pełnym udziałem w radości zmartwychwstania,
prostodusznością rezygnowania z wszystkiego,
co nam przy tym stanąć może na drodze.
Prosimy Cię także,
żebyśmy dzięki tej wierze i tej radości mogli być jedno,
jak Ty jesteś jedno z Twoim uwielbionym Synem,
dziś, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

JEZUS JEST PANEM

Pewien Francuz zaczął swój list od słów: „To będzie długi list, bo nie mam czasu, żeby napisać krótki”. Nam wszystkim nieobca jest prawda tego paradoksu: w paru słowach potrafimy wyrazić dopiero to, co przedtem przetrawiły rozum i serce. W tej dziedzinie rekordzistami są wcześnie chrześcijanie, bo całą swoją wiarę umieli wyrazić w dwóch słowach: „Kyrios Jesus”, Jezus jest Panem. A ponieważ te dwa słowa i dziś jeszcze w skrócie wyrażają naszą wiarę, spróbujmy się głębiej zastanowić nad ich znaczeniem i czerpać z ich bogactwa to, co przybliży nas nie tylko do Pana Jezusa, ale i do Boga jako Ojca naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Jezus jest Panem. To wszystko. Nie potrzeba żadnych komentarzy, żadnych ograniczeń! Jezus jest Panem wszystkiego. Jest nad władcami i potęgami. Jest nad każdym imieniem, nie tylko tego świata, ale i świata przyszłego. „Jezus jest Panem” oznacza, że to On zapanował nad światem i nad wszystkim, co na nim jest. On jest ponad kulturą, polityką, nauką, pieniędzmi, seksem, karierą, stanowiskiem i wszystkim innym. Największą potęgą tego świata jest niewątpliwie śmierć. Jak potężny by nie był jakiś polityk, jak silny by nie był jakiś atleta, pewnego dnia silniejsza od niego okaże się śmierć. Jak bogaci by nie byli milionerzy, uczeni naukowcy, pewnego dnia potężniejsza będzie śmierć. Gdy mówimy „Jezus jest Panem”, to temu władztwu nie stawiamy żadnych granic, nie wyłączając śmierci. „Trzeba bowiem, ażeby królował, aż położy wszystkich nieprzyjaciół pod swoje stopy. Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć” (1 Kor 15, 25-26). „Jezus jest Panem” zakłada, że On pokonał również tego ostatniego wroga. Paweł w swoim Liście do Rzymian stosuje pewien żydowski paralelizm, który to założenie rozjaśnia: „Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz, że JEZUS JEST PANEM i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych – osiągniesz zbawienie” (10, 9). „Ustami

wyznawać" i „sercem uwierzyć" to synonimy. Takimi samymi synonimami są: „JEZUS JEST PANEM" i „Bóg Go wskrzesił z martwych". Jezus jest Panem, bo nad Jego życiem śmierć nie ma już żadnej władzy. Śmierć jest za Nim; odtąd jest On już tylko samym życiem. Oto zasadnicza różnica między wskrzeszeniem Łazarza a zmartwychwstaniem Jezusa.

W tym samym Liście do Rzymian mówi Paweł, że Jezus jest Panem nad każdą władzą tego świata.

Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz?... I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani zwierchności, ani rzeczy terazniejsze, ani przyszłe, ani potęgi, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym (Rz 8, 25. 38-39).

Ponieważ może się zdarzyć, że owe anioły, zwierchności, potęgi na wysokości albo na głębokości już nie wywrą na nas tak wielkiego wrażenia, wydaje się rzeczą wartą zachodu przetransponowanie tych Pawłowych okrzyków radości na język nam współczesny. „Jezus jest Panem" oznacza, że On jest ponad strukturami Kościoła i wspólnoty i ponad napięciami, które w nich się pojawiają. Oznacza to, że ma On władzę nad przeszłością i przyszłością, nad starym i nowym i jest w stanie przerzucić most między jednym i drugim. Bóg „przez to, że nam oznajmił tajemnicę swej woli według swego postanowienia, które przedtem w Nim powziął dla dokonania pełni czasów, aby wszystko na nowo zjednoczyć w Chrystusie jako Głowie; to, co w niebiosach i to, co na ziemi" (Ef 1, 9-10).

Z chwały Pana Jezusa czerpać możemy siłę do rozprawy ze złem tego świata. Nie tylko historia świętych, ale i nasze własne doświadczenie dostarczyło nam sporo zachęcających przykładów na to, jak wiara w Pana pomaga znosić cierpienia, a nawet uczynić je czymś owocnym. „Sądzę bowiem, że cierpień terazniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić" (Rz 8, 18). „Jezus jest Panem" – to wyzwala wiarę, która usuwa z naszego życia wszelką nadmierną troskę i strach. Bez popadania w triumfalizm, słowa te są zapowiedzią triumfu Jezusa, a przez to uzasadnioną ludzką radością.

Wiara nigdy nie jest abstrakcyjna lub nieobowiązująca, zawsze bardzo osobista i konkretna; wiara sprawia, że w grę wchodzi moje

„ja” i oddziaływanie na moje życie. „Jezus jest Panem” oznacza również, że jest *Panem mojego życia*. „Nikt zaś z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie: jeżeli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana, jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana. I w życiu więc i w śmierci należymy do Pana. Po to bowiem Chrystus zmarł i powrócił do życia, by zapanować tak nad umarłymi, jak nad żywymi” (Rz 14, 7-9). Zwycięstwo wielkanocne ma więc określone konsekwencje dla mojego osobistego życia, a także dla mojej śmierci. „O duszo moja, uzbrój się na spotkanie z Tym, który umie stawiać pytania” (T. S. Eliot). „Jezus jest Panem” oznacza, że całkowicie się Mu poświęcam: On może mną rozporządzać, a chciałbym, żeby zawiązał moim życiem tak, aby formowały je Jego wola i Jego charakter. „Jezus jest Panem” – to synonim pewnej ekscentrycznej duchowości – ekscentrycznej w dosłownym znaczeniu – czyli: „usuniętej z centrum”, co znaczy, że w centrum mojego życia znajduje się On, nie ja. „Jezus jest Panem” wyraża pragnienie, aby mój kontakt z Jezusem był najgłębszym i najgorętszym ze wszystkich moich kontaktów – aby to On był „moim życiem”. „Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce Twoje” (Mt 6, 21). Moim jedynym pragnieniem to być jedno z Nim. On bowiem jest wielką miłością mojego życia, jak to charyzmatycznie wyraził Paweł:

Ale to wszystko, co było dla mnie zyskiem, ze względu na Chrystusa uznałem za stratę. I owszem, nawet wszystko uznaję za stratę ze względu na najwyższą wartość poznania Chrystusa Jezusa, Pana mojego. Dla Niego wyzułem się ze wszystkiego i uznaję to za śmieci, bylebym pozyskał Chrystusa i znalazł się w Nim – nie mając mojej sprawiedliwości, pochodzącej z Prawa, lecz Bożą sprawiedliwość, otrzymaną przez wiarę w Chrystusa, sprawiedliwość pochodzącą od Boga, opartą na wierze” (Flp 3, 7-9).

Uznawać Jezusa za Pana mojego życia, oznacza: „Zapuscicie w Niego korzenie i na Nim dalej się budujcie” (Kol 2, 7). Nie jest to jednak żadna prosta recepta na moje bezpieczeństwo; przeciwnie, to poważne wyzwanie do podporządkowania wszystkich priorytetów mojego zawodowego i osobistego życia normom ustanowionym przez Jezusa. To, jak sądzę, wymaga czegoś więcej niż zwykłej korekty nieistotnych odchyień z mojego kursu; a wymagać mogłoby i tego, że pójdę w zupełnie innym kierunku: „...Trzeba porzucić dawnego człowieka ... odnawiać się duchem w waszym myśleniu

i przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga" (Ef 4, 22-24). Oddziaływanie tego na nasze osobiste i społeczne życie jest znaczne.

On poradzi sobie ze wszystkim – to inne znaczenie owego „Jezus jest Panem”. On „skreślił zapis dłużny obciążający nas nakazami. To właśnie, co było naszym przeciwnikiem, usunął z drogi przygwoździwszy do krzyża. Po rozbrojeniu Zwierzchności i Władz, jawnie wystawił [je] na widowisko, powiódłszy je dzięki Niemu w triumfie” (Kol 2, 14-15). Zagrożenia, które na mnie czyhają, problemy, które mnie trapią, sprawy, które wyprowadzają mnie z równowagi – to wszystko może wchłonąć zwycięstwo i potęgą zmartwychwstałego Pana. Swoje właściwe miejsce znajdują granice mojego zdrowia, mojej osobowości lub moje błędy charakteru, jeśli podporządkowane zostaną władzy Pana. Integracja – to zespolenie się z nadrzędną całością. Coś, co działa negatywnie, gdy pozostawione jest sobie, zapewne może mieć pozytywne skutki, gdy w jakimś organizmie zostanie właściwie zastosowane. „Zechciał bowiem [Bóg], aby w Nim zamieszkała cała Pełnia, i aby przez Niego znów pojednać wszystko ze sobą” (Kol 1, 19-20). Poważna wątpliwość atakująca moją wiarę, potraktowanie mnie nie *fair* przez przełożonego powodujące rozgoryczenie, miłośćka zagrażająca małżeństwu lub celibatowi, kłótniwość ludzi żyjących we wspólnocie – oto przykłady bardzo realnego kryzysu, który przechodzić może każdy z nas. Jeśli tego typu kryzysową sytuację ufnie, w modlitwie przedkładam Panu, może ona – acz nie bez bólu i poświęcenia – stać się częścią składową mojego z Nim stosunku i wzmocnić moje z Nim więzy. Mógłbym to także próbować ukryć przed Jezusem i być może wiele czasu poświęcić na życie z dala od Pana. Ale w takim przypadku nie całe moje życie podlega władzy Jezusa; pewna jego część jest jakby oddzielona i stopniowo może „infekować”, inne, a nawet „zachwaczać” resztę. „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie; i kto nie zbiera ze mną, rozprasza” (Mt 12, 30). „Nikt nie może dwom panom służyć” (Mt 6, 24). Wówczas siła wywodząca się z Pana pracuje przeciwko mnie, choć to właśnie ona może uzdrawiać i wzmacniać, gdybym tylko chciał.

Owo „Jezus jest Panem” rzuca światło na tajemnicę życia. Jezus posiada klucz do tej tajemnicy, a Jego światło świeci w ciemności. W Nim tajemnica życia staje się przejrzysta. To od Jezusa możemy się

uczyć, czym jest życie, jakie jest jego znaczenie i cel i jak można je w sposób sensowny i autentyczny kształtować. Wszak to On przyszedł, żebyśmy żyli pełnią życia, jak zresztą powiedział: „Ja przyszedłem po to, aby [owce] miały życie i miały je w obfitości” (J 10, 10). Te wizję streszcza Jan pod koniec swojego pierwszego Listu następująco:

A świadectwo jest takie: że Bóg dał nam życie wieczne, a to życie jest w Jego Synu. Ten, kto ma Syna, ma życie, a kto nie ma Syna Bożego, nie ma też i życia (1 J 5, 11-12).

Paweł w radykalny sposób, właściwy sobie, wskazuje na to, że istotne znaczenie dla zrozumienia życia ma władza Jezusa. Jako Żyd, a zwłaszcza jako dawniejszy faryzeusz, upatrywał w słowie Bożym Pisma Świętego, czyli Starego Testamentu, źródło wszelkiej mądrości. Słowo Boże uważał za bardziej owocne niż doświadczenie wielu Starszych i za cenniejsze niż najczystsze złoto. Później, już jako chrześcijański Apostoł, stwierdza, że Izraelici wciąż jeszcze wiele energii i czasu poświęcają studiowaniu słów Objawienia. Ale twierdzi również, że tylko mgliście rozumieją, co te słowa naprawdę znaczą; są według niego słowami jakby okrytymi zasłoną. „Ale stępiły ich umysły. I tak aż do dnia dzisiejszego, gdy czytają Stare Przymierze, pozostaje [nad nimi] ta sama zasłona, bo odsłania się ona w Chrystusie. I aż po dzień dzisiejszy, gdy czytają Mojżesza, zasłona spoczywa na ich sercach. A kiedy ktoś zwraca się do Pana, zasłona opada” (2 Kor 3, 14-16). W ten sposób podkreśla Paweł, że Stary Testament swój punkt kulminacyjny osiąga w Jezusie jako Panu i tylko z tego punktu widzenia otwiera i udostępnia całą swoją treść.

Świadomość, że „Jezus jest Panem”, nie tylko rzuca światło na tajemnicę ludzkiej egzystencji, ale i *objawia* nam, *kim jest Bóg*. Umysł i serce człowieka od dawna starały się przeniknąć tajemnicę Boga i przedstawia nam Go jako „Boga filozofów”. Bez względu na budzące podziw przenikliwość i wzruszenie, jakie w tym obrazie zawarto, ta wizja Boga nie jest na tyle nośna, aby na niej można było budować życie. Stary Testament mówi przede wszystkim o Bogu, który w przymierzu ze swoim wybranym narodem podjął zobowiązania i dla niego działał wiele cudów. Dał się poznać jako Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, i do tego Boga modlimy się w Psalmach. Nowy Testament przewyższa znacznie to objawienie, prowadząc nas

do *Ojca* naszego Pana Jezusa Chrystusa. Tytuł ten staje się uprzywilejowanym imieniem Boga w Piśmie świętym. Bóg jest w pierwszym rzędzie Ojcem Jezusa Chrystusa, co oznacza, że jest tym, o którym Jezus wciąż mówi z głębi duszy i tym, który kształtuje Jego życie. Ten Ojciec czyni Jezusa tym, kim jest, nadaje Mu tożsamość. Więcej, pełne nowotestamentowe imię Boga brzmi: Ojciec naszego *Pana* Jezusa Chrystusa. Tymi słowami wyrażamy naszą wiarę w Ojca, który Jezusa uczynił Panem, to znaczy, obdarzył taką Bożą wiernością swojego Syna, że wskrzesił Go z martwych i doprowadził do chwały zmartwychwstania. Oto Boży cud nad cudami, dzięki któremu na zawsze nadane Mu zostaje Jego imię; w tego Boga wierzymy. Czy to z tego powodu żali się Teresa z Avila, że stracone były te lata jej życia, w których usiłowała dotrzeć do Boga z pominięciem Jezusa?

„Jezus jest Panem” – to *podstawa każdego apostołatu*. Życie współczesne konfrontuje nas z całym, niekiedy oszałamiającym zespołem spraw. Dziś niełatwo o właściwą wskazówkę, o dobrą radę, mądrą odpowiedź. W latach osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych naszego wieku poświęcenie życia głównie lub nawet tylko ubocznie apostołatowi – a sprawa w jakiś sposób dotyczy przecież każdego chrześcijanina – wymaga więcej odwagi niż większość rozsądnych ludzi potrafi z siebie wykrzesać, oczywiście gdyby nie pewność, że Jezus jest Panem. A to oznacza, że On nas nie tylko wzywa do odważnej, zaangażowanej, bezwarunkowej nieograniczonej służby, ale i to, że to On sam jest ową fundamentalną pewnością, która tę służbę umożliwia. Co jednak wcale nie oznacza, że odpowiada na wszystkie nasze pytania; On wskazuje w jakim kierunku mamy szukać właściwej odpowiedzi. Ale jednego jesteśmy pewni, tego, że jeśli komuś pomożemy zbliżyć się do Jezusa Chrystusa, to jednocześnie zbliżymy go do nas samych. Na szczęście prawdą jest i to, że jeżeli ludzie zbliżają się do siebie, to jednocześnie zbliżają się do Jezusa. Ale tę samą prawdę można wyrazić również negatywnie: każdą służbą na rzecz innych, która osłabia ich więź z Jezusem, wyświadczamy złą przysługę tym, którym służymy. Jezus jako przyczyna wszelkiego bytu i najdoskonalszy wzór ludzkiej egzystencji, nadaje sens każdej duchowej służbie. „I wszystko, cokolwiek działacie słowem lub czynem, wszystko [czyńcie] w imię Pana Jezusa” (Kol 3, 17). Przemawiając w Cezarei, Piotr oświadcza,

że pokój zwiastuje Jezus Chrystus: „On to jest Panem wszystkich” (por. Dz 10, 36). Oto orędzie, które musimy głosić, choć jednocześnie właśnie ono nam to umożliwia.

„Jezus jest Panem” – nie tylko jest podstawą wszelkiego apostołatu, ale i *podstawą każdej kontemplacji*. Pięknie objaśnia nam to zwięzły tekst, który jest ukoronowaniem wywodu o godności apostołskiego powołania, w zakończeniu rozdziału trzeciego, drugiego Listu do Koryntian: „My wszyscy z odsłoniętą twarzą wpatrujemy się w jasność Pańską jakby w zwierciadło; za sprawą Ducha Pańskiego, coraz bardziej jaśniejąc, upodabniamy się do Jego obrazu” (3, 18). Owo wpatrywanie się, to w gruncie rzeczy nic innego jak kontemplacja chwały Bożej, pełne podziwu rozważanie. Tę chwałę można dojrzeć wszędzie, bo ziemia jest pełna Jego wspaniałości. „Dla tego, kto umie patrzeć, wszystko jest święte” (Teilhard de Chardin). Ze wszystkich dzieł stworzonych Pismo święte ma ten przywilej, że najpełniej odsłania chwałę Bożą. Paweł idzie krok dalej, gdy stwierdza, że Pismo otwiera się w pełni dopiero wtedy, gdy człowiek dociera do Pana Jezusa. W Nim możemy oglądać odsłoniętą jasność Boga. Kontemplacja jest wtedy przede wszystkim czymś na kształt wpatrywania się w osobę Jezusa. W tej Pawłowej wypowiedzi godne uwagi jest to, że owa kontemplacja Pana przemienia tego, kto Go ogląda.

W innym Liście twierdzi, że Ojciec niejako predestynował nas do tego, byśmy „się stali na wzór obrazu Jego Syna..., by On był pierworodnym między wielu braćmi” (Rz 8, 29). To dokonuje się w kontemplacji, bo w niej upodabniamy się do obrazu Tego, którego adorujemy. W duchowości chrześcijańskiego Wschodu często pojawia się myśl, że człowiek upodabnia się do tego, co kontempluje. Dlatego kontemplacja osiąga ostateczny cel naszego życia: przemienia nas w ludzi, jakimi mamy się stać zgodnie z zamiarem Boga. Inaczej: kontemplacja ma ogromną moc oddziaływania, jest kreatywna. Dla uszu, które zazwyczaj słyszały, iż kontemplacja jest bezproduktywna, brzmi to zaskakująco. W ostatnich słowach tego fragmentu Listu Paweł przypisuje ową skuteczność oddziaływania nie naszej własnej sile woli lub dzielności, ale Duchowi Świętemu. Nasza przemiana dokonuje się w takiej głębi, której my sami nigdy nie osiągniemy; jedynie Duch potrafi w nią wnikać i w niej działać. Przemiana ta sięga tak głębokich pokładów, że na powierzchni naszego życia – być

może – przez długi czas będzie ledwo odczuwalna, ale mimo to jest skuteczniejsza niż każda inna nasza aktywność. Jeżeli człowiek znajdzie dość czasu, by oczekiwać Pana, by Go kontemplować, by z Nim wielkodusznie i uczciwie „trwonić” czas, wtedy – być może sam nie zdając sobie z tego sprawy – ulegnie przemianie.

„Jezus jest Panem” – to *źródło jedności* wszystkich chrześcijan, co więcej, wszystkich ludzi. Najpierw Pan jednoczy tych, którzy Go naśladują. Jako Pan nakreśla naszym ideom i ideałom granice i przeciwstawia się skłonnościom do przekształcania ich w bałwochwalstwo i ideologie. Jeżeli w wierze i czynach za słabo podkreślamy, że Jezus jest Panem, to trwonimy nasze siły i zrywamy więzy naszej jedności; i na odwrót, wierząc, że Jezus jest Panem, mobilizujemy w sobie ogromną moc, która zespala ze sobą ludzi rozmaitych poglądów i stylów życia. Bardzo budujący jest widok pierwotnego Kościoła, któremu udało się przezwyciężyć wszelkiego typu poważne różnice zdań i napięcia oraz przeżyć ciężkie kryzysy, ponieważ ponad rozdarcia, jednoczyła go wiara, że „Jezus jest Panem”. „Jezus jest przed wszystkim i wszystko w Nim ma istnienie. I On jest Głową Ciała-Kościoła” (Kol 1, 17-18).

Tę wizję możemy rozszerzyć, żeby do wykreowanej przez Jezusa jedności włączyć także niechrześcijan, co być może nie od razu trafi wszystkim do przekonania. Jest oczywiste, że pośród tych, którzy nie uważają się za chrześcijan, często żywa, głęboka i wspańiałomyślna jest wiara w Boga lub w jakąś Najwyższą Istotę. Drugi Sobór Watykański wyraźnie oświadcza: „Od pradawnych czasów aż do naszej epoki znajdujemy u różnych narodów jakieś rozpoznanie owej tajemniczej mocy, która obecna jest w biegu spraw świata i wydarzeniach życia ludzkiego; nieraz nawet uznanie Najwyższego Bóstwa lub też Ojca”. Zapewne z inicjatywy biskupów z krajów misyjnych Sobór ten zapewnił, że: „Kościół katolicki nic nie odrzuca z Tego, co w religiach owych prawdziwe jest i święte. Ze szczerym szacunkiem odnosi się do owych sposobów działania i życia, do owych nakazów i doktryn, które chociaż w wielu wypadkach różnią się od zasad przez niego wyznawanych i głoszonych, nierzadko jednak odbijają promień owej Prawdy, która oświeca wszystkich ludzi”²². Wielu

²² Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich, *Nostra Aetate 2; Kleines Konzilskompendium*, Freiburg-Basel-Wien, Herder 1966, 356.

z tych ludzi prawie w ogóle nie słyszało o Jezusie, a już z pewnością można powiedzieć, że Go nie zna. A jednak jesteśmy przekonani, że ich wiara to dar, który ma związek ze śmiercią i zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa. „Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup za wszystkich” (1 Tm 2, 5-6). Ta chrześcijańska nauka może brzmieć prowokacyjnie. Jednak mieści w sobie również pewien element, który zachęca do ekumenizmu i od nas chrześcijan wymaga uczenia się od innych religii. Na ten aspekt wskazał niedawno ktoś, kto ma ścisły kontakt z niechrześcijańskimi religiami i wysoko je ceni (zwłaszcza buddyzm) – William Johnston, dyrektor Instytutu Religii Orientalnych w tokijskim Uniwersytecie Sophia.

Być może brzmi to nieekumenicznie, jeżeli Jezusowi Chrystusowi przypisuje rolę niepowtarzalną, taką, jakiej nie przyznają twórcom innych religii, choć ich także wysoko cenię. Ale w końcu jest to moja wiara, a ekumenizm może rosnąć i rozwijać się tylko wtedy, gdy wyznawcy wielkich religii przyznają się szczerze i wiernie do swoich najgłębszych przekonań. Być może dałoby się to samo przedstawić w sposób bardziej pozytywny, gdyby się powiedziało, że Zmartwychwstały, który zasiada po prawicy Ojca, należy do wszystkich ludzi i wszystkich religii. Żadna religia, z chrześcijaństwem włącznie, nie może rościć sobie pretensji do zrozumienia „niezłębionego bogactwa Chrystusa” (por. Ef 3, 8). Dlatego jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, aby w dialogu i wzajemnej pomocy uzupełniać naszą cząstkową wiedzę²³.

I choć zdanie „Jezus jest Panem” – na pierwszy rzut oka wydaje się łatwe do wypowiedzenia, do jednak dopiero po głębszym namyśle staje się jasne, że musimy zmobilizować dużo sił, by móc je wypowiedzieć i stać przy nim wiernie. Nie chodzi bowiem jedynie o to, byśmy byli gotowi przyjąć to zdanie umysłem i sercem ze względu na jego zwiążłość – co tyle trudności nastroczało owemu na wstępie wspomnianemu Francuzowi piszącemu swój list. Te słowa tak trudno wypowiedzieć przede wszystkim na skutek rozlicznych konsekwencji, jakie za sobą pociągają i ponieważ wymagają one pełnego samooddania w dojrzałej wierze. Zatem nie dziwny się, że nikt „nie może powiedzieć bez pomocy Ducha Świętego: «Panem jest Jezus»” (1 Kor 12, 3).

²³ William Johnston SJ, *The Inner Eye of Love*, New York, Harper and Row 1978, 70-71.

Ojcie naszego Pana Jezusa Chrystusa,
nikt Cię jeszcze nie oglądał.
Ale Ty posłałeś swojego Syna,
aby zamieszkał wśród nas.
Uznajemy Go za jednego z nas.
Rozumiemy Jego słowa i dzielimy Jego odczucia.
Ale uznajemy Go też
za kogoś więcej niż my:
Bóg z Boga i Światłość ze Światłości.
W nim postrzegamy Ciebie.
Podziwiamy Twoją wierność i Twoją moc,
która Jego postawiła wysoko nad wszelkimi mocami tego świata.
Spraw, abyśmy w Nim widzieli
Pana naszego Życia
sens naszego ludzkiego istnienia,
Tego, który objawia to, kim Ty jesteś,
wybawia z naszego skrepowania
i jest źródłem naszej wzajemnej jedności,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

XII

ADORACJA BARANKA

Jako chrześcijan cieszy nas wyznanie „Jezus jest Panem”. Rozpamiętujemy Jego życie na ziemi, przepowiadamy Jego zbawienne cierpienie, Jego chwalebne zmartwychwstanie i wniebowstąpienie i oczekujemy Jego ponownego przyjścia. Słusznie nazywamy to świętem, dziękczynieniem, Eucharystią. Z wdzięcznością w sercu rozmyślamy nad Jego słowami i czynami, zastanawiamy się nad Jego Osobą i Jego Duchem, staramy się dociec, kim był. Czasami, jak w dwóch ostatnich rozdziałach tych medytacji, kierujemy naszą uwagę na to, kim On *jest*, ten Zmartwychwstały, który jest Panem w pełnym znaczeniu tego słowa. Każde prawdziwe święto Eucharystii jest też jakby antycypacją Jego ponownego przyjścia u kresu czasu i współudziałem w niebiańskiej liturgii. Medytacja tego rozdziału poświęcona została adoracji Baranka zgodnie z opisem Apokalipsy. Otwiera się tu przed nami wizja wydarzeń u kresu czasu, wydarzeń, które są wprowadzeniem do ostatecznego spełnienia dziejów. Ta wizja ukazuje, jak naszą aktualną adorację Trójcy Świętej już teraz przenika ostateczne spełnienie, które będzie czystą niezmaconą adoracją.

Mający nadejść Chrystus nadaje obecnym czasom impuls i rozmach, jest siłą motoryczną w ewolucji życia i prawdziwego rozwoju świata. „Zechciał bowiem [Bóg], aby w Nim zamieszkała cała Pełnia, i aby przez Niego pojednał wszystko ze sobą: przez Niego – i to, co na ziemi, i to, co na niebiosach – wprowadziwszy pokój przez krew Jego krzyża” (Kol 1, 19-20). Teilhard de Chardin nazywa Go *Punktem Omega*, ku któremu zdąża wszelka ewolucja i w którym kiedyś całkowicie zostanie zintegrowane wszelkie stworzenie. To ostateczne bycie jednym wszelkiego stworzenia jest czymś tak głębokim i doskonałym, że zdaniem Teilharda uznać trzeba ów Punkt Omega za jedyną transcendentną i autonomiczną

Osobowość, w której ludzie osiągną swoją najwyższą świadomość i swoją pełną tożsamość. Ten mający nadzieję Chrystus tu i teraz działa z całą mocą w kierunku ostatecznego spełnienia się stworzenia. On budzi ducha nadziei i oczekiwania, bez którego chrześcijaństwo łatwo mogłoby ulec pewnej degeneracji, przerodzić się w wyznanie zdominowane przez jakiś niefrasobliwy optymizm. Jeżeli zlekceważyliśmy działanie eschatologicznego aspektu naszej chrześcijańskiej wiary, to odbierzemy ewolucji jej siłę, a wiara nasza z witalnej, motorycznej siły przekształci się w coś na kształt gnuśnego komfortu lub jałowego sporu. W ten sposób wzięlibyśmy „głupstwo krzyża” w kajdany i rozwodnilibyśmy chwałę zmartwychwstania. Zadowolilibyśmy się wygodną iluzją łatwego, przyjemnego postępu, zmierzającego jakoby do jakiegoś lepszego świata. Taką karykaturę wiary Marks nazwał opium, ponieważ przystosowywałaby nas ona do niesprawiedliwości i nieludzkich stosunków społecznych, demobilizowałaby do walki z nimi. Ten rodzaj wiary być może czasem posunie się nawet do jakichś przygranicznych potyczek, które uzna za znaczące bitwy, jednak przełom, którego synonimem jest Jezus Chrystus, całkowicie zniknie z jego pola widzenia. Ten – zgódźmy się, trudno zrozumiały, eschatologiczny – dyskurs w świetle rozdziału 24 z Ewangelii Mateusza zupełnie nie przystaje do takiego pojmowania wiary. Może mówi się jeszcze o nadziei, jednak owo małostkowe oczekiwanie nie wykracza poza własny, ograniczony świat. Krótko mówiąc, ten rodzaj wiary tworzy coś na kształt syntezy postępu i drobnomieszczaństwa.

Prawdziwa ewolucja jest pewnym wzrostem, pewną ciągłością, która niekiedy zostaje przerwana po to, by przygotować się do kolejnego skoku. Od czasu do czasu spokojnym biegiem rzeki wstrząsają jakieś progi wodne. Kalwaria nie jest płaska; jeżeli chcemy naśladować Jezusa, musimy brać na siebie Jego krzyż i podążać Jego śladami na tę górę. Zmartwychwstanie nie jest sprawą zwyczajną; ono wymaga od nas zmiany naszego dotychczasowego stylu życia, rezygnacji z naszego starego „ja” i odnowy całego naszego sposobu myślenia: Bo trzeba „przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga, w sprawiedliwości i prawdziwej świętości” (Ef 4, 24). „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstałi z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus zasiadając po prawicy Boga... Umarliście bowiem i wasze życie jest ukryte z Chrystusem

w Bogu. Gdy się ukaże Chrystus, nasze życie, wtedy i wy razem z Nim ukażecie się w chwale” (Kol 3, 1-4). Ostatnie zdanie odnosi się do tego, co nadejdzie. Tęsknota za tym ma istotne znaczenie dla naszej wiary. Ale największy przełom jest jeszcze przed nami. Ukrzyżowanie i zmartwychwstanie, choć mają decydujące znaczenie, są jedynie zwiastunami pewnej, dużo większej przemiany u kresu czasu. „Sądzę bowiem, że cierpień terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić” (Rz 8, 18).

Wymagane przez Jezusa opowiedzenie się po Jego stronie jest tak radykalne, że chrześcijanin może je zaakceptować jedynie w perspektywie ponownego przyjścia Pana: „Mówię, bracia, czas jest krótki” (1 Kor 7, 29). A ostatni wiersz całego Nowego Testamentu to klucz do wszystkich ksiąg Pisma świętego. Jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego pierwsi chrześcijanie żyją zgodnie z wymogami Nowego Testamentu i dlaczego ich siła przyciągania wobec współczesnych była tak wielka: „Mówi ten, który o tym świadczy: «Zaiste, przyjdę niebawem». Amen. Przyjdź, Panie Jezu!” (Ap 22, 20). Jest to wyraz nadziei na paruzję; to ona umożliwi życie według Ewangelii.

Prorok Apokalipsy opisuje swoją wizję Baranka, a celem tego jest doprowadzić do końca historii zbawienia. Baranka radośnie adorują wszystkie stworzenia; On sam podporządkowuje się Temu, który zasiada na tronie, Prorok wyraża w języku apokaliptycznym to, co Paweł bezpośrednio głosi mieszkańcom Koryntu: „A gdy już wszystko zostanie mu poddane, wtedy i sam Syn zostanie poddany Temu, który Synowi poddał wszystko, aby Bóg był wszystkim we wszystkich” (1 Kor 15, 28).

I ujrzałem na prawej ręce Zasiadającego na tronie księgę zapisaną wewnątrz i na odwrocie zapieczętowaną na siedem pieczęci. I ujrzałem potężnego anioła, obwieszczającego głosem donośnym: «Kto godzin jest otworzyć księgę i złamać jej pieczęcie?» A nie mógł nikt – na niebie ani na ziemi, ani pod ziemią – otworzyć księgi ani na nią patrzeć (Ap 5, 1-3).

Zwój zapisany był wewnątrz i na odwrocie, co wskazuje na niezwykle bogatą treść. Zapieczętowanie na siedem pieczęci nie pozwala czytać zwoju przez nieupoważnionych. Ani ten, ani następne rozdziały nie odsłaniają nam treści zwoju: Baranek wszak nadejdzie i złamie pieczęć, jedną po drugiej. Każdemu łamaniu pieczęci będą towarzyszyć pełne zgrozy wydarzenia, które opisano w trzech kolejnych rozdziałach. One poprzedzą spełnienie się dziejów.

„A ja bardzo płakałem, że nikt nie znalazł się godzien, by księgę otworzyć ani na nią patrzeć”. To nie są łzy z powodu niezaspokojonej ciekawości. W obrazowym języku Apokalipsy otworzyć i odczytywać oznacza: wykonać, urzeczywistnić. Prorok płacze, ponieważ nikt nie jest w stanie wykonać planu Bożego. To są łzy wzmożonego głodu i pragnienia sprawiedliwości, łzy wywołane skrajną bezsilnością z powodu niemożności jej urzeczywistnienia.

„I mówi do mnie jeden ze Starców: «Przestań płakać: Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy, Odrośl Dawida, by otworzyć księgę i siedem jej pieczęci»”. Jezus zostaje wprowadzony do tej wizji za pomocą rozmaitych tytułów zapożyczonych ze starotestamentowych, mesjańskich oczekiwań. Ten Jezus, który tak głęboko zakorzeniony jest w Starym Przymierzu, ma w ręku klucz, którym u kresu czasu otworzy księgę wiecznego życia. Paweł wielokrotnie i przy różnych okazjach podkreśla, że Stary Testament daje się odczytać tylko w Chrystusie. „I tak aż do dnia dzisiejszego, gdy czytają Stare Przymierze, pozostaje [nad nimi] ta sama zasłona, bo odsłania się ona w Chrystusie” (2 Kor 3, 14; zob. s. 107). „Są to tylko cienie spraw przeszłych, a rzeczywistość należy do Chrystusa” (Kol 2, 17). W Ewangelii św. Jana Jezus w sporze z Żydami stwierdza: „Badacie Pisma, ponieważ sądzicie, że w nich zawarte jest życie wieczne: to one właśnie dają o Mnie świadectwo” (J 5, 39). W tym końcowym widzeniu Jezus przedstawiony zostaje nie tylko jako klucz do Starego Testamentu, ale i jako spełnienie *całej* historii zbawienia.

„I ujrzałem między tronem z czworgiem Zwierząt, a kręgiem Starców stojącego Baranka jakby zabitego...” Stary Testament oczekuje Lwa, tymczasem na jego miejsce przychodzi Baranek, i tak oto Nowy Testament stoi pod znakiem Baranka. Pośród orłów i lwów, które w naszych herbach prezentujemy jako symbole naszej siły, Baranek jest jakby nie na miejscu. Jeśli chcemy należeć do Baranka, będziemy się musieli przestawić. A będzie trudno, bo Baranka powiodą na rzeź, nie otworzy ust i będzie dręczony za grzechy swojego ludu (Iz 53, 7-8). Dwa rozdziały dalej Księga Objawienia proponuje odwrócenie obrazów:

„Nie będą już łaknąć ani nie będą już pragnąć, i nie porazi ich słońce ani żaden upał, bo paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tronu, i prowadzi ich do źródeł wód życia; i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu (Ap 7, 16-17).

Ostateczne wypełnienie wszystkich obietnic dokona się nie przez pasterza, lecz przez Baranka. Zaiste jest to baranek jedyny w swoim rodzaju. Został ofiarowany, a jednak stoi na nogach, zmarł, a jednak zmartwychwstał! Rany ofiarne na Jego żywym ciele są znakami Jego godności. Jego cierpienie i śmierć obdarzone zostały niesłuchaną chwałą w Jego zmartwychwstałym ciele. O kluczowej pozycji Jezusa świadczy właśnie to, że Jego ukrzyżowanie przejmuje Jego uwielbione człowieczeństwo. Rany ofiarne są wyrazem miłości Jezusa, która z niewzruszoną wiernością ogarnia aż do końca i Ojca, i ludzkość. Zmartwychwstanie świadczy o miłości Ojca, o miłości, która w doskonałej wierności wynosi swego Syna ponad śmierć. Jedna i druga miłość prowadzi do tego, co trwa wiecznie. My zaś możemy wydać trwałą owoc tylko wtedy, gdy w tej niepowtarzalnej podwójnej miłości uczestniczymy.

„... A miał siedem rogów i siedmioro oczu”. Bóg jest znakiem siły i władzy; liczba siedem oznacza pełnię. Siedmioro oczu symbolizuje pełnię wiedzy. Ta wiedza jest twórcza; tworzy, co wie i wie przez tworzenie. Jezus jest Tym, w którym urzeczywistnia się wszelkie stworzenie przez to, że On je potrafi przejrzeć i ocenić.

„I poszedł, i z prawicy Zasiadającego na tronie wziął księgę”. Baranek stał przed *Zasiadającym* na tronie. Wszystkie stworzenia są stworzone przez Boga i stoją przed Nim. Jezus wszedł między stworzenia, by służyć swojemu Ojcu. Jest jednym z nas i stoi przed tronem jak my. Ale z chwilą, gdy otrzymuje zwój, zaczyna się adoracja Baranka, która obejmuje coraz szersze kręgi i czyni Baranka równym Zasiadającemu na tronie.

„A kiedy wziął księgę, czworo Zwierząt i dwudziestu czterech starców upadło przed Barankiem”. Ani Zasiadający na tronie, ani Baranek, ani ktokolwiek inny nie każe im rzucać się na kolana. Uwielbienie zawsze jest aktem całkowitej, dojrzałej wolności. Dwudziestu czterech Starców to władcy noszący znamiona władzy i dostojństwa; „a na ich głowach złote wieńce”. Są pełni radości, „odziani w białe szaty”. Cieszą się czcią i uznaniem, siedzą na tronach, zbudowanych jakby ze „szklanego morza” podobnego „do kryształu”. Te dostojne istoty wyzbywają się wszystkich przywilejów, by móc adorować Baranka. Zapominają o sobie, zupełnie jakby się rozplywają w Baranku i w tym, co właśnie chce zrobić. Chwała, piękno i moc Baranka są tak porywające, że nie potrafią oprzeć się

pragnieniu, by z radością i podziwem rzucić się przed Barankiem na kolana. W tym akcie uwielbienia osiągną ostateczny cel swego istnienia i swoje całkowite spełnienie.

Ponieważ adoracja to jedyna czynność wyznaczona na stałe każdemu stworzeniu po wsze czasy, przeto musimy się jej tu na ziemi nauczyć. Jeżeli jest autentyczną, wyciśnie znamię na naszym życiu. Jest aktem najwyższym i najbardziej dojrzałym, na który zdobyć się może człowiek. Najlepszym miejscem do adoracji jest miejsce ostatnie; dwudziestu czterech Starców pada na kolana i oddaje pokłon. Adoracja i pokora są nierozdzielne. Ale istnieje pewien brak wiary we własne siły, który cofa człowieka w rozwoju, który sprawia, że człowiek koncentruje się wtedy na własnych słabościach i błędach i nie potrafi wielbić Boga. Poza tym człowiek zanadto zajęty sobą może się sam z własnej woli poniżać i sobą pogardzać – przez co traci z pola widzenia potrzebę wielbienia Boga. W obu przypadkach mamy do czynienia raczej z kompleksem niższości aniżeli z prawdziwą pokorą, bo wówczas oddawanie czci odczuwane jest jako mało ważne. Typowym skutkiem ubocznym tej nie odczuwanej potrzeby adoracji jest brak poczucia głębokiej radości i zdumienia zmieszanego z podziwem.

I taką nową pieśń śpiewają:

«Godzien jesteś wziąć księgę i jej pieczęcie otworzyć,
bo zostałeś zabity
i nabyłeś Bogu krew twoją [ludzi] z każdego pokolenia,
języka, ludu i narodu,
i uczyniłeś ich Bogu naszemu królestwem i kapłanami,
a będą królować na ziemi» (Ap 5, 9-10).

O Baranku mówi się, że jest „godzien”. Jakaś zewnętrzna siła może mnie zmusić, bym czynił coś, czego czynić nie chcę, albo żebym powiedział coś wbrew sobie, lecz nigdy nie może rościć sobie pretensji do nazywania się „godną”. Nazywać kogoś „godnym” to jakby oddawać mu cześć z pełną aprobatą, z całkowitym oddaniem. Baranek jest „godzien” dlatego, że sam się całkowicie poświęcił, „oddał na rzeź”. On swoją krew zdobył ludzi dla Boga. Jeszcze raz o zdarzeniu wielkanocnym z jego nieodłącznymi atrybutami ukrzyżowania i zmartwychwstania mówi się jako o *właściwej racji*, żeby „być godnym”. On jest „ustanowionym według Ducha Świętości przez powstanie z martwych pełnym mocy Synem Bożym” (Rz 1, 4).

Kiedy Izraelici po czterdziestoletniej niewoli dotarli pod Synaj, Jahwe, zawierając z nimi pierwsze przymierze, złożył im obietnicę, że będą Mu „królestwem kapłanów i ludem świętym” (Wj 19, 6). Dużo później, bo pod koniec okrutnej deportacji (niewola babilońska) skierował do wybranego narodu w jego nieszczęściu następujące proroctwo: „Wy zaś będziecie nazwani kapłanami Jahwe, mienić was będą sługami Boga naszego” (Iz 61, 6). Ta obietnica i to proroctwo spełniają się w chwili, gdy Baranek Boży przypieczętowanie Nowe i Wieczne Przymierze i czyni nas „wybranym plemieniem”, „królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem [Bogu] na własność przeznaczonym” (1 P 2, 9).

Te słowa odnoszą się nie tylko do ludu Izraela, obejmują i cudownie jednoczą wszystkie plemiona i języki, wszystkie ludy i narody. „Bo wy wszyscy, którzy zostaliście ochrzczeni w Chrystusie, przyoblekliście się w Chrystusa. Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie” (Ga 3, 27-28). Baranek jest synonimem jedności, która ogarnia całą ludzkość. Baranek pragnie jedności i tę jedność wśród swojego ludu buduje, a jest ona porównywalna z Jego zażyłą jednością z Bogiem. Niezgodą bowiem Baranek się brzydzi. Gdy Paweł w swoim Pierwszym Liście do Koryntian udziela nagany różnym grupom, które przyznają się do Pawła albo Apollosa, albo Kefasa, to czyni to nie dlatego, że jest za lub przeciw któremuś z tych stronictw, lecz dlatego, że jest przeciwny każdej partyjności.

Czytamy, że czworo Zwierząt i dwudziestu czterech Starców śpiewało nową pieśń. Gdy porównamy ją ze starą pieśnią z czwartego rozdziału Apokalipsy, to zauważymy, że obie pieśni w przeważającej części pokrywają się ze sobą: odnajdziemy jednak dwie znamienne różnice, które wychwycić można w dalszym toku nowej pieśni:

I ujrzałem,
i usłyszałem głos wielu aniołów
dokoła tronu i Zwierząt, i Starców,
a liczba ich była miriady miriad i tysiące tysięcy,
mówiących głosem donośnym: «Baranek zabity jest godzien
wziąć potęgę i bogactwo, i mądrość, i moc,
i cześć, i chwałę i błogostawieństwo».
A wszelkie stworzenie, które jest w niebie

i na ziemi, i pod ziemią, i na morzu,
i wszystko, co w nich przebywa,
usłyszałem, jak mówiło:
«Zasiadającemu na tronie
i Barankowi
błogosławieństwo i cześć, i chwała,
i moc na wieki wieków» (Ap 5, 11-13).

Nowy hymn różni się od pierwszego najpierw tym, że stary śpiewało tylko czworo Zwierząt i dwudziestu czterech Starców, podczas gdy nowy rozbrzmiewa niezliczonymi głosami wszystkich stworzeń w niebie i na ziemi, pod ziemią i na morzu. Władza Baranka nie zna granic; obejmuje całe stworzenie. Jezus, który wędrował po Palestynie, czynił dobro i głosił Radosną Nowinę, jest tym samym Jezusem, którego teraz się wielbi bez ograniczenia w czasie i przestrzeni. Podczas swego ziemskiego żywota Jezus ograniczył swoje posłannictwo do zagubionych owieczek domu Izraela – z dwoma godnymi uwagi wyjątkami: uzdrowienia sługi królewskiego urzędnika i córki kobiety kananejskiej (Mt 8, 5-13; 15, 21-28). Obecnie jego władza obejmuje wszystkich, ku radości tych, którzy Go kochają, i ku pocieszeniu tych, którzy w Niego wierzą.

Druga różnica polega na tym, że nowa pieśń jednym tchem opiewa Zasiadającego na tronie i Baranka. To charakterystyczne dla Nowego Testamentu. Można by opisać chrześcijanina jako człowieka, który w jednej i tej samej adoracji oddaje cześć zarówno Ojcu jak i Synowi. Przejście od Starego do Nowego Testamentu poznać można po tym, że ową niepowtarzalną i zazdrośnie strzeżoną absolutną transcendencję Jahwe podziela także chrześcijańska wiara w Jezusa z Nazaretu. W naszym wyznaniu i w naszej adoracji szczególnie mocno akcentujemy naszą wierność wobec jednego Boga, ale zarazem nawiązujemy zbawczy kontakt z Bogiem w Trójcy jedynym. W słynnym liście, który około roku 111 po Chrystusie napisał do cesarza Trajana legat Pliniusz Młodszy, czytamy, że powodem ucisku i przesładowania chrześcijan było to, iż „zbierają się [oni] przed świtem określonego dnia i śpiewają pieśni Chrystusowi jako Bogu”. Zdziwiałoby tak dobitne i dokładne sformułowanie oskarżenia ze strony rzymskiego administratora, a jednocześnie budzi lęk okrutna cena, jaką chrześcijanie musieli płacić za wyśpiewywanie swojej pieśni uwielbienia.

A jednak przez stulecia dołącza do nich wielu innych, dołączają ludzie gotowi zrezygnować ze wszystkiego, by móc wielbić Chrystu-

sa jako Boga. Pomyślmy tylko o tych chrześcijanach z za żelaznej i „bambusowej” kurtyny: upośledzeni zawodowo, ekonomicznie, społecznie, mimo to dzielnie trzymają się swojej wiary. Myślę też o tych, którzy poświęcili się życiu kontemplacyjnemu, którzy mają dość odwagi i pokory, aby wieść życie, w którym trudno oczekiwać ludzkiego spełnienia, jeśli przyłożyć doń miarę osiągnięć. Ich życie to – być może bezwiednie – najbardziej jednoznaczny znak czystej wiary. W Ameryce Łacińskiej i gdzie indziej jest pewna liczba chrześcijan, którzy rezygnują ze swoich przywilejów i przyłączają się do ludzi pozbawionych praw, a dążących do sprawiedliwości. Nie bacząc na okrucieństwa, jakie muszą znosić za coś, co przecież jest z gruntu chrześcijańskie, tworzą elementarne wspólnoty, w których Ewangelia daje ludziom nadzieję i moc. Istnieją bezimienni mężczyźni i niewiasty we wszystkich warstwach społecznych, którzy usłyszeli i wielkodusznie odpowiedzieli na wezwanie Chrystusa; spotkanie choćby jednego z nich to wielkie szczęście i przywilej. W ich niepozornym życiu dojrzeć można to, co Jezus potrafi zdziałać w człowieku i przez człowieka, jeżeli ten się na Niego otworzył. Zgadzą się na to, by Duch Boży dał, kędy chce i jako ludzie wolni radośnie zmierzają przed siebie, podczas gdy pozostali z nas, jeżeli mamy szczęście, żeglują z wiatrem w plecy. Oni są znakiem nadziei. Wspomnienie ze spotkania choćby tylko z jednym z nich będziemy nosić w sobie jako jeden z najpiękniejszych darów naszego życia.

Ostatnim słowem tej pieśni jest „Amen”. Jest ono słowem potwierdzenia. Wypowiadając je, przyłączamy się w adoracji Baranka i Zasiadającego na tronie do dziesiątków tysięcy w niebie i na ziemi. Tym słowem zajmujemy swoje miejsce wśród chrześcijan przeszłości i przyszłości. Wypowiadając je, chcemy jak oni poświęcić się Panu.

Baranku Boży,
Ty głądzisz grzechy świata
i łamiesz pieczęcie,
które zamykają dostęp do przyszłego królestwa.
Jesteś Koroną stworzenia,
promieniującą swoimi uwielbionymi ranami.
Czczymy Cię jako współtętnego Ojcu.
Podziwiamy w Tobie moc Boga,
która pociąga ludzi do naśladowania Ciebie.

Z nimi
składamy w Twoje ręce nasze życie.
Chcemy Ci służyć
każdym drgnieniem naszego serca,
każdą chwilą, która jest nam dana.
Ufamy Twojej mocy,
która spełni w nas to,
czego nasza słabość nigdy nie zdołałaby dokonać,
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

XIII

TAK

Adoracja łączy się nierozzerwalnie z oddaniem, z jakimś *fiat*. Jest ofiarowaniem całego naszego istnienia, całej naszej miłości i przywiązania, naszych dni i godzin. Adoracją trzeba żyć; łączy się z nią pewien sposób egzystencji. Skoro adoracja jest aktem definitywnym, to mieści w sobie wszystko inne. Adoracja to swoiste „tak” wyrażone – w słowach lub bez słów – w modlitwie, którym jednak potem trzeba żyć każdej godziny dnia i nocy. Skoro adoracja jest najwyższą formą naszego oddania, wobec tego obdarza również wszystko, co ją poprzedza właściwą perspektywą; nieograniczone „tak” nadaje sens wszystkiemu, co jest w stanie ogarnąć. Trzy związane ale wymowne zdania, które w swoim dzienniku zapisał Dag Hammarskjöld w marcu 1956, pięć lat przed swoją tragiczną śmiercią, zakreślają ramy dla naszej medytacji o wypowiedzeniu naszego „tak”.

Ważysz się powiedzieć „tak” – i oto odkrywasz sens [życia].
Powtarzasz swoje „tak” – i wszystko nabiera sensu.
Skoro wszystko ma sens – to nie ma życia bez „tak”!²⁴

WAŻYSZ SIĘ POWIEDZIEĆ „TAK” – I OTO ODKRYWASZ SENS [ŻYCIA]:

„Tak” jest słowem śmiałym, jest synonimem ryzyka, które wymaga odwagi. Oznacza zostawić coś, żeby można było iść naprzód. Zostawiamy coś, co jest pewne, a udajemy się w nieznanne. Rezygnujemy z czegoś, co stało się nam drogą i kroczymy naprzód jako wolni ludzie, bez oglądania się za siebie. „Tak więc nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem” (Łk 14, 33). „Ktokolwiek przykładą rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego” (Łk 9, 62).

²⁴ Dag Hammarskjöld, *Drogowskazy*, ZNAK Kraków 1981, s. 91.

Taki *exodus*, takie *wyjście* wcale nie jest łatwe. Według sławnego francuskiego powiedzenia jest to swego rodzaju *mourir un peu*, czyli umieraniem po trosze. To rezygnacja z ludzi i rzeczy, do których przywiązaliśmy się bardziej niż to sobie uświadamiamy. Z ludzi, z którymi jesteśmy blisko, z którymi łączy nas dawanie i branie. W pewnym sensie silniej, bo prawie natychmiast odczuwamy jednak moment zrzekania się czegoś, podczas gdy fakt obdarowania dociera do naszej świadomości dopiero po jakimś czasie. Sprawa ma się podobnie jak z różnymi organami naszego ciała: dopóki funkcjonują normalnie, dopóty traktujemy je jako coś oczywistego, ale prawdziwie zaczynamy je cenić dopiero wtedy, gdy chorujemy. Również dopiero wówczas, gdy żegnamy się z czymś naprawdę, zauważamy jak bardzo przywiązani jesteśmy do rzeczy, które z biegiem czasu nagromadziliśmy, jak bardzo daliśmy się omotać tym małym światem naszych rąk, naszego ducha i naszego serca. W tym małym świecie wymyśliliśmy jakby własną metodę zabawy i trwania, ba, staramy się ją nawet narzucić innym. Nauczyliśmy się w nim dochodzić ze sobą do ładu. Wyrzekanie się czegoś, to jakby działanie na własną szkodę. Dlatego tak trudno nam się z czymś lub kimś rozstać.

Być człowiekiem, to żyć w sytuacji *exodusu*, w sytuacji *wyjścia*. Rezygnować, wyrzekać się czegoś – to stały element życia. Przez liczne małe próby przygotowujemy się do ostatecznego rozstania ze światem, co w każdym życiu jest absolutnie pewne. Bóg pozostaje, ale wszystko inne w życiu przemija: wszystko, co biologiczne, socjalne, polityczne, intelektualne, duchowe itd. Kto wzbrania się zaakceptować tę ulotność życia, blokuje swój rozwój i zastyga; a w skrajnych przypadkach może to prowadzić nawet do nerwic. Pierwsi chrześcijanie chętnie nazywali swoją wiarę „drogą”. Bóg jest zawsze większy, to ku Niemu wciąż jesteśmy w drodze. „Nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjść” (Hbr 13, 14). Jezus głosił, że królestwo Boże wymaga, abyśmy umieli rezygnować z siebie: „Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 16, 25). W tym życiu nie wyrzekamy się siebie raz na zawsze; to jest proces wciąż narastającego poświęcenia się naszego „ja”, to wymóg coraz większej gotowości do ofiar.

Zostawianie za sobą ludzi i rzeczy to wcale nie koniec, raczej zapowiedź nowego początku, początku o dużo szerszym wymiarze.

Gdy niemowlęciu odcięta zostaje pępowina, jest to znak przyjęcia go do rodziny; gdy młody człowiek opuszcza rodzinę, gwaranta swego bezpieczeństwa, to znak, że wypływa na szerokie wody świata; zostawić wszystko, jak tego domaga się Jezus, to dla nas to samo, co wejść do królestwa Bożego. Drzewa podcina się po to, by uzyskać bogatsze zawiązki owoców. Jeżeli wydajemy bogaty owoc, to przez to uwielbiony zostaje Ojciec. Nie przynosi Mu sławy ani nie uszczęśliwia Go puste, mizerne, małostkowe życie, lecz to, co przebija się ku pełni. A drogowskazem jest Jezus. To ten Człowiek, który istnieje dla innych, nas pociąga. Pociąga i fascynuje nas Jego zażyłość z Ojcem, którą promieniuje. Wzywa nas do naśladownictwa. Nie wiemy dokąd zaprowadzi nas Jego droga, ale intuicyjnie wyczuwamy, że uczyni nas lepszymi ludźmi. Gdy nasze serce przywiązało się do domów lub samochodów, krewnych lub przyjaciół, do zawodu lub hobby, On ofiarowuje nam wolność, abyśmy ruszyli naprzód. Jedyne, co nam pozostawia, to miłość: służba Bogu i ludziom.

Nasze „tak” jest pełne ryzyka głównie dlatego, że jest takie osobiste. „Tak” obejmuje całą moją osobę. Sięga do tego, co we mnie najgłębsze, do mojego właściwego „ja”. Na to nie ma żadnego wzorca. To jest *moje* „ja”, nikt tego nigdy przede mną w ten sposób nie wyraził, i nikt nie może mi towarzyszyć aż do końca tej drogi. Muszę zstąpić w głąb mojego ja, aby tam dokonać *tego* aktu mojego żywota. Człowiek, który stale chciałby się wspierać na innych, nigdy by tak daleko nie zaszedł.

A jednak jest w owym „tak” jakaś solidarność z innymi, inspirująca i dodająca sił. Wsparciem dla nas jest wspólnota tych wszystkich, którzy powiedzieli swoje „tak”. Na pierwszym miejscu znajduje się tutaj pomoc Maryi; Ona jest czystym „tak”, prawdziwym „niech się stanie”. Do wypowiedzenia naszego „tak” przede wszystkim upoważnia nas Jej Syn, który jest absolutnie jednoznacznym, nieograniczonym „tak” Boga. „Syn Boży, Chrystus Jezus... nie był „tak” i „nie”, lecz dokonało się w Nim „tak”. Albowiem ile tylko obietnic Bożych, wszystkie są „tak” w Nim. Dlatego też przez Niego wypowiada się nasze «Amen» Bogu na chwałę” (2 Kor 1, 19-20).

A jednak pójście za Jezusem jako Bożym „tak” to mimo wszystko pewna przygoda, to zrezygnowanie zarówno z konkretnego bezpieczeństwa, jak i z odczuwalnej akceptacji ze strony innych. To akt wiary. „Tak” jest słowem wolności. Prawdziwego „tak” nikt nie może

narzucić. Wreszcie – owo „tak” odnosi się tylko do osoby, a nie do sprawy lub instytucji. Günter Grass napisał ongiś wielce zagadkowy „wierszyk”, któremu dał tytuł „Tak”.

Ten dom ma dwa wyjścia,
ja korzystam z trzeciego.
Między Anną a Anną
ja opowiadam się za Anną.

Wiersz ten chyba można interpretować tak²⁵: oto oba wyjścia domu wiodą w bezsens, który Grass odrzuca. Trzecim wyjściem nie jest żadne „coś”, lecz pewne „ty”, Anna. Między Anną świętą a Anną grzesznicą, między Anną piękną a Anną brzydką, poeta wybiera Annę realną, i dzięki niej jego życie nabiera sensu. Jego „tak” dla realnej Anny ratuje go przed pustką egzystencjalnej sytuacji bez wyjścia. Poetycka zagadka Günтера Grassa znakomicie współbrzmi z przejrzystą notatką Hammarskjölda: Ważysz się powiedzieć „tak” – i oto odkrywasz sens [życia].

Sens to coś więcej niż intelektualna pewność; sens obejmuje całokształt życia. Sensu ostatecznego nie mierzy się ani sukcesem, ani niepowodzeniem. Droga prowadzi do mądrości krzyża; to jest upadek i zarazem triumf, zwycięstwo i zarazem katastrofa. Misterium Paschalne jednoczy zgrozę ukrzyżowania ze wspaniałością zmartwychwstania. Ostateczny sens odsłania „głupstwo krzyża”. Naśladowanie Chrystusa wykracza poza antytezę: ogołocenie – wywyższenie. Ta droga prowadzi w nowy obszar życia, gdzie stare wartości nabierają nowych perspektyw i gdzie z pozornego bezsensu niespodziewanie wyłania się sens. To umacnia nas w naszym poświęceniu. Ale tak długo, jak obliczamy koszty, szukamy wygod, walczymy o stanowiska lub zabiegamy o uznanie, tak długo nie powiedzieliśmy jeszcze jednoznacznie „tak” i nie zrozumieliśmy właściwego sensu życia.

POWTARZASZ SWOJE „TAK” – I OTO WSZYSTKO NABIERA SENSU:

Nie wystarczy tylko jeden raz powiedzieć „tak”. Trzeba je powtarzać wciąż od nowa. Musimy się wybrać w drogę i podążać

²⁵ Josef Sudbrack SJ, *Das Wort und das Schweigen*, w: *Geist und Leben* 47, 1974, 346-347.

naprzód krok po kroku. Nasze „tak” to rzeczywistość w ciągłym rozwoju; im dalej dochodzimy, tym głębsza i bogatsza jest jego treść. Oczywiście wciąż natrafiamy na przeszkody. Nie pociąga nas powtarzanie owego „tak” w nieustannie zmieniających się okolicznościach. Jesteśmy jak biblijny Jakub, zmagający się z Aniołem Jahwe (Rdz 32, 23-33): Podczas nocy przekraczasz bród potoku Jabbok i aż do wzejścia zorzy walczysz z jakimś mężem, nie wiedząc, iż jest on posłańcem niebieskim. Pod koniec walki prosisz nieznanego o błogosławieństwo. Wtedy otrzymujesz nowe imię, Izrael, co oznacza „Bóg walczy”. W swojej walce z Bogiem zostajesz ranny i odtąd utykasz. Jest to opowieść wielce charakterystyczna. Jak trudno poznać Boga w Jego licznych przebraniach, a jak łatwo postrzegać Go można jako rodzaj zagrożenia, któremu się przeciwstawiamy. Jak często nasze spotkanie z Bogiem – zanim się ugnieemy, aby przyjąć Jego błogosławieństwo – jest jakimś ponurym, długim oporem. Ile szkody wyrządzamy sobie tym sprzeciwem. Każda odmowa wypowiedzenia swojego „tak” jest uszczerbkiem dla naszej osobowości, hamuje nasz rozwój, podkopuje naszą radość i uszczupla sens naszego życia. Rezultatem tego jest zajmowanie się tylko sobą, zawiść, kompensacja, wszelkiego rodzaju nałogi, do ostateczności doprowadzona polaryzacja, zgorzknienie, wyobcowanie. Niepełne „tak” rodzi ludzi kalekich, a to na pewno nie leży w zamiarach Bożych. „Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni i ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust” (Ap 3, 15-16).

Musimy powtarzać nasze „tak”, aż stopniowo obejmie ono wszystko z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jak długo w mojej przeszłości istnieje coś, co odrzucam, tak długo chowam się jakby w skorupie, której nie można przeniknąć. To, co w sobie tłumię lub z powodu czego wpadam w gniew albo rozdziera mi serce, to wlecze się za mną ogromnym ciężarem. A potrwa do czasu, aż naprawdę zaakceptuję moje cierpienia lub niepowodzenia sprzed może nawet dość odległego czasu. „Tak” może nadać sens czemuś, co zrazu wyglądało na bezsens. To wciąż od nowa wypowiedane „tak” będzie coraz dojrzałe, głębsze, coraz bardziej ciche, aż w końcu z ciemności wydobędzie światło, a z krzyża promienny blask. „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru” (Rz 8, 28).

Mówić „tak” oznacza również, że afirmujemy terażniejszość, że jesteśmy wdzięczni za talenty i uzdolnienia, ale z czego wcale nie wynika, że wszystkie są w pełni możliwe do zrealizowania. To znaczy, że mamy dbać o swoje zdrowie, wykształcenie, rozwijać swój charakter itd., a jednocześnie stale nad tym wszystkim panować. To znaczy, że z całym spokojem mamy przekształcać nasze słabości w siłę, swoje wrodzone pokusy w łaskę, a darowane możliwości w dojrzały owoc. Mówić „tak” to uznawać innych, ustępować im miejsca i wspierać tych, którzy potrzebują pomocy; to akceptować sytuację, w jakiej się znajdujemy, i siebie w tej sytuacji. Ciągłe powtarzanie swojego „tak”, prowadzi stopniowo do autoafirmacji, która potem nadaje sens wszystkiemu innemu.

Tego „tak” oczywiście nie należy utożsamiać z bezsilnym samozadowoleniem, które niczego nie chce ulepszyć. Bo ulepszyć możemy jedynie coś, co akceptujemy. Owoce złości, niecierpliwości lub niezadowolenia są bardzo nietrwałe. Zilustrujmy to na przykładzie. Wyobraźmy sobie, że rodzice pewnego jękającego się chłopca nie mogą się pogodzić z jego ułomnością. Gdy tylko zaczyna się jękać, bardzo się irytują i każą mu powtarzać te same słowa. Któregoś wieczoru analizują istniejący stan rzeczy. Oboje zauważyli, że chłopiec jąka się coraz bardziej, i dochodzą do wniosku, że łączy się to z naciskiem, jaki wywierają na chłopca. Postanawiają więc wstrzymać się od uwag, gdy dziecko się jąka. Obojgu, ojcu i matce, udaje się wytrwać w powziętej decyzji, a mimo to widzą, że chłopiec zaczyna się coraz bardziej. Po jakimś czasie znów omawiają sprawę i w rezultacie wspólnie ustalają, iż podczas swej pierwszej rozmowy na ten temat zmienili jedynie swoją taktykę, swoje zewnętrzne zachowanie wobec chłopca, a nie własną wewnętrzną postawę. Przestali go łącać, ale wciąż jeszcze bardzo się jego jękaniem denerwowali. Chłopiec nie był już karcony, ale nadal pozostawał pod ciśnieniem własnego przekonania, że rozczarowuje swoich rodziców. Tym razem rodzice dostrzegają właściwy problem i zajmują inną postawę: akceptują chłopca takim, jakim jest, akceptują go z jego zacinianiem się. I oto dziecko powoli zaczyna poprawiać swoją wymowę, bo nie czuje już dawnego nacisku. To prawdziwy paradoks: jak długo rodzice reagowali gniewem, istniała pewna blokada postępu; po zaakceptowaniu w spokoju tego błędu, następowała widoczna poprawa. Niekiedy jesteśmy równocześnie rodzicami i dzieckiem!

„Tak” dla przyszłości to czysty akt wiary, wszak nie wiemy, do czego to „tak” będzie się odnosiło. Jedynie dzięki zaufaniu do konkretnej osoby zdobywamy się na to, by powiedzieć „tak” doli i niedoli, które niesie przyszłość. Podczas zaślubin to zaufanie do partnera – w połączeniu z wiarą w Boga – umożliwia zawarcie związku na wspólną przyszłość oraz zaakceptowanie wszystkiego go, cokolwiek by ta przyszłość nie przyniosła. Podczas święceń kapłańskich i składania wieczystych ślubów zakonnych – w połączeniu z zaufaniem do wspólnoty i z dążeniem do wyższych celów. Tym, co tworzy podstawę tego związku, jest wiara w żywego Boga. Bez mocnej wiary byłoby skrajną głupotą uroczyście i wieczyście ślubować ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Wszak piękno i świadectwo ślubowania polega właśnie na tym, że jest ono tak jednoznacznym aktem wiary.

SKORO WSZYSTKO MA SENS – TO NIE MA ŻYCIA BEZ „TAK”!

Wytrwałe powtarzanie „tak” prowadzi nas w końcu do „działu wód”, od którego nasze życie zaczyna płynąć w innym kierunku. Trud podejścia na górę wynagradza nam rozległy widok i jakaś spokojna lekkość, że oto nieprzerwanie będziemy mogli żyć owym „tak”. Wędrowiec czuje się teraz jakby oczyszczony i wszędzie widzi Boga. Jego niczym nie zmaczone spojrzenie wnika w najgłębszą rację wszelkiego bytu i widzi jak wszystko wypełnione jest łaską i sensem. A to ze swej strony wzmacnia ludzkie „tak”. Znowu ożywia nas duch świętości.

A czym jest bezsens? Tym, że rozmaite doświadczenia życiowe nie mają ze sobą żadnego związku i dlatego wprowadzają zamęt. To po prostu nie ma żadnego sensu! – mówimy. To lotny piach, w którym człowiek tonie. Takie doświadczenia paraliżują każdy ludzki wysiłek, obezwładniają człowieka jak myśl, że przecież i tak nic z tego nie wyjdzie. Kumulacja uczuć rozpacz i beznadziejności może prowadzić do tego, że nawet samobójstwo stanie się pociągającą pokusą. Drugą stroną owego „działu wód”, na obszarze, który dotychczas wydawał się niedostępny, człowiek obecnie ogarnia wzrokiem i widzi pewien spójny wzorzec, którego nigdy przedtem nie dostrzegał. Zmiana zachodzi nie tyle w samej rzeczy, ile w tym, że teraz inaczej patrzymy na rzeczywistość. Oto nareszcie dotarliśmy

do punktu, z którego mamy właściwą widoczność. Nieograniczone „tak” uczyniło każdą rzeczywistość przejrzystą i sensowną. Czujemy się jak Jakub, który budzi się ze swojego snu w Betel: „Prawdziwie Jahwe jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem” (Rdz 28, 16). Jakaż głęboka radość towarzyszy temu doświadczeniu. To jest jak powrót do domu po długim, beznadziejnym błędzeniu. Tym domem w rzeczywistości jest obecność Boga. Teraz poznajemy Go wszędzie, również tam, gdzie przedtem – jak nam się zdawało – nie było Jego śladu. On jest tym węzłem, który wszystko łączy. On jest owym prądowym pojęciem Bożej Opatrzności, które ponownie odkrywamy w nowym świetle. Sensowność zależy zatem nie od *Czegoś*, lecz od owego *Ty*.

Bóg nie *posiada* niczego, bo *jest* Stwórcą wszystkiego. On nie po to wydaje coś na świat, żeby się potem tym nie interesować. Pozostaje żywym Centrum wszystkiego, co jest; bez Niego nic nie mogłoby istnieć. We wszystkim, co darowuje, darowuje także siebie. Dlatego we wszystkim można Go odnaleźć. Tylko gdy tak pojmujemy Boga, rzeczywistość nabiera pełnego znaczenia i może być tym wszystkim, czym ma być. To pierwotne zaufanie, które ma tak decydujące znaczenie dla dobra człowieka, ogarnia teraz wszystko, co jest. Nic „nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga...” (Rz 8, 39). Teraz oddanie może być doskonałe. Czyż możemy żyć inaczej jak nie przez „tak”? Przyłączmy się do *Modlitwy oddania* Charlesa de Foucaulda:

Ojcze mój,
oddaję się Tobie,
uczyni ze mną, co chcesz.
Cokolwiek ze mną zrobisz,
dzięki Ci za to.
Jestem gotowy na wszystko,
wszystko przyjmę.
Niech wola Twoja wypełni się we mnie
i we wszystkich Twoich stworzeniach,
niczego więcej nie pragnę, Boże mój.
W Twoje ręce składam duszę moją.
Daję ją Tobie, Boże mój,
wraz z całą miłością mojego serca,
ponieważ Cię kocham
i ponieważ miłość ta skłania mnie do tego,
żeby się Tobie poświęcić,
oddać w Twoje ręce, powierzyć Twoim dłoniom,
zupełnie bez miary,

z bezgranicznym zaufaniem,
bo Ty jesteś moim Ojcem.

Być może inni, aby dać wyraz swojemu samooddaniu, dadzą pierwszeństwo starszej modlitwie, świętego Ignacego Loyoli, którą kończy on swoje *Ćwiczenia duchowne*:

Zabierz, Panie, i przyjmij całą wolność moją,
pamięć moją i rozum, i wolę mą całą,
cokolwiek mam i posiadam.
Ty mi to wszystko dałeś – Tobie to, Panie, oddaję.
Twoje jest wszystko.
Rozporządzaj tym w pełni wedle swojej woli.
Daj mi jedynie miłość twą i łaskę,
abowiem to mi wystarcza. Amen.

W Ewangelii Łukaszej znajdujemy modlitwę całkowitego oddania, jeszcze starszą i składającą się z tylko jednego słowa: *Fiat*. Tym słowem Maryja motywem swojego życia czyni posłuszeństwo: „...niech Mi się stanie według twego słowa” (Łk 1, 38). Przez to oddaje Bogu swoje ciało; a wszystko, co posiada, też mieści się w tym jednym akcie oddania. To słowo zostało wypowiedziane w jednej chwili, ale aby dać mu wyraz potrzeba całego życia. To niepozorne słówko jak snop związany w środku i przyjmujący kształt wachlarza u podstawy z wierzchu łączy życie Maryi w całej przebogatej pełni. W tym słowie zbiegają się lata Jej życia poprzedzające tę chwilę, a pozostałe życie Maryi też podporządkowane jest temu słowu. Łasce Bożej zawdzięcza Ona możliwość wypowiedzenia tego słowa, a z chwilą, gdy je wymawia, ta sama łaska Boża zaczyna w Niej działać. Dzięki *fiat* Maryja całą swą istotą zwraca się ku Bogu, wyzbywa się egoizmu i wszelkiego nadmiernego zajmowania się sobą. *Fiat* czyni Ją całkowicie przejrzystą, tak iż przez Nią Światłość w całej pełni przeniknąć może do świata. To słowo tworzy przestrzeń, której potrzebuje Bóg, by stać się Człowiekiem. Jezus jest *Tak* i *Amen* Boga, ale zarazem także ucieleśnionym *tak* Maryi, owocem Jej *fiat*. *Fiat* nie hamuje, nie ogranicza osobowości Maryi, przeciwnie, raczej prowadzi ją do pełnego rozkwitu i czyni prototypem każdej chrześcijańskiej żyźności.

Przybывamy do Ciebie,
Matko naszego Pana i nas,

by podziękować Ci za Twoje „tak”,
które przyniosło nam wcielenie wiecznego „Tak” Boga,
a Życiu pozwoliło osiągnąć pełnię.
Prosimy Cię,
naucz nas naśladować Ciebie;
wszak mówimy nasze „tak” ufnie i śmiało.
Ty znasz cenę, jaką się płaci za życie owym „tak”;
spraw, by nasze „tak” było pełne i radosne.
Wstaw się u Twego Boskiego Syna o łaskę,
abyśmy nasze „tak” mogli wypowiadać wciąż od nowa,
z rosnącym oddaniem,
i abyśmy mogli doświadczać tego,
że w ten sposób nasze życie nabiera sensu.
Poucz nas,
nakłaniaj nas do pomocy
jak budować królestwo Boże
dzisiaj, po wszystkie dni i na wieki. Amen.

DODATEK

DWA PODEJŚCIA

Nasza książka podąża tropami wiary przekazywanej nam słowami Pisma świętego. Tę wiarę dobrze określają następujące słowa Biblii iż: „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam” (1 J 4, 16). W każdym rozdziale szczególny nacisk kładliśmy na miłość Boga do nas, na to, że Bóg kocha nas takimi, jakimi jesteśmy.

Na zakończenie warto więc może zwrócić uwagę na dwa aspekty dokonanego przeze mnie wyboru tematów. Będzie to tylko jakby rodzaj szkicu, który nie zastępuje treści książki, ale leży u podstaw jej powstania; bez tego zastrzeżenia szkic ten wprowadzałby w błąd, nie byłby przydatny. W trosce o większą wyrazistość porównujemy podejście wiary z podejściem etycznym, choć gwoli uczciwości ostrzegam, że obu podejść nie należy sobie przeciwstawiać. Żadna wyraźna linia podziału między nimi nie istnieje, przeciwnie, oba podejścia niejako się uzupełniają, wręcz wzajemnie warunkują. Postawa etyczna ma swoje uzasadnienie, swą wartość i mądrość. Zestawiamy ją z postawą wiary tylko dlatego, że styl życia oparty na wierze zdecydowanie różni się od tego, którym kieruje się przede wszystkim etyka. Gdy przeważać zaczyna postawa etyczna, powstaje niebezpieczeństwo, że chrześcijanina – jeśli nie w teorii to w praktyce – zanadto zdominuje czynnik moralny, że zacznie tworzyć własne zasady uczciwości, a tym samym zaniedba sens wiary. Ideałem byłaby silna wiara, która zawiera w sobie zdrowe, mocne dążenia etyczne i nad nimi panuje.

Po tym ostrzeżeniu nie będzie to, miejmy nadzieję, szkic kreślony zbyt grubą kreską.

Podejście wiary

Najcenniejsza jest miłość Boga do mnie i moich bliźnich, że kocha nas takimi, jakimi jesteśmy.

Ponieważ Bóg jest dobry, czyni mnie cennym w Jego oczach; dlatego staram się być dobry. Jego miłość wyzwala we mnie chęć bycia dobrym.

Bóg jest najgłębszą racją mojego istnienia. Naprawdę należy do mnie tylko to, co ja Mu daję. Nie Bóg jest zagrożeniem, lecz ja – gdy nie chcę się zgodzić na to, by Bóg był Bogiem.

Boga przeżywamy jako „Ty”, jako Kogoś Najważniejszego.

Wiara to przede wszystkim więzy miłości z Bogiem – Ojcem, Synem i Duchem Świętym. Ale ten osobisty stosunek wydaje owoc dopiero w tym, jak traktujemy ludzi, sytuacje i rzeczy: wszak drzewo poznaje się po jego owocach.

Grzech – to w gruncie rzeczy niezgoda na miłość Bożą. Odrzucam miłość Boga głównie przez to, że za bardzo zatracam się w rzeczach lub ludziach; chcę być kowalem własnego szczęścia, nie chcę, by było darem Boga.

Podejście etyczne

Najważniejsza jest moja miłość do Boga i moja miłość bliźniego.

To, że staram się być dobry, znajduje u Boga przychyłność. Ale punktem wyjścia, nie w sensie teologicznym, lecz w odczuciu psychologicznym, jestem ja.

Boga łatwo postrzega się jako zagrożenie. Wciąż bowiem domaga się ode mnie ofiar. To jakby mój konkurent; jego zysk jest moją stratą.

Bóg jako Osoba kochająca właściwie nie jest punktem centralnym naszego doświadczenia egzystencjalnego.

Wiara to przede wszystkim pogląd na życie, który prowadzi do poświęcenia, wielkoduszności i zaangażowania. Takie nastawienie do życia kształtuje ludzi gotowych do pomocy i ofiarnych. Ale często owoce są ważniejsze niż drzewo.

Grzech – to pokusa wypełnienia w sposób niedozwolony jakiejś luki w moim życiu; to przekraczanie praw i przepisów oraz dobrowolne zaniedbywanie obowiązków; to brak miłości do Boga i ograniczona miłość Boga

Rachunek sumienia to przede wszystkim dziękczynienie Bogu za konkretne znaki Jego wierności i troski i w oparciu o to doświadczenie żalu, że im nie sprostałem.

Spowiedź kulminuje w czystej radości Ojca, którą On odczuwa, gdy powracam ze ścieżek, po których błądziłem i gdy może mi wybaczyć; jest to jakby współudział w Jego radości, a tym samym coraz bliższy z Nim kontakt.

Krzyża nie ciosał Bóg; koniec końców wywodzi się z oporu człowieka wobec Boga.

Modlić się – to być kochanym przez Boga, to wygrzewać się w słońcu Jego miłości; to w Jezusie rozpamiętywać chwałę Boga i przez to całkowicie się do Niego upodobniać (por. 2 Kor 3, 18), to lepiej poznawać, kochać i naśladować Chrystusa.

Oddanie jest działaniem Boga we mnie; musi mnie za sobą porwać.

Pokora to zafascynowanie pięknem Boga, Jego dobrocią i wielkością, a także pragnienie trwania przy Jezusie w Jego udrękach i w Jego uwielbieniu.

Doskonałość – to życie Bogiem – On żyje we mnie i ja w Nim.

do mnie. Rachunek sumienia to głównie poszukiwanie własnych błędów i refleksja nad własną motywacją poprawy, a to związane jest z aktem skruchy za popełnione przewinienia i z postanowieniem poprawy.

Spowiedź koncentruje się na moich grzechach, które sumienie muszę wyartykułować, i na moim żalu za te grzechy; jestem wdzięczny za Boże przebaczenie i odczuwam ulgę.

Krzyż nakłada Bóg: tak było w życiu Jezusa, tak jest i w moim. Muszę go cierpliwie przyjąć z Jego rąk.

Modlić się – to rozpamiętywać słowo Boże i prosić o Jego łaskę i pomoc. Muszę to odnosić do siebie samego, choć zagraża mi to zbyt dużym koncentrowaniem się na sobie. Właściwie każde skupienie się na sobie i na stworzeniu można nazwać medytacją.

Oddanie odczuwam jako własny wysiłek; choć zdaję sobie przy tym sprawę ze swej zawodności.

Pokora to chęć pomniejszenia siebie; moja uwaga skierowana jest na własną słabość i nieudolność.

Doskonałość oznacza, że nie brak niczego – że nie ma żadnego

błądu, żadnej wady, żadnej skazy.

Miłość bliźniego to miłość Boga przepelniająca moje serce i spływająca ku bliźniemu. Tym, że obejmuje najmniejszych spośród braci i sióstr, dowodzi, że jest Jego miłością płynącą przeze mnie ku innym.

Eucharystia ma wiele aspektów, a wszystkie koncentrują się w podstawowej tajemnicy: „To czyńcie na moją pamiątkę”. Eucharystią jest *On*. Wraz z Ciałem i Krwią obdarza mnie także swoim Duchem.

Sumując: Tym, co mnie uzdrawia i uświęca jest miłość Boga do mnie. Wszystko zależy od Boga, któremu chcę służyć.

Miłość bliźniego to największe przykazanie, równe przykazaniu miłości Boga; jest normą, według której będę sądzony. Jest moim najszlachetniejszym zadaniem. Bogu dzięki miłość ta rośnie, choć wciąż jeszcze czuję się wielkim egoistą. Szczerze żałuję, że nadal niektórych ludzi nie mogę zaakceptować takimi, jakimi są.

Eucharystia jest uczta, która zakłada i umacnia jedność tych, którzy w niej uczestniczą. Jeżeli biorę w niej udział, to zobowiązuję się do autentycznego zaangażowania na rzecz innych.

Tym, co mnie uzdrawia i uświęca jest moja miłość do Boga. Zależy głównie ode mnie, jako od tego, który chce służyć Bogu.